

Jon

McGregor

Nawet psy



CZY
TEL
NIK

Jon

McGregor

Nawet psy

Przełożyła Jolanta Kozak



Czytelnik | Warszawa 2012

dla Alice

Zbyci nadziei, żyjemy pragnieniem.

Dante Alighieri, *Piekło*

JEDEN

Drzwi wyważyli, jest koniec grudnia, i wynoszą ciało.

Powietrze zimne, dokuczliwe, niebo karci stałym spojrzeniem sinawego oka, drzewa wybielone na kość zmrożonym blaskiem słońca. Stoimy grupką przy zaryglowanych drzwiach.

Ulica wygląda spokojnie, stąd przynajmniej. Uchodzą kłęby pary i westchnienia z komina centralnego ogrzewania. Miga ekran telewizora w pokoju domu obok. Ktoś wbija młotkiem słupek ogrodzenia w odległym końcu zespołu boisk za domami.

Z przepełnionej rynny na wysokości trzeciego piętra, zakończonej grubym jęzorem lodu, kapie na chodnik woda, tworzy kałużę i zamarza w cieniu ceglanego murku.

Przejeżdżają samochody, od czasu do czasu, z za-

poconymi szybami, wysilając na zimnie całą moc silników.

Widzimy, że ktoś wysiada z taksówki, która stanęła trochę dalej pod górkę. Ta osoba zostawiła drzwi wozu otwarte, więc widzimy na tylnym siedzeniu dwie torby podróżne, wypchane ciuchami, książkami i kosmetykami. Ta osoba wchodzi po schodkach i wali do drzwi. Jest to Laura. Woła przez szparę na listy. Kierowcy taksówki daje z daleka znak, żeby zaczekał, i obchodzi dom z boku. Widzimy, jak się wspina na dach garażu i wchodzi do środka przez kuchenne okno mieszkania. Stoi w kuchni parę chwil. Wygląda, jakby do kogoś mówiła. Wychodzi tym samym oknem, zeskakuje z dachu garażu i wraca do taksówki.

Później, wieczorem tego samego dnia lub następnego, gdy w innych mieszkaniach okna świecą na żółto albo na niebiesko zza firanek lub przypiętych pinezkami prześcieradeł, widzimy Mike'a gramolącego się na dach garażu. Słyszymy wołanie i odgłos rozbijania czegoś. Widzimy Bena, który biegnie w dół ze wzgórza w stronę miasta.

Widzimy Heather, jeszcze innego poranka, jak dźwiga się po schodkach i wali pięścią w drzwi, a w drugiej ręce ma otwartą puszkę. Woła przez szparę na listy i zagląda przez szybę. Stara kobieta z domu obok wychodzi od siebie i coś mówi. Kłóć się i Heather jeszcze raz wali w drzwi, zanim zacznie schodzić ze wzgórza ku miastu.

Widzimy Mike'a, rozmawiającego przez telefon, poły długiego płaszcza łopoczą mu wokół kolan, gdy zamaszystym krokiem przechodzi przez jezdnię.

Latarnie zapalają się, powoli, najpierw czerwonym blaskiem, potem pomarańczowym, a potem znowu gasną migocząc, kiedy rozprzestrzenia się świt. Na boiskach osiada szron, trawa sztywnieje, znaczą ją ślady stóp, opon samochodowych i słabe światło odległego słońca. Czas zdaje się mijać.

Widzimy Danny'ego, biegnącego przez boiska z Einstein podskakującą z tyłu. Zaglądamy za róg ciągu domów i widzimy, jak Danny wspina się na dach garażu. Einstein z zadartym łbem szczeka i drapie w garażowe drzwi, słyszymy skrzypnięcie otwieranego okna.

Pojawia się stary człowiek na wózku inwalidzkim. Znamy go z widzenia, ale nie wiemy, jak się nazywa. Nawet nie jest taki stary, ale jakoś musimy o nim mówić. Przemieszcza się pomalutku wzdłuż chodnika, popychając koła dłońmi okutanyymi w szmaty i prujące się rękawiczki, za każdym małym pchnięciem krzywi się z wysiłku. Postępuje z cicha. Yh. Eh. Yh. Spogląda w naszą stronę, ale się nie zatrzymuje. Yh. Eh. Yh.

Okno otwiera się ponownie i widzimy, jak Danny zeskakuje z dachu garażu, traci równowagę, łą-

duże pokracznie i potyka się, próbując wstać. Zbiera z ziemi swoją torbę, koce i oddala się pospiesznie ulicą ku miastu, mijając starego człowieka na wózku inwalidzkim i przywołując Einstein; koce, które przerzucił sobie przez ramię, wloką się za nim po ziemi, ale nie ogląda się, idzie naprzód.

Ciemno się robi, i jasno, i znowu ciemno, a my zastanawiamy się, czy jeszcze ktoś przyjdzie. Jest nas teraz więcej, stoimy w milczeniu nieopodal drzwi, patrząc to w jeden, to w drugi kraniec ulicy.

Nie wyje syrena, gdy pojawia się wreszcie policja. Podjeżdżają wolno pod górkę, patrząc przez szybę na numery domów. Zatrzymują się przy samych schodkach i jeszcze chwilę siedzą w wozie z włączonym silnikiem, rozmawiając przez krótkofalówki.

Ktoś wygląda przez okno na drugim piętrze i odwraca się, zaciągając zasłonę.

Wejściowe drzwi sąsiedniego domu uchylają się nieznacznie.

Dwaj policjanci wysiadają z wozu, zacierają ręce w rękawiczkach i mrużą oczy podrażnione mrozem i późnopołudniowym słońcem. Jeden, młody z wyglądu, o bladoniebieskich oczach i wąskim nosie, otwiera bagażnik i wyjmuje dwie długie latarki. Ostrożnie podchodzą do drzwi, omijając złodowa-

cenia na schodkach, a my odsuwamy się trochę dalej. Obłoki oddechów spowijają twarze policjantów, po czym rozwiewają się w powietrzu.

Drzwi sąsiedniego domu uchylają się szerzej i pojawia się w nich stara kobieta. Przypatruje się dwóm mężczyznom świecącym latarkami do środka przez szybki w drzwiach i nawołującym przez szparę na listy. Kobieta ma na sobie szlafrok w kratę i kapcie imitujące tygrysie łapy. Mówi coś do policjantów, zakładając ręce na piersi. Młodszy policjant odwraca się do niej i kiwa głową, ale gdy kobieta mówi coś jeszcze, ignorują ją.

Przejeżdżający ulicą samochód zwalnia, przystaje na moment, ale jedzie dalej.

Co tak późno. Gdzie była policja.

Napierają na drzwi ramionami, potem młodszy cofa się o krok i kopie w zamek. Drzwi odskakują. Obaj policjanci wchodzą, ale zaraz odwracają się, zatykając nosy i usta. Spoglądają po sobie i unoszą latarki, zapuszczając wąskie snopy światła w ciemny hall. Stara kobieta podchodzi bliżej, szurając kapciami, przyciska założone ręce do piersi, a my patrzymy poza nią w rozjaśniony latarkami mrok. W mieszkaniu jest bałagan, ale to wiedzieliśmy. Ścia-

ny zagryzmołone i zapaćkane, gołe kable zwisające ze szpar w tynku. Na podłodze pełno butelek, puszek, koców i łachów, sterta opon samochodowych, odłamki szkła. Widocznie śmierdzi, bo policjanci dalej zatykają nosy i usta, odwracając twarze w bok. Młodszy pokasłuje, jakby mu coś utkwilo w gardle. Starszy kładzie dłoń na ramieniu kolegi i coś do niego cicho mówi.

Nie widzą nas, gdy się tłoczemy i przepychamy wokół nich. Oczywiście, że nie. Jakżeby mieli widzieć. Ale do tego jesteśmy przyzwyczajeni. Do tego przywykliśmy od dawna, jeszcze długo przed. Przed tym.

Śmietnik na podłodze chrzęści i trzaska pod ich butami. Posuwają się powoli, pozwalając się prowadzić światłu latarek. Nawołują, coś jak Halo, policja, halo. Spoglądają po sobie i zapuszczają się głębiej w przestrzeń mieszkania.

Młodszy, który na końcu korytarza skręcił w prawo, podczas gdy jego kolega skręcił w lewo, znajduje ciało leżące na podłodze w salonie. Przygląda mu się nie dłużej niż sekundę lub dwie, robiąc wielkie

oczy, po czym woła kolegę, wycofując się i zatykając usta pięścią. Starszy nadchodzi z kuchni, a pod butami znowu chrzęści mu szkło, gdy wchodzi do salonu i widzi, co tam się dzieje. Krzywi się z lekka i kiwa głową. Świeci latarką na zwłoki, na mokre ubranie, na spękane i wzdęte ciało. Wskazuje coś, co wygląda na krew, tworzącą kałużę na linoleum i ciągnącą się cienką strużką do kuchni. Młodszy, nadal stojąc w drzwiach, mówi coś w radiotelefon, o coś prosi. Nie rozmawiają ze sobą. Czekają. Patrzą na ciało. Wszyscy wpychamy się do pokoju i patrzmy na ciało. Wzdęta i rozmiękczone skóra, zapadłe oczy, oleista kałuża płynów ustrojowych rozlewająca się po podłodze. Drgania i ruchy nowo wyklutego życia, żerującego na trupie.

To Robert. Ale o tym wiedzieliśmy już wcześniej.

Niebo na zewnątrz ciemnieje, wzdłuż linii drzew nad rzeką widać nikłą czerwoną smugę, rzadkie chmury snują się nisko, ciężąc ku ziemi.

Starszy policjant szarpie kołnierzyk koszuli, rozluźnia krawat i mamrocząc coś do kolegi, przepycha się obok niego zagraconym korytarzem i pierwszy wychodzi na mroźne świeże powietrze.

Na zewnątrz czeka kobieta w kapciach imitujących tygrysie łapy i kraciastym szlafroku. O coś pyta, ale oni unoszą ręce i kręcą głowami. Starszy bierze z wozu rolkę biało-niebieskiej taśmy i opasuje nią teren wokół drzwi. Kobieta przygląda im się, ssąc wewnętrzną część dolnej wargi. Skórę na twarzy ma suchą i obwisłą, zebraną w drobne fałdki na podbródku. Coś klaruje przez kilka chwil młodszemu policjantowi, kręcąc głową i zerkając ponad jego ramieniem ku otwartym drzwiom. Odwraca się i szurając kapciami, idzie z powrotem do siebie.

Dwaj policjanci stoją przed odciętym taśmą terenem. Jarzeniowa latarnia na ścianie ponad ich głowami byczy cichutko, nagrzewając się. Migające światła rozbłyskują wzdłuż całej ulicy, po kilka jednocześnie. Niebo ciemnieje w siny odcień fioletu. Policjanci przytupują i zacierają ręce, broniąc się przed zimnem; rozmawiają. Patrzymy to w jeden, to w drugi koniec ulicy, a Danny opowiada nam, jak się poczuł, kiedy go znalazł, kiedy wszedł tam przez okno od kuchni i znalazł Roberta leżącego na podłodze.

Penny stała w progu, dygocąc i patrząc w górę, kiedy Danny wlaźł przez kuchenne okno i zeskoczył na podłogę. Z początku jej nie zauważył, a jak już zauważył, to nie mógł zrozumieć, czemu Penny nie jazgocze jak zwykle, czemu tak tylko stoi i nic. I dy-

gocze. Zaraz się zorientował, że coś jest nie tak, za cicho było. Nigdy jeszcze nie było tak cicho w tym mieszkaniu. Zawsze Penny i inne psy ujadły, grała muzyka, ludzie wrzeszczeli nawzajem do siebie, żeby się usłyszeć. Penny nawet się nie odwróciła, kiedy ją mijał. Nie miała siły. Skóra i kości. Stała i trzęsła się, a Danny zaraz wypadł z pokoju i wyrzygał się na podłogę, a potem szybko wygramolił się z powrotem przez okno i nawet się nie obejrzał.

Jeszcze trzy pojazdy zajeżdżają przed dom. To później. Kobieta w kapciach imitujących tygrysie łapy wyniosła dwóm policjantom po kubku herbaty, zadała im wiele pytań, na które nie odpowiedzieli, wreszcie zabrała puste kubki z powrotem do domu. Grupa dzieci zebrała się nieopodal domu, usiłując coś dostrzec za plecami policjantów, zapuścić żurawia w korytarz, przemknąć się niepostrzeżenie pod grodzącą taśmą. Ale już poszły, teraz jest cicho. Kobieta i mężczyzna wysiadają z pierwszego pojazdu i wnoszą po schodkach skrzynki ze sprzętem, potem, zagadując policjantów, wdziewają szeleszczące białe kombinezony i naciągają przezroczyste gumowe rękawiczki. Kobieta w dżinsach i długim szarym płaszczu wchodzi po schodkach, niosąc małą skórzaną torbę. Z tyłu innej furgonetki dwaj mężczyźni wyjmują lampy i statyw, które składają w pi-

ramidę na podeście. Wszyscy biorą z pudła po parze plastikowych ochraniaczy na buty, balansują najpierw na jednej nodze, potem na drugiej, przeciągając ściągnięte gumką otwory przez podeszwy obuwia, a tymczasem młodszy policjant zapisuje ich nazwiska w urzędowym notesie, oddechy dymią ponad postaciami i żółcieją w jarzeniowym świetle.

Kobieta z małą skórzaną torbą wchodzi do mieszkania, przechodzi przez hall, wkracza do pokoju, w którym leży ciało Roberta. Kuca obok, dotyka zimnej skóry, zauważa zapadnięte oczy i obrzmiałe usta, insekty, ciekące pęcherze na całym ciele. Kiwa głową, patrzy na zegarek i notuje coś w kalendarzyku w twardej oprawie, mówi policjantowi, jaką godzinę ma wpisać do raportu, po czym oddala się, przechodzi schylona pod odgradzającą taśmą, zrolowuje rękawiczki i szybko schodzi po schodkach do swojego samochodu. Torbę stawia na siedzeniu pasażera i włącza radio. Sprawdza telefon komórkowy, niebieski poblask pada na jej twarz, chowa telefon do torby i odjeżdża.

Mężczyźni z lampami wchodzi do środka, rozstawiają sprzęt pod ścianami, trzymając się jak najdalej od ciała, podłączają akumulatory i przedłużacze, i nagle pokój ogromnieje światłem, rażąco białym światłem, które tryska z każdego kąta i każdy

wiercący się detal przyszpila na miejscu. Kobieta i mężczyzna w białych kombinezonach wchodzi do pokoju, dołączył do nich mężczyzna z gęstą kudłatą czupryną ciemnych włosów, który wygląda, jakby był tu szefem. Pierwszy mężczyzna robi zdjęcia, podczas gdy kobieta uważnie ogląda ciało, odciągając ubranie Roberta od szyi, palcami w gumowych rękawiczkach przeczesując jego włosy i badając gnójowisko na podłodze. Wskazuje fotografowi ciemne plamy krwi, znaczące szlak przez linoleum. Młodszy policjant stoi w korytarzu, przygląda się, mężczyzna z ciemną kudłatą czupryną zadaje mu pytania. Kręci głową, wskazując otwarte drzwi wejściowe, uśmiecha się przelotnie w odpowiedzi na jakiś komentarz fotografa i przez chwilę pokój znów wydaje się zatłoczony, zatłoczony jak ostatnim razem, gdyśmy byli tutaj wszyscy przy Robercie, wyciągniętym na podłodze, tak jak zawsze leżał wyciągnięty pod koniec wieczoru, z tą miną, którą miewał tylko, gdy spał. No i leży, chrapie, prycha, sięga ręką za głowę, jakby chciał się czegoś przytrzymać. Ktoś z nas, Heather zapewne, pochyla się i otula szczelniej płaszczem jego szeroką pierś, ramiona, wciska mu z powrotem na głowę czapkę, mityguje się, widząc, że wszyscy na nią patrzymy. Reszta śpi. Danny i Ben i Laura i Mike i Mrówa i kto tam jeszcze akurat się napatoczył. Może nie tyle śpimy, ile leżymy z zamkniętymi oczami, słuchając muzyki ze ste-

reo w kuchni, jakaś synkopowana kołysanka unieruchomiła nas pod ścianami, pokotem, nasze dłonie rozwierają się, roniąc łyżki, fajki, puste puszki, ściniki folii i papieru, waty. Okruchy naszych pocieszeń rozsiane po podłodze. Nasze rozwarte dłonie.

Dzwoni telefon, policjant stojący przy drzwiach wyciąga go z kieszeni i żegnając gestem innych, oddala się, by porozmawiać, przez zrujnowany korytarz dochodzi do obskurnych drzwi, a gdy te drzwi się za nim zamykają, widzimy Roberta i Yvonne przy pracy, zwróconych plecami do siebie i zdzierających starą tapetę, którą zdrapują, podważając wpierw szpachelką i nożem; drobne loczki i płatki papieru sypią się na podłogę jak confetti. Robert z Yvonne siedzą w progu otwartych drzwi wejściowych, jedzą kanapki z szynką i pomidorem, patrzą na dzieci wbiegające i zbiegające po schodkach. Kładą nową tapetę na resztki starej, odmierzają, przycinają, naklejają, popołudnie mija, trochę gadają, trochę nie gadają, trochę podśpiewują razem z radiem; gdy nadchodzi pora podwieczorku, ostatni róg tapety zostaje przyglądzony na swoim miejscu, a ich oboje, gdy stoją, podziwiając owoc swojej pracy, dopada nagły ból ramion i karków, dłonie mają lepkie od kleju do tapet i od potu.

Nigdy nie poznaliśmy Yvonne, ale widzimy ją teraz. Widzimy teraz rzeczy inaczej. Widzimy, jak

Yvonne z Robertem usuwają ślady po kimś, kto w tym domu wcześniej mieszkał, zamalowując i zatapetowując szczeliny. Wyrzucając pozostawione przedmioty, sterty starych czasopism i puszek, zardzewiałe pułapki na myszy z szafki pod zlewem. Proste czynności dwojga ludzi tworzących wspólny dom. Wnoszą do środka nowe meble przez wąskie drzwi: łóżko, fotel, kanapę, komodę. Przyzwyczajają się nawzajem do swojej obecności, do ruchów drugiej osoby w niewielkich przestrzeniach własnych istnień. Właśnie tak on chodzi i przeciąga się, właśnie tak ona kuli się w fotelu, odgłosy kroków, specyficzne zapachy dwóch ciał, mieszające się i wypełniające powietrze. A teraz ona go o coś pyta, pocieraniem usuwając z rąk zaschnięty klej i zdmuchując spadający na oczy kosmyk włosów. On podnosi wzrok, uśmiecha się, pchnięciem zamyka drzwi za jej plecami, a ona ściąga przez głowę podkoszulek i rozpiną stanik. Całują się pospiesznie, przyciśnięci do siebie, gmerając na oślep przy guzikach i zamkach błyskawicznych, my zaś wycofujemy się do salonu, świeżo wymalowanego, z panoramicznym oknem na boiska, nowo zasadzone drzewa i rzekę za nimi. Słyszemy tylko, jak tych dwoje wzdycha i szepcze przy rozklekotanych drzwiach wejściowych. Możemy zajrzeć do głównej sypialni, widać tam podwójne łoże wciśnięte obok szafy, dwa śpiwory spięte razem na gołym materacu, przepełnioną popielniczkę

i wszędzie sterty ciuchów, a kiedy wracamy do salonu, widzimy fotografa układającego sztywne miary przy ciele na podłodze. Jeszcze coś notuje i zadaje pytania policjantowi, który właśnie wrócił z dworu. Jeden z mężczyzn od świateł zauważa Penny, nareszcie, z łbem wciśniętym między przednie łapy i uszami płasko po sobie. Jej brązowe ciało jest zimne i sztywne. Starszy policjant mówi coś od wejścia, stosują się do jego polecenia i idą do kuchni, a tam właśnie Robert wraca z ulicy, niosąc stertę parujących frytek w ostrym sosie, które razem z Yvonne zjadają prosto z torby, wycierają lepkie ręce o ubrania, kończą sprzątać, rozbierają się ponownie i pakują we dwójkę do przepełnionej wanny, w której nawzajem namydłają swoje strudzone ciała, a ich geny zderzają się wewnątrz Yvonne.

Siedzą w wannie, lustro zachodzi parą, z kranu kapie cicho do stojącej wody, a my patrzymy, jak nowa tapeta zaczyna płowieć. Światło słoneczne wpada przez kuchenne okno i otwarte kuchenne drzwi, kładzie się na prążkowanym deseniu w drugim końcu korytarza i pomału wyżera kolor. Podmucha otwiera drzwi wejściowe, chmura spalin z ulicy wpada do środka i omiata ściany, pozostawiając cienkie błonki brudu, poprzyklepane do tłustych śladów po rękach.

Siadają w wannie, towarzyszący temu chlust wo-

dy rozbrzmiewa zaskakująco głośno w małym ciuchym pomieszczeniu. Nic już nie mówią, rozgrzani i senni, wiosenne powietrze dryfuje do środka przez otwarte okno, niosąc z sobą odgłosy zwoływania dzieci do domów, do łóżek, dźwięki muzyki, odległe wrzaski graczy rozgrywających mecze piłkarskie na boiskach. Robert macha stopami ponad krawędzią wanny, Yvonne opiera głowę na kostkach jego stóp, oboje przymykają oczy.

Para wodna z kąpieli snuje się na korytarz, odlepiając tapetę od ścian. Czarne punkciki zarodników pleśni pęcznieją i rozprzestrzeniają się ku sufitowi. Deszczówka sączy się przez zwiertzałą spoinę okapu na elewację domu, forsuje tynk i rozlewa się po fasadzie wilgotną plamą jak stary siniak. Lakier na framudze pęka, w miarę jak drewno pęcznieje, mięknie i gnije pomału.

Później, gdy woda już wystygła, ona wstaje, niezdarnie, woda spływa strużkami z jej odmienionego ciała i z pluskiem wraca do wanny. Jej piersi są teraz okrągłejsze, cięższe, brzuch nabrzmiał, napiął skórę. Chwyta się krawędzi umywalki, wychodzi z wanny, wierzchem dłoni uciska obolałe wygięcie kręgosłupa. On bierze ręcznik z haczyka przy drzwiach i owija go wokół jej ciała, asekurując ją wyciągniętym ramieniem podczas wycierania.

Pojawiają się gryzmoły kredkami, nisko na tapecie, nad stertami butów i pudeł z zabawkami. Stare

kreski flamastrem widnieją jedna nad drugą przy pionowej framudze w odstępach szerokości kciuka, relacjonując proces wzrostu ich córki. Malutkie bućki wciskają się pomiędzy buty dorosłych, a potem ustępują miejsca coraz większym. Plamy po herbarcie o barwie starych fotografii znaczą rozbryzgami całą ścianę, trwając na niej długo po sprząnięciu skorup rozbitych filiżanek. Dziurę o średnicy pięści albo czoła zasłania oprawione w ramki zdjęcie szkolne. Wilgotne łaty rozlewają się coraz szerzej, tapeta wybrzusza się i odłazi ze ścian, a sufit przybiera coraz ciemniejszą barwę nikotynowej żółci. Drzwi zostały wybite z zawiasów i zawieszono ponownie. Na ścianie przybywa fotografii w ramach.

Wyjmują swoje dziecko z kąpieli. To Laura, poznajemy. Niosą ją do pokoju okutaną w puszysty biały ręcznik, a ona gaworzy beztrąsko i bawi się włosami matki. Robert nachyla się i całuje wilgotne czołko, wdychając mydlany zapach małej, patrzy, jak żona niesie dziecko do mniejszej sypialni i układa w łóżeczku – a potem wyciąga zza zlewu w kuchni butelkę whisky.

W łazience ciemne macki pleśni pną się po fugowaniu między płytkami, płytki pękają i odpadają ze ścian. Wyrwana z muru umywalka pęka na dwoje, woda z otwartych rur chlusta na całe mieszkanie, wreszcie ich wyloty zostają zatkane, a dopływ wody

odcięty. Spłuczka nie działa, klozet zatyka się i przelewa górą, szambo zbiera się w kącie pokoju, gdzie podłoga jest lekko wklęsła. Lustro znad umywalki zostaje rozbite w drobny mak.

W kuchni mężczyzna i kobieta w białych kombinezonach omiatają pomieszczenie snopami latarek i mocują się z oknem. Otwiera się z rozmachem i głośnym skrzypieniem framugi. Wychylają się, sprawdzając odległość od okna do dachu garażu pod spodem. Oglądają plamy krwi na zlewie i pobierają próbki do analizy. Zapisują coś w notesach, robią zdjęcia, starannie oświetlają latarkami cały blat kuchenny i podłogę.

Kiedy wracają do salonu, widać tam jeszcze dwie nowe osoby, w czarnych garniturach i czarnych butach osłoniętych plastikowymi ochraniaczami. Mocują taśmą plastikowe worki na rękach i głowie Roberta, owijają całe jego ciało w plastikową płachtę i wciskają go w gruby biały plastikowy worek. Potrzeba czterech chłopów, żeby go wmanewrować do tego worka, ktoś z czwórki wygłasza, jak się zdaje, żart na ten temat. Zasuwiają zamek błyskawiczny z numerowaną kłódką. Dźwigają go na nosze, niezdarnie, i trzeba aż sześciu, żeby go wynieść do oczekującej przed domem furgonetki.

Fotograf stoi w głębi i robi zdjęcia pokoju bez Ro-

berta. Puste miejsce na podłodze, które teraz wydaje się ogromne. Ślady i plamy wokół tego miejsca. Czapka Roberta, która musiała mu się zsunąć z głowy, kiedy upadł.

Dwaj mężczyźni, którzy ustawiali światła, zatrzymali się w korytarzu, rozmawiają po cichu, czekając, aż fotograf skończy. Ten, wychodząc, daje im znak skinieniem głowy, więc wyłączają lampy, a starszy policjant przyświeca im latarką, gdy pakują sprzęt. Rozgrzane żarówki żarzą się jeszcze przez parę chwil, a mężczyźni tymczasem wynoszą do furgonetki resztę sprzętu, czekając, aż lampy ostygną.

Stoimy wszyscy razem w korytarzu, niepewni. Słyszymy, jak dwaj policjanci rozmawiają na zewnątrz, jak trzaskają i mamroczą ich krótkofalówki. Słyszymy odgłos kroków z góry, czyjs śmiech. Słyszymy, ledwo ledwo, Roberta i Yvonne w wannie, ochlapujących się wodą, proszących się wzajemnie o podanie mydła. Ale gdy zaglądamy do łazienki, nikogo tam nie ma, kafelki wciąż są popękane, część powpadała do pustej wanny, a umywalka dalej jest wyrwana ze ściany. Haczyki na wewnętrznej stronie drzwi też zostały powyrywane. Drzwi do pokoju dzieciennego, zerwane z zawiasów, stoją oparte o ścianę. Ramki zdjęć już nie wiszą, leżą pozrzucone w odłamkach szkła, same zdjęcia podarto na drobne kawałki, rozproszone po całej podłodze, a w każdym ciemniejszym prostokącie tapety zieje

jak krater dziura średnicy pięści. O framugi drzwi rozbijano butelki wina, po których zostały na ścianach podłużne krwawe plamy. Płytki linoleum upstrzone są śladami po gaszonych papierosach, co drugiej zresztą brakuje. Ludzie przychodzili tutaj i odchodzili, przychodzili i zatrzymywali się na dłużej, zostawiali po sobie sterty śmieci w hallu. Czekamy, nie patrząc na siebie nawzajem, niepewni, co teraz robić. Jedno z nas, może dwoje, wychodzi, zapewne aby towarzyszyć Robertowi. Czas zdaje się mijać. Nadal słyszymy ich w łazience, kapanie wody z kranu, stłumione murmurando ich głosów.

Na dworze robi się jaśniej, potem ciemniej, a kiedy znów jaśnieje za firankami pokoju Laury, jej matka wkrada się tam chyłkiem i przysiadła na łóżku. Patrzymy, jak odgarnia włosy z czoła córeczki. Laura się budzi, krzywi buzię. Jej matka przystawia palec do ust i sięga pod łóżko, skąd wyciąga spakowaną poprzedniego wieczoru torbę z ubraniami i pieniężkami, a kiedy Laura się ubiera, zgarnia parę jej książek i zabawek, które też wpycha do torby. Laura kuca na podłodze, wciąga buty, a potem obie wymykają się z pokoju i z domu, zamykając frontowe drzwi z ledwo słyszalnym kliknięciem, i już ich nie ma. Poranne światło zaczyna przesiewać się przez cienkie pomarańczowe zasłony, a płytkie wgłębienie

nie w materacu po ciałku Laury stopniowo zanika. Jej zapach trwa jeszcze w załomkach wymiętej poduszki, w odrzuconej kołdrze, w koszulkach, majteczkach i T-shirtach, kłębiących się z wyrzutem w niedomkniętych szufladach komody. Książka, którą Laura ostatnio czytała i nie dokończyła, leży otwarta grzbietem do góry na podłodze. Kurz osiada. A ich już nie ma.

Budzi się. Mowa o Robercie. Budzi się i codziennie na nowo ma wrażenie, że one dopiero co wyszły. Zrywa się gwałtownie, jak na odgłos kliknięcia zamykanych drzwi, i przypomina sobie, że ich nie ma.

W pokoju robi się nagle znacznie ciemniej. Osuwamy się na podłogę. Widok z okna przesłania obca temu wnętrzu kondensacja wilgoci na szybie. Żar lamp, głosów i ciał mężczyzn i kobiet, którzy tu przebywali, będzie się ulatniał jeszcze przez parę godzin. W trakcie tego procesu, w miarę wychładzania się całego wnętrza, kondensacja zestala się w lodowe strużki, spomiędzy których z wolna przebijają się do pokoju odłamki światła.

Wstajemy i wychodzimy z domu. Nie bardzo wiemy, co innego moglibyśmy zrobić. Na ulicy mężczyźni wsuwają ciało Roberta do furgonetki z przyciemnionymi szybami, a my wszyscy wciskamy się obok niego. Jest za ciasno, ale tylko to miejsce wydaje się właściwe. W danych okolicznościach. Ktoś zatrzaskuje drzwi. Powietrze wewnątrz jest stłamszone i nieruchome, stalowe drzwi błyszczą chłodem. Dwaj mężczyźni stoją na zewnątrz, rozmawiając z młodszym policjantem i fotografem, i z tym kudłatym brunetem. Na schodkach stoi z założonymi rękami kobieta w kraciastym szlafroku, przygląda się, obok niej starszy policjant. Na chodniku i w oknach na piętrach okolicznych domów pojawili się ludzie. Grupka dzieci stoi w pobliżu, poszturchując się i wykrzykując pytania. Dwaj mężczyźni oraz młodszy policjant wsiadają z przodu furgonetki i zanim zamkną drzwi, do wozu wpada zimny, wilgotny przeciąg. Uruchamiają silnik, koła buksują i piszczą, ruszamy, zjeżdżamy ze wzgórza. Oglądamy się i widzimy dach garażu z boku domu, na który Danny zeskoczył i poślizgnął się, i pobiegł komuś powiedzieć. I widzimy, jak Danny

DWA

Transportują jego ciało przez miasto o zmroku i przenoszą go do kostnicy.

I widzimy, jak Danny, potykając się, wybiega spod garaży na tyłach domów, gna ze wzgórze, jakby się zaraz miał przewrócić, wierzchami dłoni trze policzki z taką złością, jakby się bił, ocierając łzy, które jeszcze nie spływają po twarzy wykrzywionej strachem. Einstein tuż przy nim, poszczekuje, skamle, usiłuje nadażyć, ale jak zawsze spowalnia ją ciężar złamanej

Znaleźć kogoś i mu powiedzieć, tylko to jedno był w stanie myśleć. Znaleźć Laurę i jej powiedzieć, znaleźć Mike'a. Ale co jej powiedzieć, że on leży na podłodze i nic, z jedną nogą nienaturalnie podkuloną pod drugą, z jedną ręką zasłaniającą usta, jakby czuł smród własnego rozkładu. Co jej powiedzieć, że umarł spokojnie, zabrali go i zrobili co się da, ale

nie dało się zrobić nic. Nie cierpiał. Tego nie mógł jej powiedzieć. Nie za bardzo się na tym znał, ale wiedział, że to nie może być tak. Miał wokół siebie wszystkich przyjaciół, kiedy o kurwa

Przez przyciemnione okna furgonetki patrzymy, jak Danny, ślizgając się, pędzi z górki na główną ulicę, wbiega w przejście podziemne, przez przyciemnione okna widzimy, jak mijają nas miasto, całe ulice porzucone na pastwę zimna, nikłe cienie przesuwają się za zasłonami podświetlonymi na sinoniebiesko. Gwiazdkowe dekoracje dyndają i kołyszą się pomiędzy słupami telegraficznymi i szkieletowymi konarami drzew, wiszą na drzwiach garaży, wylewają się z przepelnionych pojemników na śmieci razem z pomiętym papierem ozdobnym i pianką ochronną. Kolorowe lampki rozbłyskują i gasną w oknach salonów i wystaw sklepowych, a my śledzimy wzrokiem Danny'ego aż do

Danny, czy ty go ostatni widziałeś?

A skąd mam kurwa wiedzieć.

Był tam ktoś, kiedy znalazłeś ciało?

A bo ja wiem, nie sprawdzałem.

Co zrobiłeś? Dokąd się udałeś?

Uciekłem kurwa, a co myślisz. Co ty byś na moim

Nie było go w mieście, tak powie policji. Już po-

stanowił. Jakby go przyszli szukać, jakby mieli powód, żeby go przyjść szukać, którego to powodu mieć nie będą, jak utrzyma gębę na kłódkę. Chyba żeby jakiś chuj. Jego nie było w mieście. Wyjechał do brata na Boże Narodzenie, taki mu wpadł nagle pomysł do głowy, żeby te święta spędzić rodzinnie. On, Danny, jego brat Tony, Tony'ego nowa żona i dwoje dzieci, które nawet nie były Tony'ego. Nie za bardzo rodzina. Nie za bardzo pomysł w ogóle, bo Tony wyrzucił go z domu w drugi dzień świąt, dał mu kanapkę z zimnym indykiem i kazał spieprzać, ale w każdym razie tam był i to zamierzał zeznać policji. Jeśli się zjawia, jeśli go zgarną i zaczną wypytywać na przykład

Wszyscy wiemy, że ludzie umierają, ale mało kto to widział. Zdawać się może, że trup wygląda, jakby spał czy co, ale wcale tak nie jest. A jak wygląda, jak. Muchy, robactwo, jakiś syf ciekący na podłogę. I ten smród. W bebeczach się przewraca i podchodzi do gardła jak

Dwa dni mu zajął powrót od brata, dwa dni marszu, chowania się po toaletach kolejowych, przeskakowania przez szlabany, nocowania na parkingach, znowu marszu, dźwigania Einstein, jak jej się z łapą pogorszyło. Kawał psiska, swoje waży, ale co zrobić. Zwłaszcza że ta łapa to przez niego. No i proszę,

jakie go czekało powitanie, nigdzie ani chuja złamanego, Robert leży zimny trup i ni cholery nie wiadomo, co tu jest grane. Potrzebował znaleźć Mike'a, najlepiej Mike'a, Mike znajdzie wyjście, Mike będzie wiedział, co jest grane i co robić. Ale i Laurę wypadałoby znaleźć, powiedzieć Laurze, zanim to zrobi jakiś inny chuj. Na przykład Ben czy inny chuj. Musiał się z kimś podzielić. A jego własny brat zamknął mu drzwi przed nosem, powiedział

Kierowca na przodzie rozmawia z policjantem i po raz pierwszy słyszymy, co mówią. To twój pierwszy, pyta kierowca, a policjant na to, że tak, właściwie tak, tak naprawdę to tak, a tamci dwaj się śmieją i mówią: Przywykniesz, bracie, szybko przywykniesz, zawsze ich dużo w tym sezonie. Zdążamy za Danny'm do stóp wzgórza, ciągną się za nim koce, potyka się o mokre, wystrzępione końce nogawek dżinsów, odwraca głowę, nawołując i poganiając Einstein. Furgonetka wjeżdża zamaszyście w łuk nad dwupoziomowym skrzyżowaniem i na moment tracimy Danny'ego z oczu, bo znika w przejściu podziemnym, ciężar ciała Roberta kolebie workiem pomiędzy nami, gdy skręcamy w wylotówkę i widzimy, jak Danny wyłania się po schodach z powrotem na ulicę. Widzimy, jak kręci głowę, zdejmuje okulary, żeby je przetrzeć o płaszcz, rozgląda się za kimś znajomym. Ale nie ma nikogo. Tylko Einstein, która siedzi przy nodze swojego pana i głoś-

no zije, ale wstaje i idzie za Dannym, gdy ten rusza z miejsca, rusza swoim typowym krokiem, wymachując nadmiernie rękami, jakby się wspinał na stromą górę albo co, rusza w stronę Barford Street i marketów, odwracając się ku nam na moment, gdy przejeżdżamy obok, pozostawiając go z tyłu, meandrując gładko pustą jednokierunkową ulicą, mijając rampy i zajezdnie autobusowe, a trochę dalej, przyspieszając na podjeździe na wiadukt, w kierunku sinych chmur na poczerńiałym

Zobaczył Sammy'ego, na rogu Barford Street i Exchange Street. Zobaczył go z samego końca ulicy, ale od razu wiedział, że to Sammy, bo to nie mógł być nikt inny. Ta długa broda, oczy w słup i ten krok galernika, jakby miał nogi spętane łańcuchem czy co. Zawołał go z daleka. Sammy, Sammy, bracie, Sammy, prawie już biegł tam, gdzie go widział, tam gdzie zawsze, do tego rogu z ławkami, koszami na śmieci, donicami z roślinnością i pomnikiem cholera wie czego. Sammy, bracie. Sammy. Głos mu się rwał, zadyszki dostał z tego pośpiechu, którego nie zaniechał, odkąd wylazł przez okno z mieszkania Roberta. Sammy, który akurat sikał do kosza na śmieci, machnął mu przez ramię, żeby się odpierdolił. Sammy, bracie, poszukuję Laury, nie widziałeś jej, nie wiesz, gdzie jest? Sammy się odwrócił, schował interes, wytarł ręce o zaświnione spodnie. Za-

chwiał się od wysiłku ogniskowania wzroku na Dannym, usta mu się otwały i zamknęły, jakby już zapomniał, jak brzmiało pytanie. Danny nie zatrzymywał się, szedł dalej, nie mógł przestać, obejrzał się w tył na Barford Street, skąd nadszedł, i skręcił w Exchange Street, zmierzając ku Abbey Day Centre. Od iluś dni nie widziałem żywej duszy, zawołał za nim Sammy i Danny nawet się odwrócił, nadstawiając ucha, i przez chwilę szedł tyłem, na wypadek gdyby Sammy krzyknął coś jeszcze. Od iluś dni nie widziałem żywej duszy, powtórzył Sammy, właściwie sam do siebie, siadając ciężko i sięgając na ziemię po flaszkę, a jednocześnie gołąb sfrunął kręgiem z dachu, przysiadł na brzegu kosza na śmieci i zaczął dziobać resztki kebabu. Ty też spierdalaj, powiedział Sammy, jak go usłyszał, i splunął mniej więcej w tamtym kierunku, flegma pociekła mu po zarośniętej brodzie, a gołąb wzleciał ponad rynek, ponad stację, ponad wielopoziomowy parking, ponad biurowiec, ponad od dawna już skarłałą wieżę

Wszystkiemu winna była żona. Żona Tony'ego. Żona Tony'ego miała długą pamięć i to był problem. Wcześniej Tony był w porządku gość. Nieraz pozwalał Danny'emu zawaletować. Ustawiał go. Chodzili na długie spacerki i zawsze umieli znaleźć sposób na kłopoty. Tak zwane braterskie porozumienie. Ale potem Tony poznał tę kobietę. Nicolę. Nicolę-ja-pier-

dole. Po pewnym czasie Danny się u nich zjawił, nie był tam od miesiący z powodu dawnego nieporozumienia, o którym nikt by już nie pamiętał, gdyby to zależało tylko od Tony'ego, ale tym razem było inaczej, bo zjawiała się Nicola, jego nowa żona, i nie ulegało wątpliwości, że ona wie o Danny'ach wszystko. Zaraz zgarnęła swoje dzieciaki i wzięła je na górę, nawet dzień dobry nie powiedziała, a Danny został jak ten głupi w przedpokoju i zastanawiał się, co tym razem zrobił źle. Przepraszam cię, powiedział Tony, ale ona jest nerwowa, chodzi o dzieci i w ogóle, wiesz jak to jest. Nerwowa, mało powiedziane. Prysnęła przed nim z tymi bachorami na górę jak przed zarazą. Jakby zarazał swoimi kłopotami jak katarem. A to nie jest takie proste, Nicola. To wcale nie jest proste. Potrzeba lat

Konieczniew musiał znaleźć kogoś, komu można by powiedzieć. O Jezuu, co to jest, co to się stało. Wyjeżdżasz na tydzień z miasta, wracasz, a tu trup, a reszta zniknęła jak kurwa nie wiadomo co, jak bańka mydlana, jak forsa z zasiłku. Mijając budkę telefoniczną na Exchange Street, pomyślał, czyby nie zadzwonić na policję i nie powiedzieć o Robercie. Na ziemi koło budki znalazł parę petów, pozbierał sobie do puszek. Posunął się aż do otwarcia drzwi, zanim zmienił zamiar, no bo co właściwie miał im powiedzieć, jaki był jego

Dokąd się pan udał po opuszczeniu miejsca zdarzenia?

Zbiegłem ze wzgórze, przeszedłem przejściem podziemnym, wróciłem do miasta.

Dlaczego pan biegł?

Nie biegłem, tylko przestraszony byłem i w ogóle.

Czego się pan przestraszył?

Nie wiem, przestraszyłem się.

Dokąd pan poszedł?

Szukałem kogoś.

Gdzie pan

Na ukos przez rynek, mijając pub Pod Lwem, kiosk z gazetami, księgarnię. Prosto kładką nad główną ulicą, potem przez rondo, jeszcze obejść stary, zabity deskami magazyn, i będzie schronisko, w którym ostatnio spotkał Laurę. Zadzwonił do drzwi, ale nikt nie otwierał. Zajrzał przez okna, w środku nikogo. Na parapetach, w chłodzie, butelki mleka, wietrzą się wywieszane tenisówki i buty, ale zasłony pozaciągane i ani żywej duszy. Zajrzał przez okno do biura i zobaczył za kratami tę, no, jak jej tam, Ruth, siedziała i klikała w komputer, którego ekran oświetlał jej twarz. Zabębnił w szybę, ona spojrzała, ale gestem zawróciła go do drzwi. O kurwa mać. Znowu nacisnął dzwonek i wtedy przez intercom odezwał się męski głos, że: Przepraszamy, ale jeszcze zamknięte, zgłaszać się można od siedemnastej, z tym że dzisiaj

już mamy komplet, czy czegoś potrzeba? Szukam pewnej osoby, powiedział Danny, koleżanki, mieszka tutaj, muszę z nią porozmawiać. Facet na to: Jak się nazywa, a jak Danny powiedział, że Laura, tamten zamilkł na dłuższą chwilę, a potem poinformował: Jej tu nie ma. Parę dni temu była, powiedział Danny, dokąd się przeniosła. Facet na to: Tego nie wiem, nie mogę ci pomóc, bracie. Na to Danny: Zimno jest jak jasna cholera, wpuściłbyś mnie, pogadali byśmy normalnie czy jak, bo przecież ona musi tutaj być, miała zostać jeszcze co najmniej dwa tygodnie. Muszę z nią pogadać. Facet na to: Nic ci nie mogę pomóc, bracie, sorry, a jak to twój pies, to tym bardziej, bo psów nie wpuszczamy, i potem już się więcej nie odezwał, chociaż Danny dzwonił i dzwonił, i krzyczał w domofon. Bębnienie w okno biura też mu nic nie dało, szyba była gruba, a do tego zakratowana; Ruth nawet się nie odwróciła, tylko klikała jak najęta w pieprzony komputer, i co ona kurwa tam widziała takiego ciekawego, i dlaczego nikt nie chciał mu powiedzieć, co się kurwa z Laurą

Alejką wzdłuż parku pamięci, wypatrując petów pomiędzy krzewami róż i flaszkami po jabcoku, tyłami biur rady miejskiej, sprawdzając szufladki wszystkich po drodze parkomatów, mijając zakład wulkanizacyjny, magazyn z kanapami, potem rampą pod górę i to już tutaj, noclegownia. Zamknięta

na święta, kartka na drzwiach informuje, gdzie stali bywalcy mogą się zgłosić po pomoc, jeśli jej potrzebują. Tyle że większość stałych bywalców nie chciała iść nigdzie indziej, wolała przesiedzieć w bramie aż do ponownego otwarcia. Jednego z nich znał, Bristol Johna, więc jego zapytał, czy nie widział ostatnio Laury albo kogoś z pozostałych, chciał mu nawet powiedzieć o Robercie. Ale już za późna była godzina, żeby z Bristol Johna wyciągnąć coś z sensem, więc poszedł Danny dalej, minął biura rady miejskiej, urząd mieszkaniowy, sklepy na Exchange Street i wążiutką, prawie że ukrytą bramę do Abbey Day Centre. Wyglądało na to, że nikogo tam nie ma poza Maureen i Dave'em, i takim jednym, co zawsze siedział w kącie i nic nie mówił, tylko Serwus, jak mu ktoś podał kubek herbaty. Maureen wyglądała, jakby się ucieszyła na jego widok. Zawsze wyglądała, jakby się cieszyła na widok tego, kto przyszedł. Miała urodę dobrej cioci albo babci, przez te siwe włosy, okulary na łańcuszku i rozpinane swetry, ale nie znosiła, jak się ktoś przy niej użalał. Nie będziesz mi tu jęczeć, mówiła, jak ktoś próbował się skarżyć, i to na ogół wystarczało. Bez proszenia zrobiła Danny'emu herbaty i zaczęła opowiadać o Bożym Narodzeniu i Nowym Roku, gdzie kto wyjechał, jej mowa brzmiała jak jedno niekończące się słowo, zawsze tak było, jakby Maureen bała się przerwać i zaczerpnąć tchu, bo słuchacz mógłby wyko-

rzystać ten moment, żeby odwrócić się i odejść. Co też i często się zdarzało. Maureen była w porządku, tylko strasznie gadatliwa. Danny nie usiadł. Nie był w stanie. Zajrzał do sali gier, do pralni, do toalet, do sali komputerowej, i za każdym razem zawracał przez cały korytarz, jakby sprawdzał, czy to przypadkiem nie jakaś zabawa, jakiś psikus, który wszyscy mu urządzili i zaraz nagle wyskoczą z kryjówki, a kuku! i tak dalej. Ale nikogo nie było, nikt nie wyskoczył, nikt nie zawołał. Maureen powiedziała: Przez cały dzień nikt nie zajrzał, kochany, nikogo nie było od dnia Bożego Narodzenia. W samo Boże Narodzenie mieliśmy tu mały kłopot, dwie dziewczyny nałykały się tabletek, przyjechało pogotowie i zrobili z nimi porządek, ale nas to postawiło w złym świetle, rozumiesz? Powinny wiedzieć takie pannie, że u nas się takich rzeczy nie robi. Strachu żeśmy się najedli, powiadam ci. Więc może z tego powodu wszyscy się teraz trzymają z daleka, jak myślisz, Dave? No bo policję tu mieliśmy, przesłuchania i w ogóle, mówię ci. A może wszyscy się przenieśli do tego nowego schroniska zimowego, może wróca, jak ono się zamknie. Może tam dają lepszą herbatę, dodała, patrząc z troską na herbatę, którą postawiła na stole dla Danny'ego, a której ten nawet nie tknął. Danny ściąga okulary, żeby poprawić plaster mocujący złamaną oprawkę, a Maureen nawija: Jeszcze tego nie załatwiłeś, skarbie? Musisz je koniecznie

dać do naprawy, bo ci prawie spadają. Ten z kąta przygląda im się spokojnie, oczy półprzymknięte, głowa mu się kołysze jak niesiona na tacy przez załoczoną salę, a Dave krzyczy z kuchni: Słowo daję, Mo, nikt nie robi takiej dobrej herbaty jak ty. Ale poza tym nikogo. Ani Mike'a. Ani Laury. Ani Heather, Bena, Steve'a, Mrówy czy kogokolwiek innego z ich bandy. Tylko Maureen, która czeka, żeby Danny spróbował herbaty, i bez prośzenia wyciąga puszkę herbatników, to dla Einstein. Mówiąc: Gdyby nie to, że wiem swoje, tobym się martwiła, ale tak to już po prostu jest, są dni, że opędzić się nie można od ludzi, a innym znowu razem człowiek siedzi i zastanawia się, co zrobić z

A gdyby znalazł Laurę, co by jej powiedział. Chodzi o twojego tatę. Lepiej najpierw usiądź. No więc tak. I co on sobie myślał, że Laura będzie mu wdzięczna czy co, że będzie jej miło, że to właśnie on jej powiedział. Jakby to coś miało pomóc. Kiedy Laura już i tak miała wobec ojca mieszane uczucia, przez to, że wiele lat go nie znała, a od matki słyszała mrozące krew w żyłach opowieści, których prawdziwości nigdy nie była pewna. No jak to się nazywa. Konfliktowa osobowość. Powiedziała mu, że nawet nie pamiętała, jak on wygląda, dopóki nie znalazła starych zdjęć ukrytych przez matkę, a i tak jak go wreszcie poznała, to wyglądał inaczej. Opowiedzia-

ła mu, jak mieszkała z mamą i babcią, a później tylko z mamą, i jak nie wiedziała, co mówić dzieciakom w szkole, kiedy pytały ją o tatę. No ale kurwa mać. Nie mogła przecież być jedyna bez ojca. Danny powiedział jej to wprost. Jednego razu, jak czekali razem, aż pokaże się jakiś młody z towarem. Powiedziała, że zawsze była ciekawa, co się z nim dzieje, miała nadzieję, że jej przyśle kartkę na urodziny albo któregoś roku zjawi się nagle na Boże Narodzenie, niespodzianka. Jej matka zapowiedziała, że go za nic nie wpuści do domu. No ale kurwa mać. Jak długo ona mogła gadać na ten temat. Nie ma tak, że jest tylko albo czarne, albo białe. Spróbowałyby pomieszkać w domu dziecka, to sama by zobaczyła, jakie konfliktowe osobowości stamtąd wychodzą, tak powiedział

Z powrotem tyłami urzędu miasta, Einstein żał zostawić żarcie, ale mężnie kuśtyka przy nodze swojego pana. Z powrotem przesmykiem na tyłach centrum handlowego, przez parking wielopoziomowy, i dalej nikogo. Trzeba było powiedzieć Maureen. Ona by za niego zawiadomiła policję. Wyszedł na Royal Square. Albo mógł poprosić o skorzystanie z telefonu i zrobić to sam. Ktoś musi. Co on sobie kurwa wyobraża. Nie można przecież tak zostawić Roberta na podłodze. Nie można czekać sobie spokojnie, aż następny ktoś wlezie przez okno czy wy-

waży drzwi i znajdzie go w tym stanie. Potknął się o krawężnik przy postoju taksy i upadł na kolana, ale co z tego, nikt nie widział. Einstein trąca go nosem w ucho, sprawdzając, czy wszystko w porządku. Poszczekuje na pana, żeby wstał. Ale najpierw musi powiedzieć komuś innemu, zanim powie policji, musi się zorientować, czy nikt inny nie wie, żeby mieć jasność, bo wszystko jest zanedo kurwa popieprzone. Wstaje, potykając się mija biurowiec z wodospadem w środku i ochroniarzem, który wstaje zza pulpitu, jak tylko ktoś mu wpadnie w oko. A jakby znalazł Laurę, to co będzie, jak mu się zdaje. Laura wypłacze mu się pewnie na ramieniu. No a potem co. Szedł dalej, bo co innego miał robić. Przejście podziemne na końcu Station Street. Znalazł w nim parę petów. Schody. Ujście kanału. Laura pewnie nie będzie nawet chciała z nim rozmawiać po tym ostatnim, po tym, co się zdarzyło

Mike wiedziałby, co robić. Danny myślał intensywnie. Mike mógłby wiedzieć, co to były za dwie dziewczyny, co się zaćpały w Abbey. Nie mogła chyba Laura być jedną z nich, bo Maureen by Danny'emu powiedziała. Mike wiedziałby na pewno. Z Mikiem czasami trudno jest wytrzymać, ale przynajmniej wie na ogół, co trzeba zrobić w sytuacji, w sytuacji takiej jak ta. Chociaż nigdy jeszcze nie znaleźli się w sytuacji takiej jak ta. O kurwa. Teraz

pierwsza rzecz to poszukać Mike'a, w squacie na Parkside, gdzie Mike ostatnio sypiał, musi tam być. Ale Laura. Tylko przydałoby się zdobyć jakiś towar. Ale może Mike będzie coś miał no może kurwa no może

Gdyby nie wyjechał do brata. Gdyby nie nawrzucał Laurze. Gdyby trzymał się z Mikiem. To nic takiego by się nie

Kupa ludzi przed kościołem katolickim, chociaż nie otworzą jeszcze przez dobrą godzinę, zresztą on najpierw musi załatwić swoją sprawę. W kościele dają dobry obiad, ale co tam teraz zarcie. I tak by pewnie wszystko wyrzygał w tym stanie nerwów. Rozejrzał się tylko, czy nie ma nikogo znajomego. Maggie i Jamesie, i młoda Charmaine z niemowlęciem, hušta je w wózku, żeby z powrotem usnęło, bo się przebudziło. O kurwa mać, przypomniał sobie, jak się to dziewczę pojawiło na scenie. Szybko dostała miejsce w schronisku dla matek z małymi dziećmi, ale przedtem co przeżyła, Jezu. Opowiedziała wszystko Laurze. Odeszła z domu, bo jej matka żyć nie dawała z powodu dziecka, nic nie pomogła, tylko w kółko pyskowała, to źle, to niedobrze, a facet jej matki powiedział do niej: Jak nie zamkniesz tego bachora, to ja go zamknę. A wiedziała, do czego był zdolny wobec jej matki. Wszystko to opowiedziała w wydziale kwaterunkowym, ale tam usłyszeli tylko jedno: Odeszłam z domu, co dla nich

znaczyło, że mogą umywać ręce od sprawy, Sorry, kochana, ale wybrałaś bezdomność na własne życzenie, na to my nie mamy rady. Przez trzy dni i trzy noce z rzędu, tak mówiła Laurze, krążyła non stop po mieście. Szczególnie w nocy, podkreśliła. Nie chciałam zasnąć byle gdzie, bo bałam się, że ktoś mi ukradnie Ryanka, kapujesz? I co ja bym wtedy zrobiła? No to szła, szła i czekała, aż coś się wydarzy, stopy miała całe w pęcherzach i odciskach, Ryanka owinęła w wózku kocykami, ukołysała, łezki mu otarła. Podkradała, gdzie mogła, odżywki dla niemowląt, aż ją nakryli, aresztowali i znalazł się ktoś, kto jej załatwił to miejsce w domu samotnej matki. Miałam za sobą parę nocy nieprzespanych, opowiadała Laurze, sama nie bardzo wiedziałam, co robię, miałam mętlik w głowie. Ale jak masz dziecko, to zachowujesz się inaczej, wiesz, o co mi chodzi? Masz takie poczucie, że dla dziecka kurwa zrobisz absolutnie wszystko. No więc trzy dni i trzy noce spacerowała non stop, śpiewając Ryankowi kołysanki, spacerowała z dzieckiem w środku nocy i nikt nie zwrócił na nią uwagi. Nawet teraz przed kościołem katolickim trzymała się na uboczu, jeżdżąc wózkiem tam i z powrotem i rozglądając się na wszystkie strony, jakby stała na czatach, w każdej chwili gotowa do

Przelazł przez śluzy pod wiaduktem, poczerniałe oblodzone belki, woda z kanału tryska wodospa-

dem w pustą czelusć śluzy, taki sam odgłos jak szum krwi w uszach Danny'ego. Pod wiaduktem zaparkowanych kilka camperów i ciężarówek, jakieś małolaty palą kable na ognisku, ale nikt znajomy, więc przelazł z powrotem przez kanał, zawołał na Einstein i powlókł się dalej

Mike go uprzedzał, no tak czy nie, Mike mówił, że lepiej, żeby nie jechał, że nie ma takiej siły, żeby go brat wpuścił do domu. Było Mike'a słuchać. Było słuchać. Mogło się zdawać, że Mike przeważnie pieprzy trzy po trzy, ale na koniec zawsze się okazywało, że miał rację. Dlatego Danny się Mike'a trzymał. Mike mu pomógł, jak tylko Danny pojawił się w mieście, jak go zwinęli, bo spytał się kogoś, gdzie tu można zagrzać. Potem Mike sam do niego przyszedł i zaproponował, że da mu połowę z dziesięciu torebek, jak Danny mu odpali pół swojego następnego zasiłku, pomógł mu załatwić formalności związane z zasiłkiem, znaleźć konieczny do tego nowy adres i tak dalej. Czekali na ten zasiłek trzy dni i przez ten czas trzymali spółkę, przez trzy dni razem kradli i żebrali, zdobywając akurat tyle towaru, żeby się nie pochorować, zanim Danny'emu wypłacą forszę. Która od razu poszła na towar, ciemny i jasny, z którym się uporali, zanim ktokolwiek zdążył ich znaleźć i go odebrać

Jezu. Przydałby się teraz jakiś szmal. Przydałby się bardzo. Pomógłby rozjaśnić w głowie. Danny zrealizował receptę w aptece, jak tylko zawitał do miasta, zanim jeszcze poszedł do Roberta, ale ile to było godzin temu, już prawie nie działało. Już ziewał i czuł, że wkrótce całkiem się rozklei. Forsy miał tyle, co na jedną saszetkę, z tego, co mu dał brat, jak go wyrzucał za drzwi. Jak mu powiedział: Weź to, Danny, ale zostać tutaj nie możesz, nie w tym stanie, widzisz, Nicola, dzieciaki i tak dalej, dałem ci szansę, Danny, ale Nicola ma już dość, jest u kresu wytrzymałości. Rozumiesz, stary, prawda. Drugi dzień świąt. Ładna pogoda. Wiesz, jak to jest, przy dzieciach nie można, ale weź to i spróbuj doprowadzić się jakoś do ładu. No i wesołych kurwa świąt, tobie i twoim, szanowny braciszku. Rozegrała się mała scena, z krzykami, waleniem w drzwi, płaczem dzieciaków w domu i wybijaniem szyb w małym czerwonym autku Nicoli, to już drugi raz, ale pieniądze wziął od brata po raz pierwszy. Miał swoją dumę, ale po prostu potrzebował forsy. Jeszcze przed wyjazdem stamtąd zdążył zagrzać. Nie jest to trudne – jak się wie, czego się chce, nie trzeba wcale długo szukać. Wziął akurat tyle, żeby dotrzeć do swojej apteki, a resztę forsy zaoszczędził, żeby mieć na potem. Rodzony brat, a nie wpuścił go do domu. A gdyby go wpuścił, to Danny nie znalazłby Roberta w takim stanie. Ktoś inny by go znalazł, ktoś inny włókł-

by się przez miasto, wariując od wspomnienia tamtego widoku, ktoś inny, a nie Danny. Dlaczego zawsze, dlaczego zawsze

Jego człowiek nie odbierał telefonu, a próbował Danny przez cały dzień. Pewnie chuj gnije w łóżku nieprzytomny. I nie ma kogo spytać o inny numer, a tu czas leci, jak Danny szybko nie weźmie, to się pochoruje, to

Schodami w dół przy śluzach pod mostem kolejowym. Woda ciemna, stojąca, z tęczowymi pasmami oleju. Arkada wiaduktu kolejowego zagrodzona przeciwko bezdomnym, ale Danny znał przejście. W środku ciemno, śmierdzi moczem, gównem i sadzą, ale nie ma nikogo. Kupa gnijących koców, rozwalone buty, puszki, butelki, skrawki folii i kartonów, stara książka w miękkiej oprawie, rozdarta na grzbiecie. Ale nie ma nikogo. Coś skrobie, rusza się

Trzy dni przed świętami to było ostatni raz, jak Danny widział wszystkich. U Roberta; i wydawało się, że dobrze jest. Nikt nie miał za dużo szmalu, już od jakiegoś czasu szmal się ich nie trzymał, ale benzy i galaretek krążyło, ile kto chciał, plus recepty. Może nie były to jakieś oszałamiające ilości, ale zawsze gwarancja, że nikt się nie pochoruje. Plus trochę więcej niż zwykle alkoholu i

Szedł wzdłuż kanału, patrząc w wodę, zastanawiając się, skąd zdobyć towar i gdzie go wziąć, jak już zdobędzie. Skręcił sobie fajkę z uzbieranych petów, ale z góry wiedział, że to nie będzie nic dobrego. W oddali nad wodą stała czapla, zgarbiona, zagapiona w wodę. Uniosła się w powietrze na wielkich workowatych skrzydłach, gdy Danny za bardzo się przybliżył; Einstein pogoniła za nią, a Danny szedł wolno i dumał o tym, co ma w torbie. Banknot ukryty w skarpecie niewiele będzie wart, jak się nie uda znaleźć nikogo, kto sprzedaje. Czapla osiadła na przeciwległym brzegu, ze sto jardów dalej, złożyła skrzydła, zgarbiła się, popielatą głowę zwiesiła nad wodą, a Danny przywołał Einstein i zaczął wspinać się z powrotem po

Jedynie krzesło w pokoju zajmował Robert. Reszta rozsiadła się na podłodze. Siedzieli poopierani, czyli że Robert jak zwykle stanowił punkt centralny, skupiający wszystkich wokół siebie. Co mu było potrzeba, to miał w bliskim zasięgu. Puszki, bibułki, tytoń. I dobrze, bo ciężko mu było wstać i zazwyczaj ktoś musiał mu pomóc. Robert był kawał chłopca. Całymi dniami pił i nie robił nic innego. Panowała niepisana umowa, że jak ktoś przyniesie Robertowi jedzenie i picie, to może trochę u niego pomieszkać, i dobry to był układ. Danny przynosił mu kupę jedzenia. Robert go o nic nie zapytał za

pierwszym razem, jak go Mike tam przyprowadził, i to się Danny'emu spodobało. Robert był chyba jedynym, który nie pobierał zasiłku, ale to jakoś nikomu nie przeszkadzało

No ale Jezu. Takie chłopisko. Wcale na to nie wyglądał ostatnim razem, jak Danny go widział. Ale inni go musieli widzieć po nim, musieli zauważyć, że coś nie gra. Musi ich znaleźć i popytać, doszukać się jakiegoś sensu w całym tym

Przecież Robert nie był z tych, którymi się pies z kulawą nogą nie interesuje. Przeciwnie, miał nas wszystkich. Nie jak te łajzy, co nikogo nie mają i żyją w ciągłym strachu, stale oglądając się przez ramię. Jak na przykład ten dziadek na wózku inwalidzkim, któremu spuszczają łomot prawie za każdym razem, jak wyjdzie z poczty. Albo jak tamten, co się parę razy zgłosił na zupę, nikt nie wiedział, jak się nazywa, z nikim nie rozmawiał, spał po lasach. Danny by za nic w świecie nie wszedł do lasu nawet w dzień, a co dopiero w nocy. Bo to wiadomo, co się w lesie może stać, wszędzie cienie, kryjówki, tabuny włochatych stworzeń grasujących po zmierzchu. Wszystko się może zdarzyć. No ale są tacy, co nie mają nikogo, a gdzieś się muszą schować. Z tym że Robert nie miał powodu się chować, my wszyscy dbaliśmy o niego. Panowało w tej sprawie swoiste porozumienie. Gdyby nie

Laura mówiła, że nie może, ale

Musiał znaleźć

O kurwa

Furgonetka jedzie teraz szybko, mężczyznom na przednich siedzeniach wyczerpały się tematy do rozmowy, chcieliby mieć to już za sobą, wrócić do domu, zejść wreszcie z tych ulic pustych i omiatanych zimnym wiatrem; przez przyciemnione szyby oglądamy mijające nas miasto, długie ulice zachlapane światłem, puste parkingi, podtopione boiska, pozabijane deskami sklepy i ogrodzone płotem ruiny fabryki, i widzimy Steve'a, no prawie, widzimy miejsce, gdzie Steve pomieszkuje, zabity deskami pokój nad sklepem, z którego wymiótł ptasie odchody i pierze, przytaszczył tam materac, pobielił ściany kradzioną farbą. Ma światło i telewizor, bo podłączył się na dziko do prądu z dołu. Pokój zawsze utrzymany w porządku, żadnych śmieci na podłodze, wszystkie wyrzucane przez okno na podwórko. Wala się tam pełno puszek, butelek, baterii i szpargałów, które Steve poznosił, myśląc, że mu się przydadzą, bo ma on taki plan, że urządzi sobie dom na cacy i wystąpi o prawo do lokalu przez zasiedzenie, wtedy wysiłek się opłaci. Opony samochodowe, ramy od rowerów, deski. Rośliny w doniczkach, kable,

framugi okienne. Stado gołębi dziobiące w kącie podwórza podrywa się na odgłos kroków i wlatuje z głośnym trzepotem, gdy Danny dźwiga się na rękach przez mur i zeskakuje na ziemię. Wstaje, otrzepuje ręce i kurtkę, po czym woła w okno na piętrze: Steve! Steve! Gołębie krążą górą, przysiadając na zapadającym się dachu, Einstein szczeka i drapie w mur po drugiej stronie, a Danny dalej woła: Steve, to ja! Danny! Jesteś tam, no odezwij się kurwa, jesteś? Głos mu się łamie, zgina się wpół, żeby odcharczeć i splunąć, kościste dłonie opiera na kolanach, stoi tak zgięty przez chwilę, cienkie pasmo żółci zwisa mu z ust aż do samej ziemi, wreszcie prostuje się i jeszcze raz woła Steve'a po imieniu. Steve gdzie się kur

Z pozostałych nikt nie wiedział, gdzie Steve mieszka, tylko Mrówa, który się czasem u niego zahaczył. Danny wiedział tylko dlatego, że kiedyś w nocy pomógł Steve'owi, przeciągnął go do domu wzdłuż kanału, chociaż mógł go zostawić do rana leżącego w krzakach. Mrówa akurat wtedy siedział. Nie żeby Mrówa miał się na coś przydać. Gorsza noga Steve'a cała obszczana i oblana piwem, ręka Steve'a zaciśnięta na ramieniu Danny'ego. Danny mu wtedy pomógł tylko dlatego, że był Steve'owi winien z ostatniego zasiłku. Jak przeleźli przez mur i zeskoczyli na podwórze, Steve wytrzeźwiał na tyle, że chwycił

Danny'ego dobrą ręką za gardło i wycharczał: Tylko spróbuj powiedzieć jakiemuś skurwysynowi, gdzie mieszkam, to cię zamorduję, gołymi rękami urwę ci łeb. Głos miał cichy i bełkotliwy, i wciskał przy tym kciuk między ścięgna na szyi Danny'ego, jak handlarz ryb wymacujący ości. A przecież

Woła jeszcze raz, aż pięści zacisnął z wysiłku, całym ciałem napięty w stronę okna. Steve! Jesteś tam, no odezwij się, kurwa, jesteś? Zbiera garść kamyczków i ciska w okno, odbijają się od pustej framugi i wpadają ze stukotem do pokoju, w którym Steve leży porządnie na swoim łóżku, z uśmiechem błaskającym się na ustach i przymkniętymi oczami, a Mrówa leży pod przeciwległą ścianą, a gołębie na dachu zrywają się na odgłos kamieni i rozpraszają w kierunku zachodnim, ponad aleję, kanał i zbiornik, po czym wzbijają się wyżej nad zadrzewionym wzgórzem parku i widoczną poniżej dwupasmówką, błyskając podbrzuszkami w ostatnim świetle dnia, a my śledzimy ich lot przez przyciemnione okna furgonetki, po czym spuszcza my wzrok na zapięty na suwak kloc ciała Roberta pomiędzy nami i wspominamy on wspomina my my

Ziemia daleko w dole i gałąź w twojej ręce, beużyteczny kawałek martwego drewna, i spadasz przez

Brat miał dług wobec niego jeszcze z dzieciństwa, i dobrze o tym wiedział. Danny mu wtedy zawsze pomagał, dopóki tylko mógł, dopóki mieszkali razem, dopóki byli tylko oni dwaj przeciw wszystkim. Siedzący po nocy w swoim pokoju, wszystko jedno w którym, bo ich ciągle przenosili. Obmyślających sposoby ucieczki i odnalezienia rodziców, albo przynajmniej życia we dwóch gdzieś z dala od kuratorów, którzy im trują, co wolno, a co nie wolno. A czasami, jak było bardzo źle, jego brat pytał: Jacy oni byli, pamiętasz ich, możesz mi opowiedzieć, jacy byli? On nie pamiętał, ale zmyślał jak potrafił, mówił: Oboje byli wysocy, tata miał rude włosy i czasem zapuszczał brodę, ale potem golił, a mama była taka trochę tęga i często piekła dla nas ciastka i pozwalała, żebyśmy jej pomagali, i oboje głośno mówili i bardzo dużo krzyczeli. Brat i tak się nie poznał na kłamstwie. Był niemowlęciem, jak ich zabrali z domu. Fakt, że i Danny prawie nic nie pamiętał, ale co z tego. Pamiętał sam dom czasami, ale co z tego. Grube brązowe zasłony w dużym pokoju, zawsze w jego wspomnieniach zaciągnięte. No i co z tego. Czerwony chodnik na podłodze, na którym bawił się drewnianymi klockami, jedyną w jego wspomnieniu zabawką w domu. Mrówki na kuchennej podłodze. I tę ciszę pewnego dnia – nagle nikogo, chociaż normalnie przez dom przewalały się tabuny ludzi, ludzie w domu i na podwórku potykali się o niego

ze śmiechem i z krzykiem: Weźcie no wreszcie tego szczeniaka do łóżka. Ustawiał klocki jeden na drugim, dopóki cała wieża się nie zawaliła. Drzwi otworzyły się z rozmachem i nagle w środku zaroilo się od ludzi. Krzyki, nawoływania, tupanie po schodach, ktoś go bierze na ręce, jakaś kobieta, która pachnie inaczej, nie pachnie jak trzeba. Jego brat nic o tym nie wiedział, nigdy nie spytał i nigdy mu nie powiedziano. W ogóle nikt o nic nie pytał. A gdyby nawet. Gdyby spytano go, jak to jest. Odpowiedziałby: to jest tak, jakbyś włączając na drzewo poczuł, że gałąź się pod tobą złamała. Jeszcze się trzymasz, ale już lecisz

Dlaczego nie zawiadomił pan natychmiast policji?

Nie wiem, tak wyszło, byłem w szoku.

Dokąd się pan udał?

Do różnych miejsc, szukałem kogoś.

A konkretnie dokąd?

Do Abbey Day Centre, do Armii Zbawienia, ale nikogo nie znalazłem.

A potem poszedł pan na ten squat, gdzie mieszka pana kolega.

Tak, ale jego nie było.

A jeszcze później poszedł pan do

Poszedł do Heather, do jej mieszkania socjalne-

go, ale mu nie otworzyła. Dzwonił do drzwi jak na-
jęty, ale nie odezwała się. Obszedł blok, wrócił, zno-
wu dzwonił, dzwonił i wołał pod oknem. Zasłony
pozaciągane. Obdzwonił wszystkie pozostałe miesz-
kania, bez skutku. Pewnie się skurwysyny jeszcze
wylegują, żadnemu się nie chce ruszyć dupy. Jesz-
cze raz obszedł blok, jeszcze raz zawrócił, dzwonił,
wołał spod okna i

Była z nich najstarsza, od Roberta starsza o parę
lat, i po raz pierwszy, odkąd skończyła lat naście,
miała swoje mieszkanie, ze swoim adresem i porząd-
nym zamkiem w drzwiach. Nie wolno jej było przyj-
mować gości, ale tyle im o tym mieszkaniu opowia-
dała, że znali je, jakby widzieli na własne oczy. Wie-
szak przy drzwiach, stół, krzesła, łóżko pod oknem,
kabina prysznicowa, sedes, zlew, kuchenka gazowa,
lodówka. I wszystko czyste, ściany odmalowane na
biało, meble nowiutkie, no prawie, i tyle słońca wpa-
da przez okna. Zakaz gości, zakaz narkotyków, ro-
bili kontrole, więc Heather nadal większość czasu
spędzała u Roberta. No ale jednak. Mam dokąd
pójść, Danny, mówiła. Mam gdzie trzymać swoje
rzeczy, słuchać muzyki, wyglądać sobie przez okno,
jak chcę, i zastanawiać się, co dalej. Za długo się nig-
dy nie zastanawiała, więc zawsze dosyć szybko wra-
cała do Roberta. Ale wtedy to jej tam nie było, nie
było jej

Znalazł budkę telefoniczną koło pubu King
George i spróbował dodzwonić się do swojego dile-
ra. Prawie już nie miał nic drobnych, ale kredyt na
komórce mu się wyczerpał, więc co było robić. A i tak,
chuj jeden, nie odebrał telefonu. Odezwała się tylko
poczta głosowa, tak jakby Danny miał zostawić ko-
munikat, jeszcze czego. Zawsze ich trudno namie-
rzyć w porze przedobiedniej, do późnej nocy grzeją
ile się da z własnych zapasów, no ale to przecież co
innego, to już popołudnie, ktoś tam powinien był
otrzeźwieć do tego czasu. Już wychodził z budki,
gdy znów naszła go myśl, żeby zadzwonić na poli-
cję. Doszedł wręcz do etapu, na którym kobiecy głos
zapytał: Z którym wydziałem pana połączyć? – za-
nim rzucił słuchawkę, bo to, co miał do powiedze-
nia, było bez sensu

Znalazłem ciało, ale to nie ma nic wspólnego z
Wszedłem i wyszedłem przez okno, ale to nie ja
Nie wiem

Furgonetka wciąż jedzie dalej, mężczyźni z przodu
rozmawiają o tym, co będą robić w sylwestra, poli-
ciant prosi przez radio o potwierdzenie, że fotograf
będzie czekał na miejscu, a zafoliowane, gnijące cia-
ło Roberta leży pomiędzy nimi, zwiędłe i ciężkie,
jak zrolowany dywan wywożony na miejskie wysy-
pisko. Tak nie powinno być. Powinno być inaczej,

jak za dawnych czasów, powinniśmy sami dźwigać jego ciało, dźwigać je wysoko na marach z gałęzi, pospieszać z jego ciałem na miejsce pochówku. Powinniśmy palić wiązki ziół dla zabicia trupiej woni, a ludzie po drodze powinni stawać w drzwiach, pochylać głowy i mówić: Dzięki wam, chłopcy, za wasze starania, gdybyśmy w czymś wam mogli pomóc, to jak najbardziej. Ulice powinny zostać zamknięte dla ruchu. Powinien nam towarzyszyć jakiś kurwa dudziarz z Armii Zbawienia albo ktoś taki, kamery telewizyjne, helikoptery. Powinniśmy w tej chwili zatrzymać furgonetkę, wysiąść, wziąć go kurwa na ramiona i oddalić się spiesznie z wściekłym tupotem buciorów, mijając zabarykadowane ulice, zakorkowane skrzyżowania, tłumy kierowców, którzy powysiadali ze swoich aut, a za nami wielka, kurwa, procesja, skręcamy z głównej ulicy, przecinamy dziedziniec nowoczesnego biurowca, gdzie wylegli tłumnie urzędnicy w białych koszulach i gapią się na nas, a pijaczkowie z pubu King George leją nam piwo pod nogi niczym ofiarę, hołd dla życia przeżytego w całej pełni, a wszystkie kobiety stoją szpalerem wzdłuż Forest Road, w krótkich mundurkach i wyglansowanych butach, niczym gwardia honorowa, i zstępują na jezdnię, aby wsuwać dwudziestofuntowe banknoty pod całun Roberta, którego my przenosimy, mijając kościół, prosto przez bramę

Furgonetka skręca w Forest Road, mężczyźni z przodu milkną na widok kobiet ustawionych w równych odstępach wzdłuż ulicy. Widzimy, że ktoś rozmawia z jedną ze stojących, ruda kobieta w czarnej skórzanej spódnicy i kozakach, a minawszy je, zauważamy znowu Danny'ego, stoi z pochyloną głową i próbuje skrócić fajkę, ręce mu drżą, ścinki tytoniu sypią się na wszystkie strony, a my

Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia, ale wiedział, że ona zna Laurę. Pomyślał, że może coś wiedzieć. Że mogła ją widzieć, zagadnął: Widziałaś ostatnio Laurę? – a ona odwróciła się do niego i spytała: Co jest?, a oczy miała zwężone w dwie czarne szparki. Cofnęła się, patrząc po ulicy, jakby sprawdzała, czy czegoś nie zgubiła, a jej kumple, którzy już byli dalej, obejrzel się za nią. Danny powiedział: Znasz Laurę, no nie, zdawało mi się, że cię kiedyś z nią widziałem, bo wiesz, ja jej szukam, szukam wszędzie i nie mogę znaleźć. Coś się stało, ja muszę ją znaleźć, muszę z nią pogadać. Większość z tego powtarzał już nie wiadomo który raz, ale teraz dopiero do niego dotarło, poczuł, że bierze go trzęsionka, i niewiele mógł na to poradzić. A co? – spytała ona. Co się stało? Odpowiedział: Z jej tatą, coś się stało jej tacie, ale nie mogę, to znaczy chciałbym najpierw z nią pogadać, koniecznie. O kurwa, powiedziała. Nie, skarbie, nie widziałam jej, powiedziała.

Ktoś ci powinien pomóc zrobić tego skręta, powiedziała. Danny na to: Masz jakiś towar, wiesz, gdzie mogę coś dostać, mój człowiek nie odbiera telefonu. Jestem kurwa u kresu, powiedział, a ona się uśmiechnęła, cofnęła i powiedziała: Tak jak wszyscy, no nie. Jego się spytaj, dodała. Tego w samochodzie. Facet patrzył na niego, gdy się zbliżał, patrzył na Einstein, uchylił minimalnie szybę i skinął na znak, że Danny może mówić. Szukam towaru, powiedział cicho Danny. Czarnej za dziesięć funtów. Już wyciągał banknot ze skarpetki, chociaż gość kręcił głową. Sorry, koleś, powiedział, skończyło mi się. Kłopoty z dostawą, rozumiesz. Danny wyciąga forsy i gapi się z niedowierzaniem, Einstein już podnosi łapę, żeby poskrobać w drzwi auta; tamten się wkurzył: Co ten twój kundel, głupi jakiś, weź go zabierz od mojego samochodu, ty czterooki

Czuł banknot w skarpecie odchodząc, zmięty i wilgotny od potu i chyba czegoś jeszcze, od czego miał mokre stopy. Nie przywykł Danny do noszenia przy sobie tak długo gotówki. Normalnie problem był nie jak ją wydać, tylko raczej jak ją zdobyć. Wybrać od ludzi spieszących do pracy, posprzedawać „Issue”, magazyn bezdomnych, na ulicy, zwięździć gdzieś w sklepie golarki, baterie, mięso i co tam jeszcze łatwo jest opylić w pubie, pozebrać znowu w porze lunchu, przykleić się do kogoś, kto akurat

odebrał zasilek, i wysępić ile się da. I cały czas liczyć, liczyć każdy pens, aż się uzbiera dość na sazetkę za dziesięć funtów, która pozwoli im przetrwać do następnego razu. Trzy, cztery razy dziennie, odmierzając godziny, zbiera się do kieszeni drobniaki, aż wreszcie można je zamienić na towar. A potem w żyłę, rozkmina, i znowu to samo od początku. Zajęcie na dwadzieścia cztery godziny, żeby nie dopuścić do drżączki. Sporo wysiłku trzeba, żeby ją powstrzymać, sporo, jak to się kurwa mówi, przedsiębiorczości. Najlepiej na ulicy szło dziewczynom, najwięcej dostawały forsy i najwięcej znosiły towaru, i to w najlepszym gatunku. Wzruszały samym widokiem, ubrane nie na tę pogodę. Pewnie i dzisiaj robią niezły interes. Pewnie dzień w dzień przez okrągły rok robią niezły interes. Sprawdza się podstawowe prawo podaży i pożądanja, nie zdarza się właściwie, żeby dziewczyna uskarżała się na brak

Czasami nawet sam by się na to zgodził. Zazwyczaj miał odmienne priorytety, ale tak od czasu do czasu, czemu nie. Mały kurwa numerek, chodź no tutaj kurwa, patrz kurwa, no jak ci się kurwa podoba, a teraz daj no kurwa, o tak, o kurwa

Ale chwilowo miał inne zmartwienia, na przykład

Nad kanałem dostał mdłości i zaczęło go trząść. Skurcze żołądka, bóle w nogach, w plecach, we wszystkich kościach. Ściągnął spodnie za krzakiem, bo czuł, że już z niego leci, czarne i dymiące, prosto na ziemię, nawet nie miał czym się podtrzeć, więc podciągnął z powrotem portki, może później da się coś z tym zrobić. Jak będzie okazja, jak się nadarzy okazja, jak już wszystko się jako tako ułoży i będzie czas o tym pomyśleć. Zimne poty, paskudne uczucie, no i gdzie jest ten Mike, jak go potrzeba. Na ogół trudno się pozbyć skurwysyna, a teraz

Nie powinien był jechać do brata. Powinien był przewidzieć, że niczego nie zmienia fakt, że są święta. Jak się chciał pobawić w rodzinę, to miał przecież Roberta i resztę. Albo mógł raz jeszcze odwiedzić Laurę i nadrobić zmarnowaną okazję. A teraz to już pewnie jest za późno. Czasem mu się zdawało, że zawsze było za późno. Nawet za pierwszym razem, jak ją tylko poznał. A to było wtedy, jak kręcił się koło kościoła katolickiego, czekając, aż otworzą na obiad, i Laura go poprosiła o fajkę, a on akurat miał trochę tytoniu, więc poczuł, że po raz pierwszy od dawna coś jest jak należy, a jej to wyraźnie zaimponowało, widać to było po uśmiechu, z którym powiedziała: Tylko nikomu nie mów, i dodała: Jak ty nie powiesz, to ja też nie powiem. Tak jakby miała na myśli coś innego. Wszystko to mogło zna-

czyć. Krwawe ranki wokół jej ust otwierały się przy uśmiechu. Miała ciemne wory pod oczami. Twarz ściągnięta, blada, włosy rzadkie i ulizane, ale nie-trudno było zgadnąć, że kiedyś to była super laska, chociaż dawno już nie jest. Zrobił jej skręta, a ona powiedziała: Och, dzięki, kolego, jesteś brylant, jesteś gwiazdka z nieba. Podnosiła się i opuszczała na palcach stóp, jakby zmarzła, chociaż dzień wcale nie był zimny. Drapała się po szyi, po tyle głowy, po twarzy, a jak się zaciągnęła fajką, to tak mocno, jakby ją miała wypalić za tym pierwszym sztachnięciem. Widać było, że czegoś mocniejszego jej trzeba niż tytoń. Widać było, że od tytoniu wcale jej się nie polepsza. Jak tylko sobie poszła, doskoczył do niego Mike i zaczął mu saczyć w ucho: Ty lepiej nie zaczynaj

Wyszedł przy nieczynnej stacji benzynowej, na której krzaki zarosły miejsca po dystrybutorach, i ruszył krętą drogą pomiędzy torami a obwodnicą, raz w lewo, raz w prawo, znowu w lewo, znowu w prawo, mijając białe domki z samochodami zaparkowanymi w ogródkach i niskie drewniane płotki, na ogół połamane, a spoza cienkich wejściowych drzwi dobiegało wredne ujadanie psów. Dwóch chłopaków kręciło się koło budki telefonicznej na rogu, chodząc tam i z powrotem i rozglądając się, więc zagadnęła ich: Chcecie zarobić? Popatrzyli po sobie. Jeden

powiedział: No jasne, a co, ty szukasz? To zaczekaj tutaj, kupisz sobie od naszego kolegi, ale musisz się z nami podzielić. Drugi spytał: Wiesz, która godzina? Więc Danny wyciągnął komórkę, żeby sprawdzić, i to był błąd, bo jeden z tych dwóch zasunął go w twarz, wyrwał telefon i kazał spierdalać. Nic nie można zrobić w takiej sytuacji, zwłaszcza że to była jego własna wina. Einstein zaczęła czekać i rzucać się na nich, ale Danny ją odciągnął i zwał ulicą w drugą stronę, na samym rogu poślizgnął się na drodze i wyrznął głową w zmarzniętą glebę, ale pozbięrał się, zgarnął okulary i pobiegł dalej, na wypadek gdyby tamci chcieli mu jeszcze dołożyć. Co innego można zrobić w takiej sytuacji, no nic, zawsze jakiś chuj człowieka dopadnie, zabierze ostatni

O Jezu, jakim on byłby szczodrym człowiekiem, gdyby miał taką szansę

No i co cię usprawiedliwia, chłó

Albo jakbyśmy żyli nad morzem, jak jacyś kurwa wikingowie czy co, załadowalibyśmy go na łódź, podpalili i pchnęli na wodę. Całą grupą, całą jego rodziną z przyjaciółmi, znieśliśmy go nad brzeg ze wszystkimi rzeczami potrzebnymi do ostatniej podróży, a więc mieczem i tarczą, zbroją, hełmem, napierśnikiem i tak dalej, plus kobiety niosłyby kwiaty i kosze owoców, chleba, mięsa, i jeszcze kur-

wa gąsior wina, i władowałoby się to wszystko razem z nim do łodzi, przykryło słomą, przyłożylibyśmy mocarne ramiona żałobników do trzeszczących belek burty i zepchnęlibyśmy łódź po mokrym piasku na morskie fale, i rzucilibyśmy za nią zapałkę, i patrzylibyśmy, jak płonie, dryfując coraz

A co to jest napierśnik

Gdyby się tak nie guzdrał z powrotem, już miałby jakiś towar. Mógł być przy Robercie, mógł zapobiec temu, co się stało. I miałby teraz towar i by się tak nie trząsał. I może Laura by tam była, u Roberta, i nie musiałby latać i szukać jej po całym mieście, nie musiałby szukać kogokolwiek, komu można powiedzieć. Laura siedziałaby na podłodze przy krześle Roberta, zawiązując i rozwiązując sznurówki butów, przemawiałaby cicho do niego albo podawałaby mu drinki, albo przypilnowałaby, żeby miał co jeść. Albo siedziałaby na łóżku w małej sypialni blisko wejścia, to było jedyne w tym mieszkaniu łóżko, ten pokój był kiedyś jej pokojem dziecięcym i do niego się właśnie wprowadziła, jak wróciła, żeby zamieszkać z ojcem. Do tego pokoju wychodziła dać sobie w żyłę, bo, jak mówiła, nie chciała, żeby Robert musiał patrzeć, jak ktoś to robi, a już zwłaszcza jak ona. Większość ludzi korzystała w tym celu z kuchni, ale Laura wolała swój pokój. Mogła jej najwyżej

towarzyszyć Heather, która zawsze liczyła na małą działkę za pomoc Laurze w znalezieniu żyły. Jak się je widziało siedzące tak razem w tym pokoju, gdy przechodziło się korytarzem i zerknęło do środka, to można było pomyśleć, że są dla siebie jak matka i córka. Przynajmniej wiekiem pasowały. Heather obejmowała Laurę za ramiona, a jak zauważyły Danny'ego, obie podnosiły oczy, jakby je zaskoczył przy zwierzaniu sobie wzajemnie sekretów. Co niewykluczone, że robiły. Sekretów miały aż za dużo, wszyscy

No na przykład ten mały Ben, bez przerwy uśmiechnięty, bez przerwy próbujący zetrzeć uśmiech ręką. Jakby miał jakiś sekret, zbyt cenny, żeby go podzielić z Danny'm i resztą, przeznaczony dla lepszych słuchaczy. Właściwie nie wiadomo, po co się koło nich pętał, tyle że jakoś zawsze miał forszę. A to ważny powód. Ale trzymały się go wredne żarty, potrafił na przykład drażnić Einstein, machając jej nad głową czekoladowym batonem, tak że biedna Einstein kręciła się nie w tę stronę, co trzeba, i potykała się o własną kulawą łapę. A ten się śmiał i udawał, że nie chciał zrobić psu krzywdy. Albo jakiś czas temu, jak czekali przy budce telefonicznej, podchodzi do Danny'ego i mówi: Coś ci powiem, szkoda, że nie widziałeś wczoraj Laury, całkiem odleciała, blada była jak prześcieradło i bredziła bez sensu,

spodobałaby ci się w takim stanie, i jeszcze ci powiem wielki sekret, miałem wielką ochotę zaciągnąć ją kurwa za

Kiedy widział go pan po raz ostatni?

Już mówiłem.

Kiedy widział go pan po raz ostatni żywego i zdrowego?

Nigdy go nie widziałem żywego i

Skarpą w dół i z powrotem wzdłuż kanału, potykając się i zahaczając nogą o sterczący pień, rozdierając sobie portki i czując pod ręką krew, jak dotknął nogi w tym miejscu. Einstein cały czas obok, po cichym skomlaniu poznać, że znowu jest głodna. Trzeba jej było dać dokończyć tę karmę w ośrodku dziennym u Maureen. A może w ogóle powinien tam wrócić. Może inni już się zeszli, może znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział, gdzie się podziali, albo da mu chociaż namiar telefoniczny na towar. Sam nie wiedział, co ma robić, ale wstał i ruszył dalej. Co innego pozostało. Czarna woda kanału zaciągnięta olejem, żadnych na wodzie łódek. Nikt nie łowi ryb. Poszedł dalej, bo co innego miał robić, a jak się idzie, to zawsze coś tam się na końcu znajdzie. Wyszedł przez krzaki na pusty parking supermarketu, jeszcze daleko miał do głównej alei, na której obrotowe kamery śledzą każdego, kto się zbliża. Budka tele-

foniczna na rogu przy różnie, więc spróbował jeszcze raz do swojego dilerza, znowu głucho, odwiesił szybko słuchawkę, żeby odzyskać monetę, nawet już nie pomyślał o dzwonienu na policję, bo teraz ważne było, żeby gdzieś kupić działkę, zażyć czym prędzej, bo

Kurwa, każdy dzień taki sam, człowiek walczy, żeby utrzymać głowę nad wodą. Albo raczej nad wrzącą smołą czy czymś takim, a tymczasem zawsze się znajdzie jakiś chuj, który chce cię wepchnąć z powrotem pod

Ostatnim razem widział Laurę w jej pokoju w schronisku. Małeńka klitka z wąskim łóżkiem i prawie niczym więcej. Leżeli na tym łóżku we dwójkę i było chociaż ciepło i sucho. Danny'emu pierwszy raz od paru dni udało się coś trafić, a Laura go wpuściła na waleta pod warunkiem, że jej odpali część działki. Uznał, że to dobry interes. Wszedł drogą przeciwpożarową, a Laura powiedziała, że nie przejmuje się personelem, bo i tak niedługo się stamtąd wynosi. Podgrzali, jak tylko weszli do pokoju, i nawzajem dali sobie w żyłę, a mało było rzeczy przyjemniejszych niż moment, w którym Laura wbijała mu strzykawkę. Zazwyczaj była roztrzęsiona i narwana, jak oni wszyscy, ale gdy ze strzykawką w ręku szukała na nim żyły, nieruchomiła, spowalnia-

ła i emanowała czułością. Wstrzykując, patrzyła mu w oczy. Było inaczej. Tak jak najbardziej lubił. I towar dobry, lepszy, niż trafiał im się od dawna, spróbowali najpierw po troszku i nawet nie musieli brać więcej. Prawie pełny odjazd i super uczucie jak za najlepszych dawnych dni. Spytała go, skąd taki wziął, i kazała mu koniecznie powiedzieć innym, jaki to dobry towar. Żeby uważali na przyszłość i tak dalej. Leżeli, paląc, a za każdym razem, jak Danny zrobił jej skręta, Laura mówiła: Dzięki, stary, jesteś brylant, jesteś gwiazdka z nieba. Potem się okazało, że ona mówi tak do wszystkich, nie tylko do niego. Więc następna rzecz bez znaczenia. Do kompletu. Kurator znalazł Laurze ten pokój, bo od nowego roku szła na odwyk, wszystko było uzgodnione, kurator jej radził, żeby spróbowała utrzymać się przez święta z dala od nas. Miałaś dość siły, żeby dojść aż tak daleko, powiedział jej. Tak oni przemawiali. Nie daj się teraz odwieść od swoich zamiarów, ostrzegał. Laura nikomu o tym nie mówiła, ale teraz mówiła Danny'emu, na tym wąskim łóżku. A to już coś. Leżeli blisko siebie, ale nic z tych rzeczy, przez chwilę Danny myślał, że może, ale nie. Żadne z nich nie miało na to ani energii, ani czasu, bo przecież cały dzień im schodził na gromadzeniu forsy na działkę. Leżąc na łóżku, powiedziała: Danny, wierz mi, tym razem dam radę. Już to nieraz słyszał. Dosyć mam, powiedziała, nigdy nie chciałam zabrnąć w to aż tak

daleko, chcę być z powrotem czysta, czaisz, chcę być czysta. Obróciła na niego swoje sarnie oczy, zbyt blisko, żeby widzieć go wyraźnie, głos miała ciepły, niewyraźny, wymamrotała: Wierzysz mi, Danny, prawda? A on przez chwilę zobaczył ich oboje gdzie indziej, gdzie jest czysto, była to wizja krótka i osamotniona: leżą czyści i zdrowi w szerokim, wielkim łóżu, ich własnym, samochód czeka na podjeździe, dwa samochody, mają pracę, do której chodzą codziennie, jego soczewki kontaktowe leżą w małym pudełeczku na nocnym stoliku, z nieskazitelnej kuchni w drugim końcu domu niesie się zapach kawy i grzanek, a oni, czyści i nadzy, w łóżku, w miękkiej białej pościeli, bez lęku i wstydu, bez blizn, ran, sińców i strupów, niczego nie muszą ukrywać, gdy budzą się przy otwartym oknie do nowego dnia, wietrzyk z zewnątrz niesie do pokoju woń świeżo skoszonej trawy, pogwizduje listonosz, jest ciepło, jest wiosna i takie tam bajki. Spojrzała na niego, usta miała spękane do krwi, palce z poobgryzаныmi paznokciami szarpały pasma tłustych włosów, a ona znowu: Danny, uwierz mi, tym razem będzie inaczej, tym razem naprawdę dam radę. Co jego tylko rozśmieszyło, bo ile już razy kazała mu wierzyć w te bajki, i nie ona jedna, ale prawie wszyscy. Przez całe życie ktoś go prosił, żeby uwierzył w coś, co okazywało się gównem. Będę czysta. Oddam ci forsy w przyszłym tygodniu. To jest tylko sytuacja

przejściowa. Niedługo spotkasz się z rodzicami. Jak będziesz trzymał gębę na kłódkę i siedział na dupie, to nic

Poszedł do tego centrum zimowego, co mówiła Maureen, ale i tam nie było nikogo. Wywieszka na drzwiach informowała, że otwierają o dziewiętnastej, ale i tak trzeba być z polecenia. Obszedł od tyłu stary drewniany magazyn obok schroniska, spał w nim nawet parę razy, ale stale go podpalali, więc postawiono zamykane ogrodzenie. Zresztą nie warto było tam spać, bo tłok był niesamowity i sporo typów przychodziło takich, do których człowiek bałby się stanąć plecami, a co dopiero zasnąć w pobliżu. Ciągłe jakieś bójkę tam odchodziły i jeszcze gorzej. Raz widział, jak Mrówa zamalował faceta półówką cegły w sam środek twarzy. Potem się tym przechwalał chyba przez godzinę, powtarzając: Ten dupek nieszczęsny powinien się cieszyć, że nie znalazłem całej, po co gnojek otwierał japę

Żałował w życiu chyba z miliona rzeczy, ale tamto śmianie się z Laury zajmowało pierwsze miejsce na tej liście. Gdyby tak teraz mógł to cofnąć. Gdyby mógł wrócić i powiedzieć jej: Laura, staruszek, oczywiście, że ci wierzę. Tym razem będzie inaczej. Co było kłamstwem, ale czy tak trudno powiedzieć coś takiego, zamiast się wyśmiewać, i śmiać się dalej,

nawet kiedy Laura zepchnęła go z łóżka, cisnęła w niego fajką, grzmociła pięściami i bełkotała: Spierdalaj stąd, spierdalaj stąd, spierdalaj stąd, ale już. Jeszcze by teraz tam leżeli, gdyby się nie śmiał. Na pewno. No ale co. Co z tego. Jakby gdybanie dawali w saszetkach po dziesięć funtów, to już by miał odlot bez końca. A wtedy śmiał się jeszcze z tego, jak ona to mówiła, to swoje tym razem będzie inaczej: robiła wielkie oczy i potakiwała sobie głową jak mała dziewczynka opowiadająca o Świętym Mikołaju, do dzisiaj chciało mu się z tego śmiać. Bo to było śmieszne. Bardzo śmieszne. Pięć lat grzał i przez te pięć lat prawie każdy jego znajomy ćpun z czymś podobnym wyjechał. Ja pierdołę, Danny, mam dosyć, postanowiłem, że będę czysty, postanowiłem

Wrócił na Barford Street i na to skrzyżowanie, gdzie przedtem widział Sammy'ego, gdzie zawsze widział Sammy'ego i gdzie Sammy był również teraz. Siedział na swojej ławce, dopijając resztki z puszek. Sammy, stary, szukam Laury, szukam Mike'a. Nie widziałeś ich? Sammy? Sammy podnosi na niego oczy, powoli, wolniej niż urzędniczka z działu zasiłków. Mruży powieki i krzywi się, jakby go zabolalo od słońca. Wygląda, jakby zdążył zapomnieć pytania, zanim podniósł głowę, więc Danny powtarza. I tak musi czekać na odpowiedź, która ciurka po jednym słowie na raz.

Nie widziałem
ni chuja
od

We dwójkę leżeli razem na wąskim łóżku, ale już tak nie będzie. A gdzie ona teraz. Co by powiedziała, jakby jej powiedział. Czy by

Mike wiedziałby, co robić. Danny namyślił się. Mike będzie w squacie na Parkside i na pewno wie, co jest grane, co się stało, co teraz robić. Może nawet ma jakiś towar, albo wie, gdzie można

Z Laurą czasami nawet nie musiało być aż tak. Czasami zachowywali się po prostu jak kumple, jakby mieli po dziesięć, piętnaście lat mniej, właśnie zerwali się ze szkoły i robili wygłupy. Na przykład wtedy, jak chciał zdobyć porządniejsze jedzenie dla Einstein i zaplanowali to z Laurą jak skok na bank, Einstein zostawili pod Tesco w charakterze czworonożnej czujki, dokładnie trzyipółnożnej, ale jak już znaleźli się w sklepie, to nic sprytniejszego im nie przyszło do głowy, jak złapać po kilka puszek i dać nogę. Dobiegli do połowy ulicy, zaśmiewając się tak, że puszki im leciały z rąk, kiedy uprzytomnili sobie, że Einstein wciąż siedzi na czatach pod sklepem. Uszy kurde na sztorc i tak dalej. Musieli podkraść się z powrotem i zawołać ją, a i tak nie od

razu zeszła z posterunku, więc Laura pomstowała: Nie jest to najmądrzejszy kurwa pies na osiedlu, geniuszem to ona nie jest. Takie życie to Danny'ego kręciło, co jednak nie znaczy, że

Cholerny Sammy. Siedzi tam przez okrągły dzień jak pan na włościach, jak etatowy strażnik, a prostej odpowiedzi nie uświadczysz od niego na żadne pytanie. Nie chodzi nigdy do ośrodków dziennych, nigdy go nie widzieli w dziale zasiłków, nic z tych rzeczy. Pewnie mu kurator załatwia te sprawy. Mieszka w jednym z tych budynków socjalnych na The Green, w domu dla starych dziadków, o których kuratorzy mówią „niereformowalni”, a reszta ludzi „zajebani”. Dla starych dziadków, którzy piją od lat i sami już nie pamiętają, kiedy zaczęli. Na pewno zresztą i oni mają swoje historie i tak dalej. Ale nie mamy czasu na

Atak trzęsionki grozi w każdej chwili, co dzień to trudniej wytrzymać. Na przykład wtedy, jak policja urządziła pokazowy nalot, z kamerami i buldożerami, i przez dwie i pół doby nikt nie mógł pukać ani działki. Danny zwiął wtedy do starej przyczepy kempingowej, do której swego czasu włamał się na działkach, i legł na zapleśniałym materacu, wygodnym jak mniej więcej łóżko fakira. Odpocząć nie mógł, ułożyć się nie mógł, uleżeć spokojnie nie

mógł, bo miał skurcze i szpile bólu przeszywały go od stóp do głów, wymioty i biegunka szły z niego jeszcze długo po tym, jak czuł, że już nie ma co wydaląć. Zażyć po czymś takim świeży towar, to jest coś, to jak koło ratunkowe, jakby ci się kurwa spadochron nad głową otworzył albo

Jak cię raz coś takiego dopadło, to już więcej nie chcesz. Ludzie mówią o detoksie, ale jak to ma być tak, to niech się pierdola. Kołatka śmierci ciągnie się za tobą przez cały dzień, jak hajcujesz, dajesz w żyłę, podgrzewasz, odmierzasz i ledwo dajesz radę utrzymać ją

Śmieszne w Laurze było to, że zawsze udawała, że w ogóle nie jest uzależniona. Boki zrywać. Tym ją załatwią zaraz na dzień dobry, jak się faktycznie kiedyś zgłosi na odwyk; zanim jeszcze wejdzie na górę i rozpakuje rzeczy, zrobią jej wykład: Tutaj, Lauro, nie ma miejsca na zaprzeczanie, pierwszy krok, Lauro, to akceptacja. Zawsze udawała, że zaczęła brać przez pomyłkę, a teraz bierze tylko tyle, żeby funkcjonować, do czasu aż załatwi sobie parę spraw. Tylko że do załatwienia miała całe życie. Bio-rę tylko dla dobrego samopoczucia, mówiła. Opo-wiadała, że złożyła papiery na studia, że chodzi na kursy przygotowawcze itepe, że załatwia sobie mieszkanie, ale może w innym mieście, bo czuje, że po-

winna się przeprowadzić i zerwać z tym tu środowiskiem. Tylko po to, żebym była w formie, dopóki nie załatwię

A jednak, gdyby się wtedy nie śmiał, toby go nie wyrzuciła. Nie odzywaj się więcej do mnie, powiedziała mu. Żebyś mnie tu nigdy więcej nie szukał. Nie chcę więcej oglądać twojej czterookiej gęby. Potrzebuję mieć wokół siebie ludzi, którzy popierają moje kurwa decyzje, mówiła, pewnie cytując swojego kuratora, jak papuga. No to Danny ją nazwał dziwką i szmata, wziął swoje rzeczy, swój towar i powiedział jej: Pierdol się sama, a potem trzasnął drzwiami z całej siły, aż jeszcze więcej tynku odpadło od framugi. Zareagował automatycznie. To należało do scenariusza. Nawet przez myśl mu nie przeszło, że

Albo jakbyśmy byli w ciepłych krajach, to zawięlibyśmy go po prostu w prześcieradła i jutę, ułożyli na stosie zbudowanym z gałęzi oliwnych, skrzynek po towarach i starych opon, tam byśmy mu umościли gniazdko, w samym środku, i stanęlibyśmy wszyscy kołem, odmawiając modlitwy i patrząc, jak płomień łaszą się kapryśnie do jego ciała, jak opadająca z tego ciała juta żarzy się ogniem i sieje iskry, podsycalibyśmy żar i zarzucali go drągami na smażące się zwłoki, pilnując, żeby spłonęły doszczętnie,

zanosząc kurwa modły i pieśni, gdy jego czaszka pękłaby z cichym hukiem, gdy kości z traskiem porzypadałyby się w drzazgi i popiół. Zamiast tego. Zamiast ukrywać go w furgonetce i wywozić chyłkiem przez wyludnione

Przez przyciemnione szyby śledzimy go. Danny'ego. Jest już w desperacji, jaką tylko my znamy, nogi mu się plączą w wystrzępionych dołem nogawkach, koce nasiąkły wodą, Einstein podskakuje i poszczekuje, przeciskając się przez szparę w płocie ogradzającym opustoszałe ulice i bloki starego osiedla Parkside Estate, z którego ostatni lokatorzy wynieśli się dwa lata temu, ale rozbiórka jeszcze się właściwie nie zaczęła. Nie licząc tego, czego dokonali chuligani: okna wszystkie powybijane, drzwi pozrywane z zawiasów, powyrzucane na ulice i podwórka. Wanny i umywalki pozrzucone z wysokości czwartego piętra toną w chaszczach, które wybijały dookoła na ludzkim nawozie. Czarne plamy spalenizny, jak rozmazany tusz do rzęs, okalają ziejące pustką okna popalonych mieszkań. A na każdym wejściowych drzwiach wymalowany farbą wielki czerwony X oznajmia firmie rozbiórkowej, że prąd elektryczny został bezpiecznie odcięty, a squatterom i ćpunom, że mogą się tutaj osiedlić jeszcze na jakiś czas i nikt im nie będzie przeszkadzał. Furgonetka jedzie dalej, wjeżdża w tunel pod linią kolejową, tra-

cimy Danny'ego z oczu w momencie, gdy wkracza w opuszczoną klatkę schodową, z Einstein ochoczo dotrzymującą mu

Mike'a jednak nawet tam nie było. Obszedł Danny wszystkie mieszkania, w których razem sypiali przez prawie miesiąc, ale Mike'a nie znalazł. Mógł leżeć uwalony na kupie koców, mógł stać przy oknie, mógł nawet warzyć towar, ale go nie było. Nikogo tam nie było. No to już nigdzie indziej Mike'a nie mogło być, jak go nie było u Roberta, jak go nie było w ośrodku, to znaczy, że gdzieś wyjechał, na to wygląda, czyli że jeszcze jeden drań puścił Danny'ego w

Schody śliskie, oblodzone, obszczone, poręcze powyrywane ze ścian, rzygać się chce. Z ciemnych bram dochodzą jakieś głosy, pomruki, mamrotania i jęki. W bloku naprzeciwko słychać wrzaski, trzask łamanego drewna, zdławiony nagle krzyk. Psy szczekają, ktoś je ucisza, znowu szczekają, pomarańczowe płomyki rozbłyskują na tle wieczornego nieba, iskry szybują aż pod chmury

Chociaż może Mike się przeniósł z jakichś powodów do innego mieszkania; Danny sprawdził kilka po kolei, ale nikogo nie znalazł, a skurcze, bóle i drgawki tak go już męczyły, że ledwo stał na nogach, ledwo szedł, już nie chciał nic innego tylko

Mike go nigdy nie oskubał z towaru, najwyżej raz czy dwa, ale to było co innego, to się nie

Małolaty, usłyszał, włązą po schodach, tłukąc butelki, więc Danny cofnął się w przeciwną

Wtedy to Mike miał powód, sam mu powiedział, głosem niskim i przejmującym powiedział Danny'emu: Przepraszam cię i w ogóle, ale myślałem, że ty już nie przyjdiesz. Mały Benny powiedział, że się gdzieś przeniosłeś z Laurą, więc uznałem, że nic ci nie potrzeba, a słyszałem właśnie, jak jedni ludzie, wiesz, tamci, co ci opowiadałem, że ich widziałem w ośrodku, co mnie tropili, odkąd im jakiś gnój powiedział, że robię ich w konia, no więc słyszałem, że oni chcą ściągać z nas haracz, no to sobie pomyślałem, że najbezpieczniej będzie zużyć cały towar, żeby go nie zakosili, plus jakby potem przyszli i mnie skopali, to nic by mnie nie bolało, czaisz, i w ogóle. Tak że to tylko z tego powodu, ja cię nie chciałem okraść, jak słowo daję, wiesz, że bym ci tego nie zrobił, ale to była wyższa konieczność, rozumiesz mnie, tyle że potem się okazało, że mały Benny się pomylił, a tamci ludzie też nie przyszli, ale ja w każdym razie działałem w najlepszej intencji i w imię potrzeby, która jak to się mówi, jest matką no nie pamiętam czego, pewnie sam wiesz, no czaisz, bo ja w ogóle

Spali gdzie popadło, zanim znaleźli te pustostany na Parkside. Po bramach i ślepych zaułkach. W podziemnym tunelu przy kotłowni, którym gorące rury wędrowały pod wielkie centrum handlowe, ciepło tam było, owszem, ale stanowczo za dużo szczurów, takich wielkich i agresywnych, że nawet Einstein wolała zostawić je w spokoju, dlatego w końcu porzucili to miejsce. Parę razy spróbowali przenocować w publicznych szaletach, ale na ogół ich stamtąd przepędzano. O spaniu w ich przypadku trudno zresztą mówić. Brali po ostatniej działce, żeby w ogóle zasnąć, a potem, zdawało się, ledwo przymknęli oko, już budzili się na nowo, zziębnięci i chorzy, szukając po omacku następnej działki. Może i spali między jedną a drugą nawet po kilka godzin, ale czuli się, jakby to była minuta. Kiedyś rano ocknęli się na jakimś podwórku, na którym było pełno zdechłych myszy, pozamarzanych na kość. Całe szczęście, że oni zdążyli obudzić się w porę. Niektórzy nie zdążają. Łatwo jest zamarznąć i więcej się nie zbudzić, łatwo jest przemoknąć i chodzić w mokrych łachach, nic z tym kurwa nie robiąc, człowiek oczadziały od narów tak czy owak nie czuje różnicy. I skończyliby zamarznęci na sztywno jak te myszy. Puknąć ostatni raz w żyłę, zwinać się w kłębek i zasnąć, i nigdy więcej się nie obudzić. Nieraz jeden z drugim wygląda nad ranem, jakby kimał, tyle że jakiś jest sinawy i zimny jak gład pod

dotknięciem. Zdarza się. Są gorsze rodzaje kitowania. Ale pustostan na Parkside był lepszym miejscem niż te wszystkie. Cztery ściany, dach i nikt nie przeszkadza. Mogli stamtąd wychodzić, zostawiając rzeczy, i wracać, miejsca było od metra, a nie mieli nic takiego, co ktoś mógłby im ukraść. Wielka zmiana. Dzień stawał się łatwiejszy, gdy było wiadomo, gdzie się spędzi noc. Danny'emu czasem się zdawało, że pół życia przepędził na szukaniu łóżka. Wszystkie jego ucieczki, włamy, krzyki, awantury i kradzieże miały na celu znalezienie ciepłego i suchego kąta, w którym można przygrzać towar i trochę odpocząć. A o bezpieczne i spokojne miejsca nigdy nie było łatwo. Nieważne, ile masz koców, jak się nimi przykrywasz w niewłaściwym miejscu. Nawet czysta pościel i puchowa pierzyna nie pomogą, jak w drzwiach nie ma zamka, a po domu pęta się podły drań. A nawet i zamek w drzwiach nic nie da, jak ktoś

Jezu, człowiek prosi o tak niewiele

Zszedł drugimi schodami i spotkał małolata, który stał i wyglądał, jakby na kogoś czekał albo chciał zahandlować. Czapka, kaptur, jedna nogawka podwinięta, rower oparty o ścianę. Widział go tam już parę razy i nawet raz czy dwa u niego kupił, więc spytał, czy sprzedaje albo zna kogoś, kto by sprze-

dał. Małolat przez dobrą chwilę nic nie odpowiadał, tylko się na niego gapił. Wreszcie zapytał, czy Danny jest kumplem Bena, a jak Danny powiedział, że tak, to dał mu numer telefonu. Mówił, żeby zadzwonić z budki przy Miller's Arms i poprosić Michelle. Dodał, że nie jest to najwłaściwszy moment, bo ostatnio było parę wpadek, więc wszyscy zrobili się dosyć czujni. Danny prawie biegiem przeciął podwórze, mijając drzwi oznaczone czerwonym X, znurkował w dziurę w płocie, potem główna ulica, rondo, pub Miller's Arms i budka telefoniczna

Nie zawsze łatwo było zgadnąć, o czym Mike mówi, i prawdę mówiąc, na ogół nie warto było o to pytać. Szczególnie że nie zawsze łatwo było zgadnąć, do kogo mówi. Bo stale się rozglądał i nasłuchiwał przez telefon. Jak się go poprosiło, żeby powtórzył głośniej, to pytał zaskoczony: Co chciałeś, stary? O, sorka, nie do ciebie mówiłem. A jak już mówił do człowieka, to nie zawsze z sensem, ale i tak najlepiej było mu potakiwać: No jasne, Mike, rozumiem cię świetnie. Nawijał coś o policji, o rządzie, o tajnych agentach i takie tam. Że trzeba stale patrzeć za siebie i uważać, czy ktoś nie podsłuchuje. Takie tam niegroźne gadanie, ale dosyć trudno było przez to z Mikiem wytrzymać. Na przykład jak nadawał o tych, co go stale śledzą, co ich widzieli w ośrodku dziennym. A nie widzieli nikogo w ośrodku dzien-

nym, przynajmniej Danny nie widział. Ciągłe opowiadał, że ktoś go śledzi i ktoś go pobił, chociaż według Danny'ego nic takiego nie miało miejsca. Jemu samemu nieraz spuścili łomot, odkąd się wprowadził, a ile razy przedtem, w różnych innych miejscach, no i rzecz jasna kiedy jeszcze był

Mike stale nawijał o takich rzeczach, ale raczej mu się one nie przytrafiały. Stale powtarzał: Danny, wiesz, co im zrobię, jak tylko spróbują, wiesz, jak ode mnie oberwą, ilu by ich tam było, dostaną za swoje, jak nie od razu, to potem, ale ja im nie puszcę tego płazem, wytropię ich, wyłuskam z kryjówek jednego po drugim i już mi wtedy taki nie podskoczy, czaisz no nie, żelaznym prętem po kolanach, płytą chodnikową przez łeb, i odechce im się śmichów-chichów, bo czaisz, jak ja się

Dlaczego tak późno skontaktował się pan z policją?

Bo bałem się, że uznają mnie za podejrzanego.

Skąd ta obawa?

Bo byłem tam jako ostatni. I jestem notowany.

Zechce pan nam powiedzieć, za co był notowany?

Macie to u siebie w aktach, możecie sami sprawdzić.

Co, pana zdaniem, przydarzyło się Robertowi?

A skąd mam kurwa wiedzieć, nie było mnie tam.

A co się, pana zdaniem, stało w pańskich przyjaciółmi?

Cholera wie.

Dokąd, jak pan przypuszcza, się wy

Strata czasu przypominać sobie te wszystkie pytania, strata czasu zastanawiać się, czy policja go o coś podejrzewa. Czy tak, czy siak, policja ma to równo w dupie. A Robert, kto wie, może nawet trafi do gazet z powodu

Przeszedł przez rondo, wykręcił numer i usłyszał głos, którego nie znał; zazwyczaj znało się ludzi chociaż z twarzy, jeśli nie z imienia, ale tej osoby nie znał. Dziewczyna, która odebrała telefon, chciała najpierw wiedzieć, kto mu dał numer, więc jej powiedział o tym małolacie, gdzie go dokładnie spotkał, i że zna Bena z

W pubie światła zapalone, ale prawie nikogo. Gość za barem w koszulce rugbisty pociera ręką twarz i gapi się w sufit. Telewizor chodzi w kącie, świąteczne dekoracje dyndają na ścianach. Drzwi się nagle wahały, ale ktoś widać zmienił zdanie, bo nikt nie wyszedł. Wzdłuż barier przemknął z hukiem pociąg intercity, puste przedziały oświetlone jak witryny sklepów, kwadraty światła prześlizgnę-

ły się po śmieciach, po chwastach, po kikutach drzew w pobliżu torów. Dziadek na wózku inwalidzkim mozolnie wciąga się pod górkę, z palta wyłazi mu dołem watolina, stopy szorują po ziemi, gdy tak posuwa się do przodu o parę cali za każdym stęknięciem, a każdy obrót kół wózka oznajmia się grymasem wykrzywiającym

Yh. Eh. Yh. Posuwa się, ale zabiera mu to

Ona mówi: No dobra, to co chcesz, a on: Dziesięć ciemnej. Ona: Tylko tyle? Zgrywasz się? On: Tylko tyle, i słyszy, jak ona z kimś gada, coś sprawdza, a tymczasem jego skurcz żołądka zgina wpół tak, że ledwo dyszy, srać mu się chce, ręce się trzęsą

Dziewczyna mówi: W tej chwili to akurat będzie trudno

Einstein biega dokoła budki i drapie w szybę

W końcu ona: No dobra, zaczekaj tam, gdzie jesteś, zobaczymy, co da się zrobić, może potrwać z pół godziny, a Danny już pchnął na oścież drzwi budki i wyrzygał się w wysoką suchą trawę

I widzimy go tam po raz ostatni, zgiętego wpół na dzikiej łące za budką telefoniczną, i potem jak

kraży, potykając się o własne nogi, zdesperowany, wyczekujący. Obserwujemy go przez przyciemnione szyby, maleje w naszych oczach, gdy objeżdżamy rondo przed pubem Miller's Arms i skręcamy na teren szpitala klinicznego, zwalniając pomiędzy ukształtowanymi ozdobnie skarpami a budkami ochroniarzy, i obrzeżem terenu zajeżdżamy pod budynek kostnicy. Może w innym miejscu lub innym czasie sami wynieśliśmy ciało, może towarzyszyłaby nam muzyka i modlitwa, może zebrałyby się tłumy, z powozami, z kamerami. Ale tutaj nic z tego nie ma. Podjeżdżamy od tyłu pod budynek o wyglądzie zakładu produkcyjnego, zjeżdżamy w dół długą rampą, metalowa bramka otwiera się ze szczękiem, a fotograf uwiecznia każdy moment zsuwania zapakowanego w worek kloca ciała Roberta na duży stół na kółkach, z których jedno skrzypi, przez mężczyzn, którzy mieli nadzieję uniknąć dzisiaj pracy, którzy woleliby być teraz w domu, z rodzinami, którzy nawet w tej chwili myślą, żeby zadzwonić do żon i powiedzieć im, że niedługo wrócą, więc niech coś dla nich wstawią do piekarnika, a gdy za naszymi plecami policjant spuszcza roletę, myślimy o Danym, który nadal kraży w szczerym polu, nadal czeka, przy nim pies i torba, która się robi coraz cięższa, i niebo, które się robi coraz ciemniejsze

TRZY

Kładą go za lśniącymi stalowymi drzwiami w sali zimnej jak głaz.

Zbieramy się w tej sali wszyscy razem, jedni siedzą, drudzy stoją, inni podpierają ściany, i czekamy. Na rano. Na czyjś powrót. Na jakieś zdarzenie.

Czekanie to jedyne, w czym jesteśmy dobrzy, tak się składa.

Ćwiczymy się w nim od dawna.

Mamy czas.

Mamy cały czas świata.

Pokój jest pozbawiony okien i ciemny, wyłożony glazurą od stropu do podłogi, z rzędem ciężkich stalowych drzwi w jednym końcu. Każde drzwi opatrzone są trzema przypiętymi metkami, każda z nazwiskiem, datą i numerem ewidencyjnym. Drzwi są zimne w dotyku, twarde i gładkie. Dwa rzędy jarzeniowych lamp zwieszają się z wysokiego sufitu na

długich kablach i łańcuchach. Na ścianie w głębi wielki zegar. Kamienna posadzka opada do wąskiego rynsztoka, który uchodzi do zamkniętego kratą odpływu. Wszystko jest ciemne. Wszystko nieskazitelnie czyste.

A on przez tyle dni tak czekał. Żeby ktoś przyszedł i go znalazł. Żeby ktoś przyszedł i go uratował. Leżał, patrzył w sufit i czekał. A może jednak raczej siedział w fotelu. Nawet nie trwało to tak długo. Leżał, czekał ratunku, a potem nagle koniec czekania, łzy otarte, coś mniej więcej w tym stylu.

Na czym my zresztą też się znamy. Na leżeniu na ziemi, patrzeniu w górę i czekaniu, aż ktoś przyjdzie i pomoże. W kłopotcie, obojętnie jakim. Z kostką złamaną albo z głową rozbitą, albo w cukrzycowym ataku epileptycznym, albo po prostu w sytuacji, gdy człowiek jest zbyt pijany, żeby ustać na nogach bez pomocnej dłoni.

W takich chwilach stajesz się niewidzialny jak nigdy. Przypatrz się dobrze ludzkim butom, gdy cię omijają. Jakby chcieli cię tak zostawić na długie dni. Jakby chcieli cię tak zostawić do skutku.

A ile razy on tak leżał na podłodze. Przez te lata. Czekał. Czekał tak samo jak zaraz po odejściu Yvonne z Laurą. Musiał tak czekać tygodniami, miesią-

cami, zanim naprawdę zrezygnował. Jeśli zrezygnował. Budził się co dzień rano z myślą: Co to było. Ten odgłos cicho zamykanych drzwi. Przypominał sobie, że ich nie ma, i rozmyślał, co zrobić, żeby je nakłonić do powrotu.

Żadnym sposobem nie mógł ich nakłonić do powrotu, i wiedział o tym.

Wiedział o tym, ale nie umiał przestać czekać. Co innego miał robić.

Czy leżał w łóżku z rana, czy wstał i siadał przed telewizorem, bez przerwy czekał na swoją żonę i córkę, żeby wróciły do domu. Nawet posprzątał w mieszkaniu raz czy dwa, powyrzucał wszystkie porozwalane rzeczy, pozmywał tych parę naczyń, które mu zostały, pootwierał okna, żeby wywietrzyć smród alkoholu i tak jakoś inaczej, z godnością, zasiąść z powrotem do czekania, aż żona z córką wrócą do domu.

Musiał wiedzieć, że nigdy nie wrócą. Ale chciał, żeby wróciły. Jezu. Czy to taka wielka zachcianka. Chciał, żeby któregoś rana zadzwonił telefon, żeby on odebrał i usłyszał głos Yvonne, która go pyta, czy mogliby porozmawiać, czy mogliby się spotkać, porozmawiać i spróbować dojść do porozumienia. Chciał, żeby Yvonne przekazała słuchawkę Laurze, chciał usłyszeć, jak Laura mówi, że za nim tęskni i chce wrócić do domu, chciał móc jej powiedzieć: Wrócisz do domu, serduszek, wrócisz do domu już bardzo niedługo.

Kiedyś powiedział o tym Steve'owi. Steve odbąknął parę słów. Co mógł powiedzieć.

No a my tutaj. Siedzimy, czekamy i to wszystko nam się przypomina.

Spięty szept Yvonne przez telefon.

Teksty w rodzaju: Muszę myśleć przede wszystkim o sobie i o Laurze, dla odmiany. Kocham cię, ale być z tobą już nie mogę, po prostu nie.

A potem głos jej matki w słuchawce, informujący go, że nie może rozmawiać z Yvonne i żeby więcej do nich nie dzwonił.

Sygnał nieodbieranego telefonu.

Dźwięki z telewizora, kiedy on siedzi, patrzy w ekran i czeka, aż zadzwoni telefon. Odgłosy pewnego poranka, kiedy już nie mógł znieść tego czekania i cisnął telefonem o ścianę, podniósł go i cisnął ponownie, i tak podnosił i ciskał, aż wszystkie kable, obwody scalone i nieme głosy wylały się z potrzaskanej obudowy i zostały wdeptane w podłogę.

I posprzątał w końcu, pozbierał wszystkie odłamki, wyrzucił je do kosza, i mieszkanie zrobiło się trochę bardziej puste niż przedtem.

Mógł tam przecież sam pójść.

Czego się bał.

Daleko było, ale w końcu nie aż tak daleko. Zamiast tak tylko czekać. Budzić się co rano z tą my-

ślą: Co to było. Z odgłosem cicho zamykanych drzwi. A jak już nie miał co sprzątać, to zaczął pić, zanim wstał z łóżka, już pił. Bo nie było sensu czekać.

To przez picie przede wszystkim Yvonne od niego odeszła.

Tak mu powiedziała, przez telefon.

Więc jak uważała, że jest z nim tak źle, że powinna odejść, to powinna go zobaczyć teraz. I porównać sobie z tym, co było przedtem.

Powinna go zobaczyć teraz.

Ostatnimi rzeczami do usunięcia w ramach pustoszenia mieszkania były telewizor i pralka. Dwaj faceci z wypożyczalni przyszli je zabrać, a on nie znalazł w sobie dostatecznie dużo tego, co trzeba mieć, żeby się kłócić. Siły, serca, hartu kurwa, czy czego. I tak nie ma co oglądać, zażartował, gdy odłączyli telewizor od prądu i wynieśli, nie oglądając się na niego. Ostrożnie, chłopaki, powiedział, gdy taszczyli korytarzem pralkę, z której wyciekała cienka strużka wody, i przepychali ją przez drzwi wejściowe, zrywając fragment framugi. Po ich wyjściu, jak już skopał z zawiasów drzwiczki szafek kuchennych i poopróźniał szuflady na podłogę, usiadł na schodku przed domem z butelką jabłoka i pomału zaczął czuć się lepiej. A jak dopił pierwszą butelkę, i dopił drugą, i legł na wznak w korytarzu mieszkania, to dotarło do niego, że już na nie nie czeka.

I chyba wtedy właśnie pokazał się po raz pierwszy Steve.

Jak to się wszystko przypomina. Kiedy się siedzi i czeka. W sali takiej jak ta. Poczekalni jak każda inna.

Mamy teraz cały czas świata na siedzenie i czekanie.

Patrzemy, jak wskazówki zegara tykają przez sekundy, minuty, godziny, i czekamy. Żeby ktoś przyszedł i otworzył jedno z tych ciężkich drzwi, i wyturlał ze środka ciało Roberta. Wyjął go dla nas. Wyniósł go.

Siedzimy i patrzymy na pozbawione wszelkich cech drzwi. Jakbyśmy, nie przymierzając, trzymali straż.

A te godziny i dni, które on tak przeleżał, po ciemku, po widnemu, i znowu po ciemku. I nikt go nie omijał, a jednak leżał. Ktoś mógł coś zrobić, no nie. Jak Laura wysiadła z taksówki. To czego tam szukała. Albo Mike, albo Ben. Co tam się działo w środku.

Trzymamy straż, pilnując nie wiadomo czego.

Czekamy na coś i tak nam się wszystko przypomina.

Heather przed drzwiami, znowu. Kiedy to było. Musiał być dzień Bożego Narodzenia. Zanim się po-

łapała, że coś jest nie tak. Właściwie zanim ktokolwiek z nas się połapał. Stoi pod drzwiami z torbą pełną puszek i żarcia, czeka, żeby jej ktoś otworzył.

Na ogół nie czekało się zbyt długo, żeby ktoś otworzył, więc co się dzieje. I wtedy Heather. Jakby przeczuła. Jakbyśmy wszyscy przeczuli.

Wali w drzwi, krzyczy przez szparę na listy, odwraca się, spogląda w jeden, drugi koniec ulicy. Jakby się spodziewała, że Robert gdzieś tam stoi na zimnie z samego rana, obserwuje ją, wzywa po imieniu. Jakby.

Znów wali w drzwi i wtedy stara kobieta w kapciach imitujących tygrysie łapy wychodzi od siebie, szurając, i mówi: Przepraszam, ale chyba nie ma co pukać. Od paru dni nic stamtąd nie słyszałam. Pewnie gdzieś wyjechali.

Heather nie zwraca na nią uwagi, bo co tam babcia wie. Robert coś by powiedział, jakby miał wyjechać. Jej by pierwszej powiedział, no nie. Jasne, że tak. Zaraz by jej powiedział, jakby coś było nie tak.

Wali w drzwi jeszcze raz, a babcia stoi i się patrzy. I mówi: Mnie się zdaje, że tam się mogło coś stać. Bo to dziwne, żeby tak długo nikt nie otwierał.

Heather tylko raz wcześniej rozmawiała z tą sąsiadką. Kiedy to było. Jak sąsiadka sama przyszła i za-

pukała. Parę lat wcześniej. Stała w progu z założonymi rękami, jak Heather otworzyła drzwi, i prosiła: Nie moglibyście trochę ciszej chociaż raz, bardzo was proszę? Drżała, chyba z determinacji, i zaczęła się cofać, jeszcze zanim skończyła mówić, i słusznie, że się bała niektórych osób przebywających podówczas w mieszkaniu Roberta. Nikt nie lubi, żeby mu rozkazywać, ale byli tam tacy, co nie lubili tego wyjątkowo. Heather zatrzasnęła szybko drzwi, zanim ktokolwiek zdążył babci dopaść, a sąsiadka nawet się pewnie nigdy nie zorientowała, jaką Heather oddała jej wtedy przysługę. No a teraz jęknęła: Oj, na pewno tam się stało coś złego, i uciekła do siebie, zanim Heather zrozumiała, co właściwie usłyszała.

A właściwie to była także i jej pierwsza myśl, że stało się coś złego. Wciskała nos w zaświnioną szybkę w drzwiach, ale nic nie mogła zobaczyć. Wołała Roberta po imieniu, wołała na niego ty głupi gruby chuju, waliła pięścią w drzwi. Myślała nawet, żeby spróbować wyważyć drzwi kopniakiem, ale uznała, że nie da rady. Myślała, żeby wspiąć się do środka po dachu garażu, tak jak to robili niektórzy, ale wiedziała, że nie da rady. A zresztą. Nie była wcale pewna, że chce tam wejść. Bo jakby coś znalazła. Pomyślała, że pójdzie poszukać pomocy. Pomyślała: A z drugiej strony, taki kawał chłopca, co mu się mogło stać. Pomyślała, że wspomni coś w ośrodku, jakby

kogoś spotkała. Chociaż do tej pory na pewno kto inny się już tym zajmie. Zresztą pewnie nie ma czym. No bo co może znaczyć, że ktoś nie otwiera drzwi – że śpi przypuszczalnie, pewnie się wszyscy tam w środku pospali. I po co ta stara kwoka tak kracze. Pomyślała wtedy Heather.

No i co z tego, że nikt nie otwiera drzwi. Nie zawsze panował tłok w mieszkaniu Roberta.

Więc skąd miała Heather wiedzieć, skąd ktokolwiek z nas mógł wiedzieć.

Wyjątkiem Danny, który go znalazł, ale to inna sprawa.

Już od dawna Robert i tak nie otwierał drzwi. Od lat. Jak był sam w domu i nikogo się nie spodziewał. Bo niespodziewane odwiedziny to, wiadomo, kłopoty.

No ale mógł chociaż odkrzyknąć.

Gdyby Heather jednak coś w tej sprawie zrobiła, cokolwiek, zamiast powlec się do ośrodka dziennego, zasiedzieć się przy świątecznym obiedzie i w zasadzie zapomnieć o Robercie.

Przypomniało jej się później. Ale wtedy już była u siebie w pokoju i co mogła zrobić.

Mike i Ben zanadto się zajęli flekowaniem Jamesiego, żeby pomyśleć o powrocie do mieszkania.

A o co poszło. O to, że Jamesie był Mike'owi winien jakieś pieniądze, z tym że to Ben się wkurzył i zaatakował Jamesiego od tyłu. Jak wynajęty agent czy co. Płatny zbir. Przeleciał jak burza przez hall ośrodka dziennego, Jamesie akurat stał przy toaletach z Maggie, Bristol Johnem i Tommym, huknął go z rozpędu w plecy, a upadającemu dołożył jeszcze przez łeb. I kopał go jak najęty, dopóki go ktoś nie odciągnął. A do tego jeszcze się śmiał.

Jamesiego powalić na ziemię żadna sztuka. Sam się na ogół przewraca. Ale Ben potraktował go całkiem serio. Może nie.

Wszyscy czekali na świąteczny obiad i doprawdy mogli się obejść bez takiego incydentu.

Trzeba powiedzieć, że świąteczne obiady tam dają porządne. Z dodatkami, i nawet z łykiem wina dla odmiany, do tego w pięknie udekorowanej sali. Nawet Maureen nieco spuszcza z tonu po jedynym chyba swoim drinku w roku, kieliszku wytrawnego sherry, i nagle wszystko ją zaczyna śmieszyć. Może i lepiej, że pozwala sobie na to tylko w Boże Narodzenie. Bo zdaje się, że ma, jak to się mówi, skłonność.

Ale z tego się nie śmiała, o kurwa, wcale nie, Jamesie zimny, nieprzytomny, krew po całej podłodze, pięciu chłopu trzyma szarpiącego się Bena.

To jest numerant. Ten Ben. Kurwa jego mać. Dać mu parę pigsów, a nabiera siły tysiąca niedź-

wiedzi i zaczyna rozrabiać. Sam sobie nieraz robi krzywdę, wywijając się z kłopotów: taranuje na oślepi drzwi i ściany, rzuca się na gliniarzy dwa razy większych od siebie. Spore wrażenie robi jak na takiego mikrusa.

Na ten dzień schodzi się do ośrodka kupa wolontariuszy, i są prezenty dla wszystkich i przyzwoite jedzenie. Parówki owinięte w bekon z pieczonym pasternakiem i autentycznym sosem chrzanowym. Nieczęsto się zdarza jeść autentyczny sos chrzanowy.

Zanim Heather tam dotarła, Ben już był zakuty w kajdanki. Mike dawno się zmył, lawirując pomiędzy targowymi straganami i łopocząc połamami długiego płaszcz; powiedział, że ma do załatwienia pilny telefon czy coś.

No ale o co właściwie poszło, co takiego Jamesie tym razem przeszkrobał.

Podobno o jakieś pieniądze, ale wyglądało na to, że o coś więcej.

No bo dlaczego by Ben aż tak mu doładował.

I nawet Steve'a tam nie było, już samo to powinno było dać Heather do myślenia, że coś jest nie tak. Z Robertem. Bo Robert nigdy nie przepadał za towarzystwem, ale z drugiej strony nie lubił też nie mieć co jeść. Więc powinna była Heather coś zacząć, jak nie spotkała u niego Steve'a.

To jej się przypomniało później, jak już była u siebie w pokoju. I nasunęło jej się, co właściwie powinna zrobić.

Jak Steve nie wiedzieć gdzie. A Robert leży na wznak i czeka. A raczej nie leży, tylko siedzi w fotelu.

Bena nawet za dobrze nie znała, ale wystarczająco, żeby się zbytnio nie zdziwić. Temu, co zrobił z Jamesiem. Cztery czy pięć miesięcy wcześniej zaczęła go widywać w ośrodku, i zawsze działa się wokół niego jakaś rozróżba. Rozróżba szła za nim jak ten pies, którego nie sposób się pozbyć. Jakby rozumu nie miał, jakby nie umiał unikać awantur. No bo nie umiał, to fakt. Za pierwszym razem, jak go zobaczyła, zaczepiał ludzi pod dworcem, chociaż wiadomo, że to najbardziej trefne miejsce, jak dochodzi do obławy. Heather na ogół wołała się nie mieszać do cudzych spraw, ale coś takiego było w Benie, że odstąpiła od zasady. Przeszła przez jezdnię, wzięła go za rękę i powiedziała: Tutaj lepiej nie, kochasiu, a już dosłownie na karku im siedziało dwóch strażników miejskich, czy jak ich tam zwa, więc Ben nic się nie odezwał, tylko poszedł potulnie za Heather, jak to jagniątko, nie przymierzając.

Jak Heather była mała, strażnicy wyłapywali beżpańskie psy. Czasy się zmieniają, no nie.

Większość ludzi powiedziałyby jej: A odwal się,

i jeszcze nawyzywała. Ale Ben zwyczajnie za nią poszedł. Tak jakby czekał na kogoś, z kim może pójść. Podziękował za pomoc. A jak go spotkała drugi raz, w jednym z ośrodków, to jej znowu podziękował, pamiętał, jak ma na imię. Potem spotykała go coraz częściej. Lubiła go, uważała że jest bystry, chociaż wiedział nie za dużo. Uważała poza tym, że jest ładny, chociaż twarz miał co drugi dzień zmasakrowaną.

No a gdzie się podział Mike. Ze swoim pilnym telefonem i tak dalej. Gdzieś się podobno spieszył. Ciekawe gdzie. Coś miał podobno do załatwienia.

Steve był z Mrówą, w tym mieszkaniu, co je sobie wyszykowali nad spalonym sklepem. W tym czasie, znaczy się. Nawet może od poprzedniego dnia. Mrówa wykladał swoje rzeczy na ścierkę rozłożoną na podłodze. Steve karmił H i przeczesywał mu palcami sierść w poszukiwaniu pcheł, sprawdzał uszy, sprawdzał łapy. Mrówa za wiele nie gadał, koncentrował się, a Steve'owi to pasowało. Obydwu im pasowało.

Ileż to myśli człowieka nachodzi w taki dzień. O kurwa. Boże Narodzenie. Trudno się powstrzymać. Obojętne, skąd przychodzisz. Zawsze w ten dzień będziesz miał co wspominać. Czego żałować, i tak dalej. Jest masa sposobów na zapomnienie, ale jednak, ale jednak.

Sprzęt już na wierzchu, ułożony równiutko. Tak jak żołnierz rozkłada zawartość plecaka. Wszystko jest, wszystko jak należy.

No i co. Czy stałoby się inaczej, gdyby Steve był wtedy nie u siebie, a u Roberta. Normalnie by tam był, tylko że od paru miesięcy, od tamtej kłótni, już do Roberta nie chodził. Ale czy to znaczy, że była jego wina. Robert nie potrzebował niańki. Nigdy o to nie prosił.

No ale gdyby ktoś tam był. Wtedy.

Siedzimy tutaj dalej, czekamy i takie myśli przychodzą nam do głowy. Czekamy po ciemku i takie myśli wychodzą na jaw.

No tak, Steve był pierwszym, który zaczął pomieszkiwać u Roberta. Kiedy to było, lata wstecz. Cholerne lata. Któregoś rana zaczęli pić pod pocztą, czekając na odbiór zasiłków, a trochę później przenieśli się z piciem na próg domu Roberta, skąd obserwowali, jak H biega po ulicy i zaprzyjaźnia się z okolicznymi psami. Siedzieli tak, gadali, i skończyło się na tym, że Steve przenocował u Roberta, na podłodze we frontowym pokoju. Nie żeby miał gdzie pójść, to swoją drogą. We dwóch przesiedzieli i przegadali cały dzień, jak jakaś kurczę grupa wsparcia, jak tandem samopomocy albo co.

W stylu: tutaj nikt nie osądza, nie doradza, nie komentuje. Wiadomo. Jesteśmy tutaj po to, żeby słuchać, żeby się dzielić spostrzeżeniami, więc kto chciałby zacząć.

Jezu, ale numer. Wszyscy siedzą kołem i nadają: Co ja mogę na to poradzić. Walę herę, bo stary mnie lał, albo kuzyn mnie zgwałcił, albo odebrali mi dzieci. Jak je zwał, tak je zwał. Grupy wymiany, grupy terapeutyczne, grupy wsparcia. Jeden czort. I nigdy nikt nie powie: walę herę, bo kurwa lubię, bo mi poprawia nastrój, bo mnie wycisza.

Nie krytykować. Nie przerywać sobie nawzajem. Nic z tego, co tu sobie mówimy, nie ma prawa wyjść poza ten pokój.

Czego to człowiek nieraz nie wytrzyma. Jak mu zależy na recepcie albo na kasie, albo na czyimś podpisie potrzebnym do czegoś tam.

Wypełnijmy ten kwestionariusz razem, zgoda? Nazwijmy twoje potrzeby i cele życiowe, a jak skończymy, dam ci się przespać w łóżku. Porozmawiamy o twoich ryzykanckich zachowaniach, zanim zaczniemy myśleć o terapii, zgoda?

Zgoda, akurat. Ładna mi zgoda, jak nie ma wyboru.

Kto chciałby otworzyć dyskusję.

Kto chciałby się czymś z nami podzielić.

No, Mike, może ty zechcesz zacząć, może zaczniesz od tego, kiedy po raz pierwszy zaczęły cię

nachodzić te niezwykle myśli. A na jakiej podstawie ty je uważasz za dziwne, kolego. No bo dla mnie one są, ujmijmy to tak, nowe, mnie wydają się niezwykle. Powinieneś się, koleś, lepiej rozglądać, tego jest pełno na każdym kroku. W takim razie ujmijmy rzecz inaczej, zapytam, kiedy zacząłeś miewać myśli, które, jak sam zauważyłeś, innym ludziom wydają się niezwykle, czy też trudne do zaakceptowania, czy też dziwne. I tak dalej, i tak dalej, doktor, czy kto to tam był, nawijał zagadkami, kluczył, inni gadali sobie w najlepsze i kompletnie nie można się w tym było dopatrzeć sensu.

Tylko czekał, aż minie godzina i ten pajac wręczy mu wreszcie receptę.

Robert i Steve, wtedy jeszcze. Siedzieli w zakopconym i ponurym, pustym mieszkaniu Roberta. Zasłony pozaciągane, okna pozamykane na mur, o sprzątaniu nikt tu dawno nie myślał. Jak dwuosobowa grupa wsparcia, czy co. Kiedy to było, lata wstecz. Robert opowiadał Steve'owi, jak jego żona odeszła z dzieckiem, a Steve mu mówił, żeby dał sobie z tym spokój, że tak się zawsze dzieje prędzej czy później. Nigdy jakoś nie są szczęśliwe, no nie, bracie, westchnął, a Robert się roześmiał i powiedział: Tak by to kurwa można najkrócej ująć.

Śmiech Roberta, jakeśmy go ostatni raz słyszeli, był jak odgłos popsutego akordeonu, dychawiczny, gardłowy, cuchnący flegmą i tytoniem. Steve tego nie pamięta z ich pierwszego spotkania, chociaż właściwie to nie ma pewności. Właściwie to on nie ma pewności już prawie w żadnej sprawie. Za dużo luk.

A jak Laura wysiadła z taksówki i weszła przez okno. Dwa dni przed Bożym Narodzeniem. Co ona mówiła. Że co, że go opuszcza po raz kolejny. A może coś innego, że go nie opuszcza, tylko tak. Co to mogło być.

Czy jest jeszcze coś, czym chciałbyś podzielić się z grupą.

Steve nie czekał długo z poinformowaniem Roberta, że był w wojsku. Nie czekał długo z poinformowaniem o tym kogokolwiek, tak się składa. Mrówie powiedział, zanim się jeszcze pierwszy raz razem napili. Służyłem na Falklandach, powiedział. Spałem na szczycie Tumbledown, ładnych parę nocy. Budziłem się w deszczu i patrzyłem w dół przez mokre wrzosowiska na blaszane dachy Port Stanley, na podłużną wąską zatokę, na owce na zboczu, na rybackie łodzie w porcie, i zastanawiałem się, czemu to wszystko służy. Gówniana wojenka, powiedział Robertowi, Maggie ją wygrała i w dupie ma

wszystkich chłopaków, co tam zostali. Prawie że płakał, jak to mówił Robertowi, a Robert nic.

Mrówa też nigdy za dużo nie mówił.

A Steve'owi niewiele trzeba było do płaczu, jak sobie wypił. Łzy ledwo hamowane wzbierały mu w oczach, czarnych i zapadniętych, i lśniły w odbitym świetle. Ojczyzna mnie okłamała, powtarzał. Zaciskał pięści. Pierwsze łzy spływały po siatce czerwonych linii znaczących jego twarz. Powiedzieli mi, że mam walczyć o dobro, słuszość, rządy prawa i inne te tam duperele, a walczyłem o nic, o owce, trawę i wiatr, gówniana wojenka i tyle.

Co ty powiesz, stary, mówił na to Robert, co ty powiesz, stary.

Mrówa z reguły był uwalony, więc nic nie odpowiadał.

Ojczyzna mnie okłamała, powtarzał Steve. Chyba za każdym razem, jak coś opowiadał o wojsku, kończył tymi słowami. Ojczyzna mnie okłamała. Jakby spodziewał się czegoś innego.

Pierwszy raz od dłuższego czasu z kimś zamieszkał, ale dość szybko się przyzwyczał. Nigdy by się przed nikim do tego nie przyznał, ale jedną z rzeczy, które najbardziej podobały mu się w wojsku, było spanie w barakach i w namiotach. Odgłos wielu męskich oddechów w środku nocy. Nic w tym dwuznacznego, po prostu dawało mu to swoiste ukojenie. Swoiste poczucie bezpieczeństwa.

Robert też pierwszy raz od dłuższego czasu z kimś zamieszkał. Odkąd odeszły od niego Yvonne i Laura.

Czekamy, żeby usłyszeć, jak oddycha, teraz, w tej chwili, za tymi drzwiami, w środku nocy. Dawniej bez przerwy słyszeliśmy w mieszkaniu jego oddech, rżenie jego płuc od nadmiaru wysiłku. Brzmiało to tak, jakby nawet siedzenie przerastało jego siły. Utrzymywanie całego tego ciężaru. Teraz długo możemy sobie czekać, żeby go usłyszeć. Wiemy to, ale i tak nie ruszamy się z miejsca. Z tego miejsca z zegarem, umywalkami i kafelkami na spadzistej podłodze. Czekamy właściwie na co.

Obydwaj mieli zwyczaj budzić się wcześniej i od razu zaczynali szukać czegoś do wypicia. W jedne dni trwało to dłużej, w inne krócej. Jak im zostało coś z poprzedniego dnia, to mieli szczęście. Ale zdarzały się dni kompletnej posuchy, a zasilek się spóźniał, albo za szybko się rozszedł, na dodatek długi mieli u wszystkich, tak że na kaskę, nawet najmniejszą, nie było co liczyć. Nieraz całymi godzinami łazili po mieście, żeby cokolwiek trafić, powarkując na siebie jak dwa psy zamknięte w jednej komórce. Jak dwóch rozbitków w szalupie ratunkowej, czy co. Tyle wody wokoło i ani kropli do wypicia. Jezu, jak suszy, jak trzęsie, co za pragnienie. Z takim pragnie-

niem nie ma dyskusji. Z takim pragnieniem człowiek nie zastanawia się, czy to jest w porządku, czy nie, spuścić łomot irlandzkiemu kłoszardowi, obciążającemu browar za pawilonem. Tak zrobili zresztą tylko parę razy. Robert gościa zagadał, Steve przywalił mu z boku w łeb, złapali puszki i w nogi. Mieli zapas na cały dzień. Właściwie nie uciekali, tylko szli szybciej niż zazwyczaj. Szurali pospiesznie, można powiedzieć. Spierdalali, spływali. Nikt ich zresztą nie gonił. Bo i co by im zrobił. Z powrotem do mieszkania i w dwa stare fotele, co je Robert znalazł na wysypisku, i właściwie bez słowa przez dłuższą chwilę, aż uśmierzyli nieco to najgorsze pragnienie. A potem to się nawet z tego śmiali. I zachowywali się tak, jakby nic się nie stało. Pili, gadali, wspominali.

Na przykład mówił Steve: Ja dziesięć lat byłem w szkole z internatem i powiem ci, że to się zbytnio nie różni od wojska, ślanie łóżek, bieganie po polu, krzyki wychowawców.

Na przykład mówił Robert: Dziewięć lat byliśmy po ślubie, co najmniej połowę tego ona mnie musiała nienawidzić, a ja nawet się nie zorientowałem, nawet się kurwa nie zorientowałem.

Na przykład Steve opowiadał o pomysle wyjazdu do Indii na poszukiwanie brata. Mówił: Tylko sobie muszę załatwić paszport, to nie powinno być takie trudne. I wygrzebać pocztówki, które mi przysyłał,

mam je w torbie z rzeczami, którą zostawiłem w schronisku w Cambridge. Pilnują jej tam dla mnie, przynajmniej powinni. Bo na tych pocztówkach jest jego adres, zresztą mogę w razie czego sprawdzić w Internecie. Jak tylko załatwię sobie paszport. A najpierw jeszcze parę spraw. O wyjeździe do Indii Steve mówił prawie tak często, jak Ojczyzna mnie okłamała. Tak było.

Albo Robert mówił: Przecież powinna mi była kurwa dać jakieś ostrzeżenie, czy co.

Kto chciałby otworzyć dyskusję.

Wszyscy siedzą, gapią się na własne nogi, dłubią pod paznokciami albo przeciągają się z rękami nad głową i wlepiają wzrok w sufit. A koordynator czy jak mu tam sili się na dowcip: Na suficie odpowiadzi nie znajdziecie. Animator. Prowadzący, jak zwał, tak zwał. Jestem tu tylko po to, żeby sterować przebiegiem dyskusji. Od was zależy, co dzisiaj weźmiemy na warsztat. Czemu nie mielibyśmy zacząć od ciebie, Ben?

No a gdzie był Ben. Siedział w pomieszczeniu aresztu, czekając, aż go przesłucha sierżant dyżurny, któremu się nie spieszyło. W celi pełnej skacowanych fizjonomii i podbitych oczu, i już zaczynało Bena telepać. Zastanawiał się, za ile najwcześniej

może wyjść i gdzie puknąć w żyłę, jak już wyjdzie. Zastanawiał się, gdzie zniknął Mike, jak go tak napuścił na Jamesiego. Zastanawiał się, co z nich właściwie za paczka.

A w tym samym czasie, albo mniej więcej, Steve siedział na łóżku i przyglądał się Mrówie operującemu łyżkami, zapalniczką i resztą sprzętów. Łóżko, no materac właściwie, na podłodze. Ale lepsze to niż niejedno miejsce, w którym przedtem sypiał. Zzuł buty, rozłożył do wyschnięcia skarpetki i zaczął masować sobie stopy szorstkimi, stwardniałymi poduszkami dłoni. Czekaając.

Wszyscy umiemy czekać. My tutaj, w tej sali. Siedzący i stojący i opierający się o ściany. W tej zimnej, ciemnej sali. I łatwiej nam teraz o nim myśleć. O jego ciele w worku.

Już oswoiliśmy się z tym, co mu się stało. Co nam się stało.

Ze wszystkim można się oswoić po pewnym czasie. Umysł adaptuje się szybciej niż ciało. Nawet gdy ciało już nie może.

Patrz tutaj, gdzie skóra odchodzi od ciała.

Patrz tutaj, gdzie wyjadły go robaki.

I do robaków można przywyknąć, żyjąc w ten sposób. Do pcheł, pluskiew, czerwi, wszy. Wszelkiego robactwa.

Pamiętacie, jak jeden koleś z ośrodka dziennego poszedł do ortopedy i na wejściu uprzedził lekarkę, że od pół roku nie zdejmował butów, no i okazało się, że ma tam gnijące odmroziny, całe zarobaczewione.

Jeżu. Medal się tej doktorce należy.

Poprzecinała mu skarpety, żeby je ściągnąć, i razem ze skarpetami poleciały na podłogę płaty skóry, kawałki gnijącego ciała i inne takie, a ona nic, nawet nie mrugnęła.

Jakże on się nazywał. Potem nie pokazywał się za często w okolicy. Może też skończył za którymiś tutaj drzwiami. Nawet jakby, to pies z kulawą nogą by się nie dowiedział.

Steve też, tak się składa, był kiedyś u tej samej doktorki ortopedy. Odsiedział i odczekał swoje w poczekalni, a jak przyszła jego kolej, to zdjął buty i skarpety i wyciągnął stopy przed siebie na inspekcję. Jedno, czego go nauczyło wojsko, to dbać o stopy, zawsze pilnował, żeby mieć przy sobie na zmianę suche skarpety, a buty przez noc wietrzył, kiedy tylko mógł. Jak się coś robi codziennie od lat, to zrobi się nawet po najgorszym pijaku.

Stopy w porządku, orzekła lekarka, biorąc po jednej w każdą rękę i przesuwając palcem po ścięgnach i kostkach. Widocznie dobrze pan o nie dba, dodała z uśmiechem.

Nie zapomniał tego. Takie rzeczy zostają człowiekowi w pamięci, nawet jak miewa luki. Także to, że lekarka umyła i wytarła mu stopy, poobcinała paznokcie, usunęła pumeksem stwardnienia skóry, wręczyła mu nową parę skarpetek i poprosiła, żeby przysłał do gabinetu następnego. Na ogół wszyscy ludzie cię omijają, pilnują się, żeby cię przypadkiem nie dotknąć, nie otrzeć się o ciebie, nie nawiązać nawet kontaktu wzrokowego. A potem coś takiego. Myje, wyciera, bierze do ręki twoje stopy. Właśnie takie rzeczy zostają w pamięci na zawsze, ogólnie rzecz biorąc. Na coś takiego można siedzieć i czekać przez cały dzień.

Przygląda się, jak Mrówa miesza masę na łyżce, i przypomina sobie tamto. Czekając.

Albo fryzjerki, jak przeczesują palcami twoje włosy. Albo pielęgniarki, jak ci zmieniają opatrunek, mierzą ciśnienie, osłuchują płuca, i muszą cię przy tym dotknąć swoimi czystymi miękkimi rękami, i nikt nic o tym nie mówi, ale jak to pomaga, o Chryste jak pomaga.

To tak jak z dawaniem w żyłę. Jak ci to robi ktoś inny, to choćby był półprzytomny i miał dwie lewe ręce, daje powoli, delikatnie i tak jakoś czule. Jakby ci robił prezent. Masuje cierpliwie skórę, aż wyjdzie żyła, igłę wbija pomalutku, wstrzykuje powoli. Jak w filmie wojennym, kiedy rannemu, umierającemu

żołnierzowi ktoś podaje do ust ostatni łyk, unosząc jego głowę w kolebce dłoni i pozwalając zimnej wodzie wsączyć się kącikiem odrętwiałych ust.

Cały dzień można na coś takiego czekać.

Nie można wytrzymać ani chwili dłużej.

Tak jak Ben wtedy w nocy w tej celi, już nie mógł wytrzymać i pękł. Dostał drzączki. Urządził scenę. Zaczął dzwonić na alarm i błagać: Ja bardzo proszę, ja przepraszam, możecie wezwać do mnie doktora, możecie mi załatwić receptę? Muszę coś wziąć na przetrzymanie, zanim wyjdę, ja pana błagam, sierżancie.

Trzeba go widzieć, jak to umie prosić o takie rzeczy. Ehem, przepraszam bardzo, sorry, proszę. Bardzo przepraszam, że zawracam głowę. Czy mógłbym zająć pani chwilę czasu. I cały czas z tą miną błagalną jak nie wiem co. Błagalną jak cholera. Ręce załamujący i tak dalej. Jak mały chłopczyk, którym prawie jeszcze jest, a przynajmniej na takiego wygląda. Z tymi wielkimi piwnymi oczami, długimi rzęsami i ciemnymi kudłami opadającymi na twarz, spogląda na ludzi z dołu i załamuje ręce, jakby grał rolę w jakimś musicalu, czy co, i nawija: Ja najmocniej pana przepraszam, i tak dalej, srutututu.

Zazwyczaj mu się zresztą udaje. Nie wygląda na swój wiek i to ludzi wzrusza. Widocznie myślą, że takiemu małemu warto dać szansę. Jakby jeszcze

mógł wrócić na dobrą drogę, czy co. Przepraszam pana bardzo. Czy nie mógłby pan.

Zwykle mu się udaje, ale nie tej nocy. Sierżant dyżurny się nie wzruszył. Kazał mu się wypocić. Co znaczy, że gównem wiedział o zespole odstawionym. Albo przeciwnie, wiedział doskonale i uznał, że nocna trzęsionka Bena może posłużyć za rodzaj rozrywki.

Leży na materacu w celi. Zwija się w kłębek, prostuje, wstaje, siada. Kuca, kładzie się na podłodze. Nie da się wytrzymać bez ruchu, jak człowieka tak dopadnie. Nie ma wygodnej pozycji. Chujowe uczucie, nieznośne. Naprawdę, kurwa, nie do zniesienia.

A Steve leży na swoim materacu w pokoju nad spalonym sklepem. Czeką, aż Mrówa skończy co tam trzeba, żeby przygotować towar do zagrzania. Wciąż mu się przypomina ostatnia awantura z Robertem, myśli, jak załagodzić sprawę i co Robert teraz porabia. Przypomina sobie, jak pierwszy raz go Robert wykopał z mieszkania, po tym jak padł w dawnym pokoju Laury i zeszczął się w jej łóżko. Zdemolował Robert chałupę kompletnie, ale pokój Laury zachował prawie nietknięty, no a tu Steve w nim narobił takiego obciachu. Co on w ogóle sobie myśli. W żadnym sposobie nie zdoła tej szkody wynagrodzić. Wy-

kopał go Robert na bruk i nie wpuszczał do siebie przez parę lat. Tak jest, lat.

Zostać skądś wywalonym to nic nowego, zdarza się. Ze szkoły go wywalili, z wojska go wywalili, z domu go starzy wywalili, jak u nich zamieszkał po zwolnieniu z armii. Wytrzymali z nim przez miesiąc, z jego leżeniem w betach, gapieniem się w okno, bełkotem w odpowiedzi na pytanie, co zamierza ze sobą teraz zrobić, no ale jak Steve parę razy przeholował z piciem, parę rzeczy rozwalił i narobił bałaganu, to już przebrała się miarka. Pozmieniali zamki w drzwiach i kazali mu iść precz i wziąć się za siebie. Powiedzieli, że robią to dla jego własnego dobra. Stał jakiś czas pod drzwiami i czekał, żeby się opamiętali. W malowniczym deszczu hrabstwa Dorset. Czekał tak dzień i noc, aż usłyszał, jak matka mówi do ojca, żeby mu może dać jeszcze jedną szansę, ale stary na to: Nie, chłopak musi się nauczyć. Czterech gliniarzy trzeba było, żeby go aresztować, jak przyjechali na wezwanie.

Opowiedział to wszystko Robertowi, jak zaczęli pić do spółki. Mrówie powiedział zaraz, jak się poznali.

Stałby tak miesiącami, jakby nie przyjechała policja. Obydwaj z ojcem byli tak samo uparci. I to chyba jedyna ich wspólna cecha, mniej więcej.

Chyba już wszystkim opowiedział swoją historię

przez te lata. Udaje, że nie ciągnie go do ludzi, ale pogadać zawsze lubi, jak się napije. Taka jednoosobowa grupa samopomocy. Jak oni to kurwa nazywają, terapia mową. Efektów jakoś jeszcze nie widać.

Kto chciałby otworzyć dyskusję.

Kto czuje, że chciałby się czymś podzielić z grupą.

A Ben, jak kiedyś trafił do takiej grupy z nakużu sądu, nie namyślał się długo, tylko spytał animatorkę, czy mogłaby zaangażować jego dupę. Spytał już na stojąco, bo był pewien, że go za coś takiego wyleją. Wszyscy ryknęli śmiechem. Terapeutka uśmiechnęła się i powiedziała: Możesz usiąść, jeszcze chyba nie skończyliśmy. I dalej: Czy ty się boisz powiedzieć cokolwiek na poważnie, Ben? Każdy ma prawo się bać, to nie wstyd, ale tutaj nie ma potrzeby. To miejsce ma stanowić dla ciebie przestrzeń bezpieczeństwa. Nic z tego, co sobie tutaj mówimy, nie wydostaje się poza te cztery ściany.

Ben siadł i mówi: Nie, proszę pani, ja się nie boję.

Kobieta siedzi, uśmiecha się i odpowiada: No to świetnie, w takim razie może właśnie ty byś dzisiaj zaczął? Może opowiesz nam, no nie wiem, jedno szczęśliwe wspomnienie z dzieciństwa?

Jezu, skąd oni biorą takie okazy.

Ben opowiedział grupie o jedynym domu zastęp-

czym, w jakim go kiedykolwiek umieszczono, u niejkiej Sandry, która mieszkała w wielkiej starej willi nad rzeką i codziennie czekała na niego, jak wracał ze szkoły, z talerzem ciasteczek albo plackiem, który upiekła, do tego wyciskany sok ze świeżych pomarańczy i wypytywanie, co Ben porabiał przez cały dzień. To było fajne, powiedział.

A terapeutka drąży: Co jeszcze pamiętasz o tej... Sandrze, tak?, i o mieszkaniu u niej?

Wyraźnie chciała zaangażować w ten sposób dalszą dyskusję.

No to powiedział jej, że któreś nocy zlał się do łóżka i prześcieradło schował w szafce, bo bał się, że Sandra mu zrobi awanturę, a ona je znalazła, zadzwoniła do pomocy społecznej i wzięli go z powrotem do domu dziecka.

Terapeutce to się wyraźnie spodobało. Doskonale, Ben, dziękujemy ci, podziwiam twoją otwartość, to na pewno nie było łatwe.

Wszyscy inni siedzieli, gapiąc się we własne buty, zerkając na zegar albo licząc płytki na suficie. A Ben tę kobitę zrobił w konia, bo to nie jemu, tylko innemu dzieciakowi się zdarzyło, że zmoczył łóżko i został wzięty z powrotem do bidula. Ben u tej Sandry mieszkał jeszcze z miesiąc, czy coś.

Przyzwoity dom, nie można powiedzieć. Nie miałby nic przeciwko temu, żeby tam zostać dłużej. Miał ładny pokój na poddaszu, a jak się wspiał na

krzesło i wyrzał przez świetlik, to widział rzekę, i słuchał, jak Sandra z przyjaciółkami coś sobie opowiadają i zaśmiewają się. Czasami pozwalała Benowi posiedzieć dłużej, jak przychodziły panie, a one rozmawiały z nim wcale nie jak z dzieckiem. Sandra pijała bardzo mocną kawę espresso, a jak kiedyś dała Benowi spróbować, to mało się nie porzygał, a jak brał kąpiel w wannie, to pukała do drzwi łazienki, czy może wejść, i wchodziła, i myła mu włosy, zakrywając mu przy tym twarz flanelową szmatką, żeby się szampon nie dostał do oczu. Nikt inny mu nigdy czegoś takiego nie robił.

Ale tych rzeczy nie powiedział grupie. Jedna wypowiedź wystarczyła, żeby zaliczyć w świetle nakużu sądowego. Siedział i czekał końca sesji, a terapeutka trąła, że trzeba pamiętać, że zawsze ma się różne możliwości wyboru, i nie dać się uwięzić w pułapce przeszłości. Ben pamiętał, że ma możliwość wyboru trzymania gęby na kłódkę, więc czekał cierpliwie, aż upłynie godzina, czy ile tam trwała terapia. Był dobry w czekaniu.

O czym to się nie myśli. Cały czas świata na czekanie i różne rzeczy przychodzą do głowy.

Na przykład bajki, które trzeba opowiadać ludziom, jak się chce od nich coś dostać. Jak się jest w potrzebie. W potrzebie czegoś, co pozwoli przetrwać parę godzin. Jakich to bajek się nie zmyśla.

Na przykład Mike jednego razu poszedł do kościoła naciągnąć księdza, a ten ksiądz mówi: Siądź tutaj, synu, i poczekaj, porozmawiamy po mszy. Zostawił Mike'a mamroczącego Zdrowaś Mario i Ojcie Nasz jak wzorowy katolik, który chwilowo przechodzi ciężki okres i potrzebuje szybkiej pomocy, żeby się pozbierać. Ksiądz w ołtarzu nawija do dwóch staruszek i do Mike'a: On to, po wieczery, wziął chleb i dzięki Tobie składając, łamał i podawał swoim uczniom, mówiąc, Bierzcie i jedzcie z tego wszyscy, to czyńcie na moją pamiątkę. Niemalże patrząc Mike'owi prosto w oczy, mówi dalej: Lecz my nie jesteśmy godni zbierać nawet okruchów pod Pańskim stołem. A potem, kiedy Mike mu opowiedział swoją bajkę, że niby musi wracać pilnie do Liverpoolu na pogrzeb, i to w dodatku pogrzeb swojego taty, którego wprawdzie wiele lat nie widział, ale tak czuje, że powinien tam pojechać na ostatnie pożegnanie, no i miał się z kimś zabrać samochodem, ale ten ktoś go wyrolował, więc pilnie potrzebuje pieniędzy na bilet i jest pewien, że jak wyjaśni wszystko rodzinie w Liverpoolu, to rodzina odda księdzu, jeszcze z nawiązką, a wtedy ten ksiądz mu przerwał i pyta wprost, bez owijania w bawełnę: Wierzysz w Boga, Michael? Na co Mike, nie wahając się nawet dla zaczerpnięcia tchu, odpowiedział: Nie wiem, a ksiądz uważa, że On w księdza wierzy? No to może mi ksiądz pożyczyć na ten bilet, czy nie?

To było, zanim poznali się z Dannym. Zanim Danny któregoś dnia pojawił się w mieście i na dzień dobry wybili mu zęby. Bo jak się Mike spiknął z Dannym, to trochę się ustatkował i już nie musiał tyle zmyślać tych swoich bajek.

A ileż to pogrzebów mieli Mike'a rodzice. Tyle, że mało brakowało, żeby uwierzył w ciała zmarłych wstanie itepe.

Gdzie to było. Pod wiaduktem. Jak czekali na furgonetkę z zupą. Ci co zawsze, jedni siedzą, drudzy stoją na placu, gdzie kiedyś był komis samochodowy, z którego zostały tylko zabite deskami betonowe łuki, poprzerastane drzewami. A Danny musiał dopiero co przybyć, bo wszystkie rzeczy miał ze sobą, śpiwór, koce, torbę, wszystko, no a poza tym podszedł się pytać do Spidera i Scotsa Malky'ego, czego by nigdy nie zrobił ktoś, kto ich znał. Wszyscy się trochę odsunęli, jak tamci go flekowali, i zmył się Danny z placu, zanim jeszcze zupa przyjechała, a Einstein kuśtykała za nim, skowycząc.

Mike poszedł za Dannym. Nie miał powodu, żeby się mieszać, ale poszedł. Dogonił go na skrzyżowaniu za opuszczonym pubem i zagadnął: No, jak tam z tobą, koleś, potrzebujesz pomocy.

Nawet nie było to pytanie, i Danny nie powiedział nie. Patrzył na Mike'a, zasłaniając sobie rę-

ką usta, i chciał coś powiedzieć, zakrztusił się, zachwiał, splunął krwią i kawałkami zębów do rynszotka. Mike powiedział: Wiesz co, chodź tu, przysiądź na chwilę, ale jak objął Danny'ego w pasie, żeby mu pomóc pokonać krawężnik, to Danny się wyszarpanął i mówi: Spierdalaj, ja już nic więcej nie mam, co mi można ukraść. Słowa gulgotały mu w ustach i ściekały krwawą śliną.

Siedzieli tak we trójkę dobrą chwilę, słońce już się zniżało ku wieczorowi i gołębie ganiały się po niebie, a na drodze biegnącej górą panował ruch i trąbienie pojazdów.

Furgonetka z zupą minęła ich, odprowadzili ją wzrokiem.

Danny ocierał twarz ręką, a Einstein zlizywała mu krew z palców.

Masz zapalić, pyta Danny, to Mike mu skręcił fajkę i Danny wypalił błyskawicznie, żeby mu nikt jej nie zdążył odebrać, a potem odkasłał krwawą flegmę.

Porzucił Londyn, żeby mieć wreszcie spokój od takich rzeczy, a one, proszę, podążyły za nim. Nigdzie nie jest bezpiecznie, jak tak pomyśleć.

Pewnego dnia wyszedł z rana, doszedł do Brent Cross i tam czekał przez cały dzień, aż go zabierze ktoś jadący Great North Road, no i zajechał właśnie tutaj, i już nie wytrzyma. Nie wytrzyma, jak zaraz nie weźmie.

Wiesz, gdzie mogę trafić działkę? – spytał, no to Mike mu dał kreskę.

Ciągłe czekanie na to.

Ciągłe staranie, wyglądanie, zabieganie o saszetkę tego. O Jezus. Ile osobogodzin pochłania takie życie. Wymaga ono oddania, wymaga ono, jak to się kurwa mówi, zaangażowania.

Zdobyć saszetkę, a potem znaleźć zaciszny kąt, żeby jej zawartość podgrzać na łyżce i przepompować w żyłę, w rękę czy w nogę, czy w potężną żyłę po wewnętrznej stronie uda. Woda, hera i kwas cytrynowy, czekanie, aż się rozpuszczą, trzymanie nad płomieniem, póki nie zaczną pękać banieczki powietrza, a potem wciąganie tego przez filtr i igłę do strzykawki. I znów czekanie, żeby wystygło. Siedzisz z kimś, kogo dopiero co poznałeś, w pokoju pod wypatroszonym sufitem, z ziejącą dziurą po oknie, z podłogą zawaloną gruzem glazury i cegieł, w budynku, z którego wyjścia nie pamiętasz. Zaciskasz opaskę i czekasz, aż wyjdzie żyła. Ten ktoś, kogo dopiero co poznałeś, podaje ci napełnioną strzykawkę. Cmoka na widok twojej upstrzonej wylewami skóry i razem z tobą czeka, aż wyjdzie żyła. Szczypie, naciąga, dźga wokół tego miejsca i czeka, aż wyjdzie żyła, i wtedy wbija igłę, i wciąga odrobinę krwi, zanim łagodnie wprowadzi działkę gdzie trzeba.

Cały dzień na to czekasz.

Wszystko byś dla tego zrobił. No kurwa, wszystko.

Steve nadal czeka, żeby go Mrówa w ten sposób obsłużył. Nawet jeszcze nie wie, na co czeka.

Osuwa się z powrotem na podłogę, a Mike siedzi obok i mówi: Aż tak cię wzięło, chłopie, podgrzewając tymczasem własną działkę. Dobrze ci teraz, Danny? – mówi. Tylko pamiętaj, żebyś się trzymał umowy, bo jak nie, to cię tak załatwię, że nie uwierzysz, zapamiętaj to sobie, mam wprawę, wiem, co mówię.

Uśmiecha się i naciąga na Danny'ego koc, zakrywa go z głową. Odwraca się, spuszcza spodnie i daje sobie w żyłę. Jeszcze zanim wbił igłę, czuje się lepiej. Słowo honoru, nie znalazł drugiej takiej rzeczy na świecie, która by mu dawała podobne uczucie. Nic tak nie działa, dwa pobyty w szpitalu go kosztowało dojście do tej prawdy, i to było o dwa za wiele. Ile się musiał nałgać, żeby w ogóle stamtąd wyjść, iloma go prochami faszzerowali, żeby odzyskał formę, i nic nie działało. Pierwsze, czego się dowiedział, jak tam trafił, to że ich w ogóle nie interesują szczegóły, że nie chcą nawet słuchać o tych głosach, które Mike słyszy, i tych jego, jak to oni mówią, nadzwyczajnych pomysłów. Nic z tych rzeczy. Niby go o nie wypyty-

wali, ale w gruncie rzeczy chcieli tylko, żeby się raz na zawsze zamknął na ten temat. Wszyscy, czy w zamknięciu, czy na wolności, chcieli tylko, żeby się zamknął na ten temat. Dlatego w ogóle się tam znalazł, że nie potrafił się zamknąć. Jedną z pierwszych nauk, których mu udzielili inni pacjenci, jak tam trafił, brzmiała: Nie rób szumu i naucz się magicznego zaklęcia: Czuję się już znacznie lepiej, dziękuję. Co mu się zresztą nie spodobało, nie mieściło się wręcz w jego wyjątkowo elastycznej wyobraźni, ale w końcu nawet polubił klepanie tej formułki, jak go pytali o samopoczucie, a oni chętnie wierzyli mu na słowo. Ale strachu to się najadł, jak go wypuścili. Odjazd totalny. Tyle ludzi naraz do niego gadało, że nic nie mógł zrozumieć, myśleć normalnie nie mógł, o mało się nie rzucił pod autobus, jak tylko wyszedł za szpitalną bramę. Bał się, że jacyś nasłani porywacze capną go jeszcze przed upływem pierwszego dnia. Ale potem spiknął się z dawnym towarzystwem, które w tym czasie, kiedy on siedział w szpitalu, wzbogaciło się w towar, i zaraz mu koledzy powiedzieli, że jak weźmie, to się uspokoi. To był najlepszy mix, jaki wziął w życiu, a wziął niemało. Dopiero kiedy poczuł w ciele to drażące ciepło, zrobiło mu się lepiej, dopiero jak poczuł ciszę zalegającą w głowie, mógł uczciwie powiedzieć: Teraz, koleś, naprawdę czuję się lepiej, dzięki. Już nikt go nie nagabywał. Już nikt do niego nie gadał i nie mówili wszyscy razem.

Czuję się już o wiele lepiej, dzięki.

Wszystko by człowiek oddał, żeby zachować taki stan.

Wszystko by człowiek oddał, żeby do niego wrócić. Stale powracać do tego powracania do czucia się dobrze. Czucie się dobrze, czucie się w porządku, czucie, że wszystkie troski zostały ci odjęte. Lęki. Wszystkie emocje oddane gdzieś na przechowanie. Takie uczucie, jak by to określić, jakby absencji od świata. Jakbyś odebrał sobie życie, tak na chwilę. Francuzi na coś takiego mówią *la*, mała śmierć. A potem wstajesz i robisz to na nowo, za każdym razem. Wstajemy i robimy to na nowo.

Co innego możemy zrobić.

I jak długo musimy czekać. Jak długo już czekamy. Żeby coś się wydarzyło. Żeby ktoś przyszedł. Żeby się cokolwiek, kurwa, zmieniło.

Jak poucza Laurę jej terapeuta: Zmianę ty sama musisz spowodować, Lauro. Nie możesz czekać, aż ktoś zrobi to za ciebie. Wszystkie te sesje, które z nim odbyła, wypełnianie kwestionariuszy, wypracowywanie celów, i tak dalej. Chcę iść na odwyk, powiedziała na pierwszej wizycie, a on jej na to: Ale nie myśl, że to takie proste, Lauro. To nie jest tak, że wsiądziesz w taksówkę, przyjedziesz na odwyk i po sześciu miesiącach wyjdiesz czyściuteńka. I dalej nawijał, że to jest proces. Zacznijmy, mówi, od

dążenia do minimalizacji szkód, porozmawiajmy o twoich bieżących potrzebach, pomyślmy, jaki przyjąć scenariusz działania.

A czego tam nie było w tych kwestionariuszach. Na skali od jednego do dziesięciu, czuję się – jeden – bardzo zadowolona, do – dziesięć – bardzo niezadowolona z obecnego stopnia uzależnienia od narkotyków. Na skali od jednego do dziesięciu, zapatruję się – jeden – bardzo optymistycznie, do – dziesięć – bardzo pesymistycznie na moje przyszłe życie. Takie tam. Gadki o bodźcach wyzwalających i o związkach, o ryzykownych zachowaniach, o przeszłości i o planach na przyszłość, starania o to, żeby przyszła na następną wizytę. Teksty na przykład takie: Lauro, kiedy potrafię cię nakłonić do zrobienia sobie herbaty, gdy rano wstajesz, to będziemy w połowie drogi do sukcesu, jeśli znajdziemy w twojej głowie miejsce na cokolwiek poza narkotykami, to już poczynimy postęp. Wypytywanie, jakie były jej zainteresowania, zanim wpadła w nałóg.

Czekając na kolejną wizytę, czuła się czasem jak jeden z jego ulubionych projektów naukowych, jakby on cieszył się, że do czegoś dochodzą tylko dlatego, że może sobie to odhaczyć na formularzu kontrolnym i pochwalić się nią szumnie sponsorom projektu. Czasami jednak wydawało jej się, że naprawdę mu zależy, i to było dla niej coś nowego. Mówił,

że zna świat, z którego ona przychodzi, że sam z niego wyszedł, a skoro jemu się udało wykaraskać na czysto, to i jej się może udać. Takie tam: Nie ma przypadków beznadziejnych, Lauro, powinnaś była widzieć mnie. Śmiał się przy tym, ale ona nie rozumiała, na czym polega dowcip. W każdym razie na wszystkie prawie sesje przychodziła. On ją uprzedził, że na miejsce na odwyku czeka się długo, a to jest coś, co można robić w międzyczasie.

Ona to wszystko kiedyś mówiła Danny'emu i on nam teraz opowiada.

Odrabiamy pańszczyznę w tych poczekalniach. Wszystkie jednakowe. Zegar na ścianie, twarde metalowe krzesła, plik starych czasopism, pudło z zabawkami w jednym kącie. I zawsze ktoś w końcu nie wytrzyma i zacznie walić pięścią we wzmocnioną szybę, drąc się na personel, który sobie siedzi tuż, tuż po tamtej stronie i czeka na ochronę.

Pomoc społeczna, urząd mieszkaniowy, przychodnia lekarska, pokój kuratora sądowego. Siedzisz i czekasz, aż się wyświetli twój numer, i po pewnym czasie przyzwyczajasz się do tego. Jest sucho, jest ciepło, a to już jakiś początek. To już coś. Równie dobrze można siedzieć w tym miejscu, jak w jakimś innym, a czasu mamy dość. No może nie. Cały czas świata. Nic lepszego do roboty. Czy nie tak.

Te tablice z napisem: Nasz personel ma prawo pracować bez obawy przed napaścią i zniewagą.

Te tablice z napisem: Osoby opluwające personel będą karane sędownie.

Zegar tykający przez okrągłą dobę i twarde metalowe krzesła.

Zegar tykający przez okrągłą dobę i Robert zimny na stalowym łóżku za tymi drzwiami.

Jakieś niemowlę znowu płacze, jakaś dziewczyna znowu zaczyna je łagodnie uciszać.

A oto Mike i Danny w pomocy społecznej, czekają na Danny'ego zasiłek, żeby się nim podzielić. Mike siedzi i wprowadza Danny'ego w życie. Poucza go: Tych dwóch, co ich wczoraj spotkałeś, Spidera i Scotsa Malky'ego, to najlepiej omijaj z daleka, obydwaj są trochę nie tego i wszyscy się ich boją. Nawet ci bitniejsi. W porządku są, dopóki trzymasz się od nich na dystans, zresztą sam się już pewnie nauczyłeś, więc ci tylko mówię, że jak na drugi raz tam ich spotkamy, albo gdziekolwiek, to trzymaj się z dala, czaisz dobrze?

To wszystko mówi, zasłaniając usta ręką, nachylony mamrocze i pluje Danny'emu w ucho, cały czas rozglądając się na boki.

Z powodu kamer, Danny, mój chłopcze. Ostrożności nigdy dość. Kamery są wszędzie i nigdy nie wiesz, kogo akurat filmują. Zarejestrują, co mówisz,

jak nie uważasz, dlatego lepiej jest zasłaniać usta ręką, bo oni tam mają specjalistów od czytania z ruchu warg, i specjalny program komputerowy do tego też mają, automatycznie się przetwarza i tak dalej, i wszystko się rejestruje. Wierz mi, Danny, mój chłopcze, ja wiem, co mówię, oni rejestrują wszystko. Danny kiwa głową, nic nie mówi i ściera ślinę z ucha.

Tutaj też jest włączona kamera, nawet w tej chwili, patrzy z góry na zaplombowane drzwi, podczas gdy my siedzimy, stoimy i leżymy na zimnej posadzce, oczekując nadejścia poranka. Dla jego wygody i bezpieczeństwa nagrywa się te obrazy.

Mike wciąż gada i pluje Danny'emu w ucho, cały czas czekają na zasiłek.

Zaobraczkują nas w następnym etapie, zobaczysz, pozakładają nam na kostki nóg obrączki z urządzeniami nasłuchowymi i już nie będzie gdzie się schować, czaisz, co mówię? Jak te czipy, co je wszczepiają psom w kark, no wiesz, jak na przykład ta twoja, no jak jej tam, Einstein, też pewnie coś takiego nosi, chociaż sama nie wie, dzięki takiemu urządzeniu wytropią nas wszędzie i bez pudła.

Ale oto wywołany zostaje Danny'ego numer, podchodzi Danny do okienka, mówi do dziurki w szybie. Nazwisko, data urodzenia, obywatelstwo, nu-

mer ubezpieczenia. Adres, poprzedni adres, miejsce urodzenia. Zawsze to samo. Nieważne gdzie, czy na policji, czy u doktora, czy po zasiłek, wszędzie te same formularze do wypełnienia, wszędzie chcą wiedzieć to samo. I nigdy nikt się nie zadowoli odpowiedzią: Nie wiem.

No a jak ma pan wpisane w akcie urodzenia?

Nie wiem. Nie wiem.

Jakby cię nie słyszeli, uparcie powtarzają swoje, wgapieni w ekran komputera, jakby im stamtąd miała wyskoczyć odpowiedź. W kółko zadają te same pytania: Jak ma pan zapisane w dokumentach? Gdzie się pan urodził? Imiona rodziców?

Jezu. Chyba ich szkolą specjalnie do takiej gadki.

Francuzi na coś takiego mówią *la*. Mała śmierć.

A czasem tak się zdarza, że nawet nie ma specjalnego pomieszczenia do czekania. Czasami jest tylko długi korytarz z rzędem krzeseł wzdłuż ścian, po którym przemykają zamasyżycie osoby w garsonkach, dając do zrozumienia, że nie patrzą na ciebie i nie próbują odgadnąć, w jakiej przychodzisz sprawie. Jaki masz problem.

Na przykład w sądzie. Ileś tam różnych sądów rozsianych po gmachu, i zorientuj się w tym labiryncie korytarzy, podążając szlakiem szarych metalowych krzeseł. Kolejne miejsce, w którym wiemy,

jak siedzieć i czekać. Wszyscy to dobrze wiemy. Dostać żeśmy się tam nasiedzieli.

Albo Heather. To już dawno. Życie temu.

Siedziała pod drzwiami Sądu Rodzinnego, czy jak on się tam wtedy nazywał. Czekala, aż ją wezwą, torbę z ciuchami upchnęła pod krzesłem. I książki w niej miała też. I zabawki. Długi rząd krzeseł i nikt więcej nie czeka. Mogła wstać i wyjść, nikt by nie zwrócił uwagi. Mogła tam siedzieć i czekać do dziś, bez różnicy. Właściwie to tak się czuje, jakby wciąż tam siedziała i czekała.

Drzwi za nią otwierają się i zamykają, jakaś urzędniczka czy ktoś wychodzi z naręczem papierów, stukając obcasikami po korytarzu. Nie zważa na Heather, no bo kim właściwie Heather jest.

Ubrała się najładniej, jak umiała, ale i tak wyglądała tu nie na miejscu. Na ogół chciała tak wyglądać, przeważnie stawiała sobie to, można powiedzieć, za cel, dużo biżuterii, tatuaże, wielowarstwowe odzienie z podartych łachów, ale w tym dniu wiedziała, że lepiej, żeby wyglądała w miarę normalnie, standardowo i przytomnie. O przytomności dużo się tam za drzwiami mówiło.

Drzwi otwierały się i zamykały. Słońce wpadało oknem w końcu korytarza. Czuła się jak uczennica pod gabinetem dyrektora, dyndała nogami nad podłogą. Metalowe krzesło ziębiło ją w tyłek. Włosy lepiły jej się do czoła tam, gdzie usiłowała przy-

lizać na mokro grzywkę, zasłaniając tatuaż. Bo wiedziała, że to jej na pewno nie pomoże, tatuaż znaczy.

W kark było jej gorąco pod włosami, uniosła je garścią, mając nadzieję, że korytarzem powieje przeciąg i ochłodzi jej skórę. Ale nic nie powiało. Żadnego ruchu, żadnego dźwięku, więc rozwiera garść i rozpuszcza włosy, i już przez resztę życia, ilekroć wykona ten sam gest, będzie z powrotem w tamtym momencie, w tamtym czekaniu, z włosami, które opadają z jej dłoni na czerwony z gorąca kark.

Mogę poczekać, mówi.

Nie przejmujcie się mną. Mam kupę czasu.

Wszyscy mamy kupę czasu, teraz.

Ale gdyby zdołał choć krzyknąć. Gdyby zdołał zatelefonować. Gdyby Penny zdołała zaszczekać, zawyc, skoczyć z impetem na drzwi.

No i patrzcie na niego teraz.

Wszystkie te luki. Całe to czekanie. Wszystkie te rzeczy stające z powrotem przed oczami.

Na przykład Robert, całe jego czekanie. Czekanie na Yvonne, żeby się z nim mimo wszystko skontaktowała, żeby mu powiedziała: No dobra, Robert, sporo czasu minęło, spróbujmy jeszcze raz.

Musiał wiedzieć, że Yvonne nigdy tego nie zrobi.

No ale gdyby go znalazła w tym stanie. Gdyby

ktokolwiek znalazł go w tym stanie. Za długo to trwało. On już nie czekał. Ale ile lat może mieć teraz Laura, myślał wtedy. Tyle lat. Trzydzieści, czterdzieści, pięćdziesiąt. Pytania, znów od początku, bo może kiedyś przyjdzie i znajdzie go. Ale jakby znalazła go w tym stanie.

Tutaj coś jest, Steve, powiedział któregoś rana, gdy wszyscy troje ledwo się przebudzili. To było później, jak i Heather tam pomieszkiwała. Kiedy to było. Hałas H i Penny kotłujących się w korytarzu. Tutaj coś jest, Steve, powiem ci co. To ważne.

Pudła lateksowych rękawic na półkach wzdłuż ściany.

Jednorazowe fartuchy.

Wywieszka na drzwiach. Data, godzina, numer ewidencyjny. Wolne miejsce tam, gdzie powinno widnieć jego imię i nazwisko.

Za dużo luk.

Za dużo, kurwa, wiadomych niewiadomych.

Ten koleś, który poszedł do ortopedy ze zrobionymi stopami, jak on się nazywał, gdzie on się podział. Czy on jest teraz tutaj.

Ten gość na wózku inwalidzkim, który się ledwo rusza, ale nikomu nie da się popchać, woli wrzeszczeć z bólu za każdym obrotem kół. Jak on się nazywa.

Yvonne. Gdzie ona jest, teraz w tej chwili.

Laura.

Ten gość na wózku, znamy go z widzenia, ale nie wiemy, jak się nazywa. Kupa krąży o nim mimo to historyjek. Że jest nieprzyzwoicie bogaty, to po pierwsze. Że ma wielki dom, który odziedziczył przed laty, ale nienawidzi w nim mieszkać. Że chce zapisać ten dom w spadku towarzystwu opieki nad zwierzętami, żeby jak już on wyciągnie kopyta, powstało tam schronisko dla bezdomnych psów, czy coś w tym stylu. Widocznie uważa, że psom się najbardziej należy. Że na ten artretyzm, co go pokręcił, medycyna może wiele zaradzić, ale on się uparł, że nie pójdzie do szpitala. Wszystko to są plotki, ale kto tam wie, jak jest naprawdę, a gość na wózku dalej ciąga się po mieście.

Siedzimy, stoimy, opieramy się o ścianę. Leżymy na zimnej kamiennej posadzce i czekamy ranka. Zegar tyka na okrągło, przybliżając bezokienny świt.

Spędził dużo czasu na zimnej posadzce przejścia podziemnego, czekając. Danny, znaczy. Dopóki nie pozamurowywali przejść podziemnych i nie zagruzowali ich. Siedział na kocu, z drugim narzuconym na plecy. Dopóki nie zakazali organizacjom charytatywnym wydawania koców, dopóki jakiś działacz rady miejskiej nie zaczął nawoływać do oczyszcze-

nia ulic w imię tak zwanego szacunku dla obywatela, jakiś bubek, który się naoglądał za dużo filmów i grzmiał w tym duchu: Spadnie kiedyś taki deszcz, który spłucze to całe gównno z naszych ulic, a póki co wystarczyć nam musi szlaban na koce i azbestowy gruz. Siedział z Einstein skuloną na jego kolanach. Oczy spuszczone, ręka z kubkiem wyciągnięta. Wielce pokorny, wielce, no jak to się kurwa mówi, skruszony. Mike czatował w jednym końcu przejścia. Przeliczał raz po raz pieniądze, sprawdzając, ile aktualnie mają i ile jeszcze potrzebują użebrać, zanim będą mogli zwinąć koce i pognać do mieszkania dać w żyłę. Bóle zaczynały się zawsze dokładnie w momencie, gdy ostatnia moneta wpadała w kubek, a ledwie wpadła, oni już byli na nogach, już ich gnało, w biegu zwijali koce, przeskakując po dwa i trzy stopnie w górę na ulicę, Mike przodem, byle prędzej dopaść budki i zamówić towar, Danny w ślad za nim, Einstein nie trzeba było mówić, że ma się trzymać przy nodze, a potem już we dwóch, Danny i Mike, posuwali ulicą niczym olimpijscy chodździarze, no może raczej tacy z paraolimpiady, zważywszy na ich stan, te tenisówki klapiące naddartymi podszewkami, kuśtyk, kuśtyk, a Mike po drodze objaśniał, gdzie zostanie dostarczony towar. Nie mieli po co tak się spieszyć, bo kiedy docierali na miejsce, to i tak zawsze musieli jeszcze czekać. Ale to było silniejsze od nich. Zawsze czekali dłużej, niż im obiecywano, dłu-

żej, niż chcieli, dłużej, niż mogli znieść, ale co zrobić, Mike tylko chodził w kółko i gadał w telefon. Obserwując każdy zwalniający samochód, każdego szczeniaka na rowerze górskim, w ogóle każdego, kto się znalazł w polu widzenia i mógł nieść upragnione przez nich dobro. Dobra naszego upragnionego daj nam dzisiaj. Trzy albo cztery razy dziennie tak stali i czekali. Ale nas broń od wszelkiego, no czego, no od tych kurewskich mdłości.

Tak jak Danny w budce telefonicznej koło pubu Miller's Arms, gdzie go widzieliśmy po raz ostatni. Czekał tam jeszcze, po ciemku, przemykały przed nim wieczorne pociągi, a drzwi pubu otwierały się i zamykały z trzaskiem gdzieś za jego plecami. Trząsał się i pojękiwał, a Einstein owijała się ciasno wokół jego nóg, jakby to miało Danny'emu ulżyć, jakby to mogło mu cokolwiek pomóc, jakby w ogóle pomóc mu mogło cokolwiek prócz tego, na co tak bardzo czekał, wtedy czy teraz.

Pan myślisz, że On w pana wierzy.

Bardzo by mi się przydało coś na podtrzymanie, póki z tego nie wyjdę, możecie dla mnie coś w tej sprawie zrobić.

Przepraszam, że tak pytam, ale gdybyście mogli, to zróbcie coś, kurwa.

Właściwie to Danny odwalał całą prawie zebralinę za nich dwóch. Nie wygłupiam się, ale ja naprawdę nie mam do tego temperamentu, mówił Mike, gdy o tym rozmawiali. Nie były to jakieś wielkie dyskusje. Cierpliwości nie mam, tłumaczył Mike. Ludzie potrafią się nieraz dziwnie zachować wobec takiego, co tak siedzi, a ja się dosyć łatwo denerwuję, rozumiesz, mogę przywalić na odlew i będzie z tego więcej kłopotu niż pożytku. Mam skłonność do fałszywego interpretowania cudzych min, kapujesz, Danny, to jest mój problem, jeden z moich problemów, mam skłonność do dostrzegania w ludziach wszystkiego, co najgorsze, i wtedy mnie ponosi. No więc najlepiej, żebyś ty zawsze siedział, a ja będę stał na oku, plus jak już zdobędziemy szmal, to będę załatwiał towar, pasuje ci to?

Mruczał tak Danny'emu do ucha, jakby mu zadał pytanie, ale to wcale nie było pytanie. Nie takie panowały między nimi stosunki. Jeszcze czego. Mike był tym, który miał plan. Dlatego od początku, jak się tylko spiknęli, było tak, jak Mike zarządził, odkąd skończył im się pierwszy zasiłek Danny'ego i musieli opuścić stary magazyn w poszukiwaniu floty. Mike po drodze wykladał Danny'emu plan, przystając co jakiś czas i plując mu prosto w ucho.

I to właśnie wtedy Steve zaczął ich widywać razem w okolicy. Czasami przed stołówką, jak czekali na

otwarciem, czytając książkę albo pogadując z innymi oczekującymi, aż się w końcu zaczęło zdawać Steve'owi, że gdziekolwiek spojrzy, wszędzie widzi Danny'ego z Mikiem, jak gnają w tę albo z powrotem. Mike zawsze nawijający do telefonu, Danny ciągnący za sobą to swoje psisko. Obaj chudzi jak tyczki, o długich cienkich rękach, potykający się o własne nogi; Mike zawsze kroczył przodem, a Danny snuł się za nim, wyzierając przed siebie spod przymrużonych powiek, jakby miał się zapuścić w długi ciemny tunel, albo co. Wyglądali na ludzi, którzy mają wiele spraw do załatwienia. Wyglądali jak zatrudnieni w wysoce stresogennej profesji. Tak sobie myślał Steve, wtedy.

Jest jeden fragment przejścia, który wypróbujemy najpierw, przy pętli autobusowej, kupa ludzi z biur tamtędy przechodzi, powinno się zbierać na pierwszą saszetkę dnia. Oto Mike ze swoim planem. Potem cię zapiszemy do rozdawania pisma bezdomnych „Issue”, ja mam tam u nich od jakiegoś czasu szlaban, wynikło pewne nieporozumienie, kapujesz, ale ty wejdiesz bez problemu, a nowym chłopakom przydzielają zawsze najlepsze miejsca, tak że przy odrobinie szczęścia powinno starczyć na saszetkę numer dwa. Potem, jak jesteś dobry w liftingu, możemy przejść przez drogerię Bootsa i zgarnąć trochę

golarek, baterii itepe, które byśmy sprzedali częściowo w King's Head, a częściowo zaczepiając ludzi w drodze do osiedla, i w ten sposób mielibyśmy na trzecią saszetkę, która nam pozwoli przetrwać do pory masowych powrotów z pracy, kiedy znów się zasadzimy w przejściu podziemnym i uzbieramy, ile trzeba, w trymiga, no. Wtedy pomyślimy o znalezieniu jakiegoś noclegu. Takie życie to jest zajęcie na pełny etat i jeszcze trochę. Wymaga sporo poświęcenia. Wymaga planowania. Trzeba mieć plan, Danny, mój chłopcze, najważniejsze to mieć plan. Trzymaj się mnie, a nie zginiesz. Ja mam plany. Wszystkie trzymam, o, tutaj.

Popukał się w głowę i pociągnął Danny'ego za rękaw w stronę tłumy na pętli autobusowej, przez który szli, torując sobie drogę, Mike w długim czarnym płaszczu łopoczącym u kolan i Danny z obrzmiały mi jeszcze i nabiegłymi krwią ustami po tym łomocie sprzed tygodnia.

Komiczną zaiste tworzyli nieraz parkę, gdy tak kroczyli ulicami, Danny objuczony górą koców i ciągnący za sobą psa, i Mike perorujący przez komórkę, wygłaszający teksty w rodzaju: Nie, słuchaj dobrze, co ci mówię, kolego, słuchajcie wy mnie wszyscy. Jakby rozmawiał ze swoim osobistym agentem, maklerem giełdowym, czy kimś takim.

To wymaga nie lada, no jak to się, kurwa, mówi, zaangażowania i w ogóle.

Steve dużo czasu spędzał w schronisku dla bezdomnych, jak na nowo zaczął pić. Czekał. To jest miejsce, gdzie można spokojnie przesiedzieć deszcz i nikt się człowieka nie czepia. Z nikim nie trzeba gadać, chyba że się samemu chce. A Steve'owi się nie chciało po tym ostatnim roku. Kiedy to było, dawno temu. Będzie z dziesięć lat. Kto to wie. Po tym, jak nie pił przez pewien czas, co było wielkim błędem, który teraz nadrabiał z nawiązką. Co plasowało go w dobrym towarzystwie, ale nie dla towarzystwa tam chodził. Chodził coś zjeść, przebrać się w coś suchego, uciec przed złą pogodą. Był, można tak powiedzieć, w trakcie przeprowadzki, innymi słowy, nie miał ani kawałka dachu nad głową, ale nauczył się jeszcze w wojsku sztuki przetrwania, dzięki której potrafił wykorzystać do maksimum dostępne w danej chwili środki. A schronisko to był środek stu pięćdziesięcioprocentowy, bez wątplenia. Nawet jak przyszło czekać na dworze przez pół rana, aż się otworzy.

No ale ten pies, obraz nędzy i rozpaczy. Danny mu kiedyś opowiedział, jak to z nim było, przez niego właśnie głównie wyniósł się z Londynu. Jeden diler zmiażdżył jego psu tylną łapę, za to, że Danny był

mu winien pieniądze, i Danny w związku z tym uznał, że nie ma co czekać, co będzie dalej. Próbował dostać się z psem do weterynarza, żeby mu ktoś tę łapę obejrzał. Ale z drugiej strony bałem się, mówił, że mi ją odbiorą. No bo co ja bym bez niej zrobił.

Niektórzy nie potrafią spokojnie siedzieć i czekać. Weźmy kilka osób oczekujących na to samo, w poczekalni u lekarza, czy w administracji, czy gdzieś. Niektórym się wydaje, że koniecznie muszą przełamać ciszę. Ale nie Steve'owi. Steve, jak trzeba było, potrafił siedzieć i czekać w milczeniu cały dzień. Nauczył się tej sztuki na manewrach. Cierpliwości. Jak tak siedział przed schroniskiem, to zawsze znalazł się ktoś, kto zagadał o pogodzie albo o policji, albo o ubiegających się o azyl, ale Steve tylko rzucał takiemu komuś jedno wymowne spojrzenie i wracał do przerwanej lektury. To wystarczało, na ogół. To, plus warczenie H. Nawet nie głośne, taki tylko pomruk z głębi gardła, który sugerował, że może zmienić się w warkot piekielny, jeśli dana osoba nie poniecha natychmiast tego, co robi. Do tych spraw H był idealny. Z wyglądu wredny, miał biały pysk, czarne ślepia i spłaszczony nos, nie był to piesek rozrywkowy ani serdeczny, nawet dla Steve'a, ale przynajmniej trzymał obcych na dystans. Na czym Steve'owi zależało, przeważnie.

Ale jednego razu podeszła Heather, ukucnęła przed H, podrapała go pod pyskiem, a on nic. Steve podniósł wzrok, a Heather powiedziała: Wyglądasz, jakbyś potrzebował się napić. Rozśmieszyła go. Poczł, że nie śmiał się od dawna. Poczł, że to jest jakiś start.

Znał Heather z widzenia, ale nigdy przedtem z nią nie rozmawiał. No bo trudno ją było przeoczyć. Baba jak piec, poubierana na cebulę, z długimi skołtunionymi włosami, które co i raz zmieniały kolor, i z mnóstwem tatuaży, między innymi z wytatuowanym okiem pośrodku czoła. Które najczęściej zwracało uwagę. Trudno ją było przegapić.

To jest moje dodatkowe oko na kłopoty, wyjaśniała, kiedy ktoś ją pytał, czemu sobie zrobiła taki tatuaż. Zawsze czai się jakiś kłopot, na który warto mieć oko.

Zaczęli razem pić, Steve i Heather, i rozmawiać, i ona wypytała go o H. Powiedział jej, że ma go od dwunastu, trzynastu może lat, od szczeniaka, czyli mniej więcej tak długo, jak sam jest na ulicy. Wiele razem przeszli, powiedział, a Heather dopiła puszkę i westchnęła: Wszyscyśmy swoje przeszli, kochasiu.

Potem mu powiedziała, że z tego wynika, że debiutowali na tej scenie mniej więcej równo. Ona przedtem była w zespole muzycznym, dużo jeździli

z koncertami i dobrze im szło, ale w końcu zaczęły się kwasy. Niezgodność upodobań muzycznych, powiedziała, podwijając rękaw i demonstrując mu stan swojej ręki. Blizna na bliźnie po igłach. Plus jeszcze coś: rzadki zgrubiałych różowych szram od nadgarstka po pachę. To taka drobna rozrywka od czasu do czasu, pomaga nie robić innych rzeczy i nie myśleć o innych rzeczach.

Spytała go, gdzie bazuje, a on na to, że właściwie to nigdzie, a w jakiś czas potem, gdy wychodzili ze schroniska, zgięci wpoł, jakby wkraczali w szalejącą nocną burzę, podpierający się nawzajem i co chwila osuwający na suchy grunt, Heather powiedziała: Ja mieszkam z jednym takim trochę dalej, on nie lubi wychodzić, ale w sumie jest porządny, więc nie będzie miał nic przeciwko temu, żebyś i ty się u niego trochę zatrzymał. A kiedy doszli na miejsce, Steve był zbyt pijany, żeby się zdziwić, że to było akurat mieszkanie Roberta.

Kółko się zamyka, zawsze, prędzej czy później.

Robert nie wyglądał na zdziwionego, że go widzi. Chociaż lata całe się nie widzieli. Może nawet w pierwszej chwili się nie poznali. O ile w ogóle się poznali. Ile to czasu upłynęło. Lata. Ciężko spamiętać. Za dużo tego było. Może siedem, może osiem, może dziewięć, a może dwa lub trzy. Za dużo, za dużo luk.

Nie odezwał się właściwie, jak Steve powiedział cześć. Też sobie tymczasem sprowadził psa, Penny,

wszyscy troje patrzyli, jak Penny z H obwąchują się przez minutę, niczym psi Flip i Flap, powarkując i kłapiąc zębami, po czym się uspokoiły. H zaczął węszyć za resztkami na podłodze. Steve siadł na parkiecie, bo już wtedy był u Roberta tylko ten jeden fotel. Heather uwalila się w kącie i zamknęła oczy, a tuż przed zaśnięciem powiedziała: Hej, uważajcie, bo ja cały czas mam was na oku. Mając ma myśli swoje trzecie oko, ten wyblakły niebieskozielony tatuaż.

Powtarzała ten żart chyba co wieczór, takie Steve odniósł wrażenie. Nawet nie było to zbyt śmieszne. Ciarki człowieka przechodziły.

To nie była do końca prawda, co Heather mówiła o swoim uczestnictwie w kapeli. Raczej była przy kapeli. Albo kapela przy niej.

Kiedy się obudzili rano, wszyscy troje, a H i Penny ujadaly już w korytarzu, skacząc na drzwi, żeby je wypuścić na dwór, Robert popatrzył na Steve'a, podniósł czapkę z oczu i powiedział: To jak ty się nazywasz, kolego, przypomnij mi? Czy ja ciebie skądś nie znam?

Te luki.

Coś jest, powiedział. Powiem ci co. Coś ważnego.

Steve czekał cały dzień, żeby Robert go sobie przypomniał, a potem sam o tym zapomniał. Dużo czasu upłynęło. Obydwaj, jak to się mówi, posunęli się w tym czasie. Chociaż Robert nie za daleko się przesunął, jakieś może pół jarda, góra jard, a Steve wciąż pił, pił od nowa, i dalej laził po tych samych miejscach. Ale mimo to sporo się w międzyczasie wydarzyło. Steve wyjeżdżał, to po pierwsze. Miał okres niepicia, i wyjechał, i wrócił, i już nie był niepijący. Robert przybrał na wadze, podwoił, tak na oko, swoją kubaturę, jakby nie ruszał się z tego fotela przez cały czas, kiedy Steve go nie widział. Jakby wyczerpała mu się cała energia, czy co.

Robert widział się z Laurą, jak się okazało. To też było coś nowego. Którejś nocy zjawila się po prostu pod jego drzwiami. Z plecakiem, w batikowej chustce na głowie i z tekstem, że nienawidzi matki i nie zamierza więcej wracać do domu. Ona mnie też nienawidzi, powiedziała, wiem o tym, już mnie nie chce u siebie, ma mnie dość, obchodzi ją tylko Paul, a dla mnie w ogóle nie ma czasu, tylko bez przerwy jęczy i ma do mnie pretensje, że późno wracam, że się zadaję z byle kim, że palę i takie tam gówniane gadki, co to za hipokrytka cholerna, nienawidzę jej jak nie wiem co.

Tak mówiła Laura do Heather. Stojąc w mroku kuchni z plecakiem u stóp i zerkając co chwila do przedpokoju, gdzie jej tata leżał uwalony na ziemi

z dwoma jeszcze facetami, aż w końcu zapytała: Czy im nic nie jest?

Heather była pijana, gdy Laura przyszła. Ale nie aż tak pijana jak pozostali, i nie aż tak pijana, żeby nie spytać kto tam, zanim otworzyła drzwi. Twierdzi, że wiedziała, że to Laura, ledwie na nią spojrzała. Chociaż wcale nie była do niego tak podobna, jeszcze wtedy. Postarała się wyglądać na doroślejszą i bezczelniejszą, niż była, ale nie całkiem jej wyszło. Pochlastała dzinsy, rozdeptała glany, przekłuła sobie nos. Ale co z tego. Paznokcie dalej miała czyste, włosy spięte z tyłu, skórę różową, miękką, nienaznaczoną sińcami, bliznami i tatuażami. Jeszcze tego rana umyła zęby, tak jak co rano i co wieczór do tej pory. Z tego, co Heather mogła zaobserwować, nie miała żadnych ubytków.

Chyba uznała, że pomyliła drzwi, jak mnie zobaczyła w progu, powiedziała Heather, relacjonując zdarzenie Steve'owi. Mnie w tym stanie. Biedne dziecko, naszykowała się na wielkie pojednanie, a jej staruszek leżał urżnięty w trupa na podłodze. Troszkę musiała być rozczarowana.

Bo kto ją niby tak rozczarował? – spytał Robert, więc Heather spojrzała na niego i wszyscy troje ryknęli śmiechem.

Robert śmiał się najgłośniej, jego świsty i rżenie wypełniły cały pokój.

Laura w ciemnej kuchni opowiadała Heather, jak bardzo matka jej nienawidzi, a w padającym z parkingu pomarańczowym świetle latarni jej twarz spochmurniała i nabrała determinacji, a oczy zaczęły błyszczeć, tak że kiedy skończyła mówić, Heather spytała ją: Ile masz lat, kochanie?

Laura wetknęła ręce w tylne kieszenie i odpowiedziała: Piętnaście, masz jakieś fajki?

Laura skręca sobie fajkę z tytoniu Heather, jej długie białe palce niezręcznie radzą sobie z cienką bibułką, a gdy już krawędź została polizana, te same czyste palce zdejmują źdźbła tytoniu z języka Laury. Rozgląda się za popielniczką. Heather wskazuje pety powdeptywane wszędzie w podłogę, mówiąc: Szkoda zachodu, złotko, za późno na to.

Latami czekał, żeby wróciły, a kiedy jedna wróciła, był zbyt pijany, żeby to zobaczyć.

Trzeba jej było zaraz kazać wracać do domu. Ale nie usłuchałaby. Piętnaście lat, pierwszy raz sama na wolności, nie usłuchałaby nikogo.

Zegar tyka w kółko, echo tykania coraz głębiej ryje podłogę. Urządzenia świetlne zimne i ciemne.

Obudziła się wcześniej. Znaczy, następnego dnia. Laura obudziła się wcześniej, i czekała. Czekala dość

długo. Siedziała w kącie pokoju, obejmując ramionami kolana, i rozglądała się po swoim starym domu, który ledwo co pamiętała. Jeszcze mogła zmienić zdanie. Mogła wstać, zwinąć śpiwór i wymaszerować na dwór, podczas gdy jej tato i reszta towarzystwa spali w najlepsze. Omalże tego nie zrobiła. Powinna była, to jasne. Ale nie chciała przyznać racji matce. Chciała zobaczyć, co będzie dalej. Chciała zjeść jakieś śniadanie, a skończyły jej się już pieniądze.

Obudził się i zobaczył, że ona na niego patrzy. To było krępujące. Co za jedna. Przez moment pomyślał, że to Yvonne, młoda jak w czasach, kiedy się poznali, że wróciła, żeby wszystko naprawić. Aż nagle sobie uświadomił. Odczuł w związku z tym dziwny ból w piersi, uczucie jakby wzbierania i zasysania powietrza, kiedy tak na nią patrzył i zdawał sobie sprawę z tego, ile stracił i jak bardzo nie był, w tym właśnie, kurwa, dokładnie momencie, tym, kogo ona chciała w nim widzieć. Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Patrzyła na niego.

Pobudził nas wszystkich i kazał się wynosić. Coś nowego. Nigdy przedtem nie kazał nam się wynosić, więc odgadliśmy, że coś się dzieje. Popatrzyliśmy wszyscy na Laurę z takim, no, wyrzutem, czy jak. Utyskując i mamrocząc gniewnie w drodze do wyjścia. Zaglądaliśmy potem z zewnątrz przez brudne szybki frontowych drzwi, ale nic nie było widać

ani słyhać, a mieliśmy w końcu lepsze i pilniejsze zajęcia. Teraz dopiero wszystko jest jasne.

Cześć tato, powiedziała wreszcie i zabrzmiało to tak kulawo, że sama się roześmiała. On nie wiedział, co ma zrobić. Stał w drzwiach do przedpokoju. Uśmiechnął się, nieporadnie, z taką miną, jakby się krzywił przed słońcem o brzasku.

Zdjął czapkę i obracał ją w rękach, miętosząc.

Powiedział: Ale z ciebie pannica.

Co.

Kiedy zdążyłaś.

Mama wie, że tu jesteś?

Pokręciła głową. Odwrócił się, wyszedł do kuchni, zawahał się, wrócił do przedpokoju, zajrzał do pomieszczenia stanowiącego dawniej małżeńską sypialnię.

Dobrze spałaś? – zapytał, wracając do pokoju.

Tak, odparła. Może być.

Krążył z pokoju do pokoju, biorąc do rąk przypadkowe przedmioty i odkładając je, jakby uważał, że powinien się krzątać, czy co. Jakby uważał, że jest coś, czego zapomniał zrobić. Dłuższą chwilę stał w kuchni, zasapany, uciskając dłońmi skronie; chciał się napić, ale po raz pierwszy od lat nie chciał chcieć się napić. Nie miał pojęcia, co robić. Żadne z nich nie miało.

Po raz pierwszy od lat.

Słyszała, jak on porusza się po kuchni, i ponow-

nie pomyślała, żeby po prostu wstać i wyjść. Mogła mu zostawić kartkę. Mogli pogadać przez telefon, gdyby zdobył skądś telefon. Gdyby był w stanie odebrać telefon. Może to było zbyt nagłe, w ten sposób. Co ona sobie myślała.

Przyniosło go z powrotem do pokoju, i znów się uśmiechnął, wtedy zauważyła, jakie ma popsute zęby. Połowy brakowało, a reszta była popękana, poszczerbiona, starta na pieńki, cała w czarnych, brunatnych i żółtych nalotach. Wyglądał przez to jak psotny ulicznik. Gdy silił się na uśmiech. Wyglądał wtedy, o dziwo, dużo młodziej, wpatrując się w nią bezradnie, bez mrugania, z wielkiej okrągłej tarczy twarzy. A ona wpatrywała się w niego.

Gdybym wiedział, że przyjdiesz, trochę bym posprzątał, powiedział, ogarniając gestem pokój i uprzątniając sobie, nim zdążył się zaśmiać, że to wcale nie jest śmieszne. Usiadł z powrotem i sięgnął po puszkę.

No więc tak, co zrobić. Kiedy to było. Dawno temu.

Przyszła Penny, wygrzebała się spod sterty ciuchów w kącie – mikra garstka łaciatych burych kłaków z poszarpanymi uszami i ogonkiem długości Robertowego kciuka. Przemieszczała się po pokoju jak królik, zrywami, niemal susami, zatrzymując się

co chwila, by obwąchać podłogę, powietrze, wszystko, co stało jej na drodze. Laura wzięła ją na ręce i, trzymając na jednym ramieniu, drugą ręką drapała czubek psiej łepetyny, łaskocząc za uszami. Nazywa się Penny, powiedział Robert. Uśmiech Laury nagle znikł, odstawiła Penny na ziemię. Wytarła ręce o dzinsy, zaplotła ramiona.

No to jak się masz, tato? – spytała tonem szorstkim od rozczarowania. Jak leci? Odstawił prawie pustą puszkę na podłogę i spojrzał na córkę przeciągle. Jakoś tam leci, Lauro, odpowiedział. Nienajgorzej. A co u ciebie? Co u mamy?

Poszła sobie, jeszcze zanim po południu wróciła Heather, a Robert nie miał wiele do powiedzenia ani o tym, co zaszło, ani o tym, dokąd jego zdaniem się udała. W ogóle mało mówił. Pozdrów matkę. A czego się spodziewałaś. Gdybym wiedział, że masz przyjść.

Całe wielkie czekanie dobiegło końca i łzy Roberta zostały otarte, coś w tym stylu.

Rzeczy, których nie chcemy pamiętać, ale pamiętamy.

Już nie jesteśmy w stanie blokować żadnych wspomnień. Nie tutaj, nie w tej sytuacji.

Na przykład o tym, co wtedy robił Ben. Kiedy na schodkach centrum rozrywki stał facet jedzący czip-

sy z torby i jakaś kobieta robiła mu awanturę. Kto to był. Mógł być ktokolwiek. Już nieważne. Kobieta darła się: Mogłeś mi powiedzieć, gdzie jesteś, mogłeś mi to kurwa powiedzieć. Odwracała się co chwila, jakby już skończyła, i zaraz z powrotem swoje. Facet tylko kręcił głową i coś mówił cicho, jakby usiłował być grzeczny, jakby usiłował zachować postawę pojednawczą, czy co.

Mike, Danny i Ben czekali na dostawę koło budki telefonicznych po drugiej stronie ulicy. Ben spytał: Co się stało, że nie dzwonisz z komórki, Mike, co się stało, że musisz korzystać z budki, a Mike na to, patrząc na niego: Bo mi się kredyt skończył, stary, kredyt mi się skończył.

Kobieta już się wykrzyczała i posuwała ulicą, a facet wołał za nią: Wracaj tu zaraz, kurwa, na co ona kazała mu się odpiardolić, na co on zeskoczył ze schodów, rzucił torbę z czipsami na ziemię i zaczął babę gonić, i nadleciało wielkie stado gołębi, sfrunęły nie wiadomo skąd, i prosto do tych czipsów, tylko im głowy znikwały i wyłaniały się z torby, a na koniec pobiły się całą chmarą o ostatnie tłuste okruszki.

No a Ben. Kurwa mać. Przeskoczył nabuzowany przez jezdnię i wpadł w sam środek stada, wszystkie ptaki poderwały się w powietrze oprócz jednego starego ślamazary, który za głęboko grzebał dziobem w torbie i nie zachował czujności, no to Ben dał

mu kopa przez cały chodnik, aż pod schody, na których przedtem stał gość z czipsami, a potem chwycił go za skrzydła, zakręcił nad głową i jeszcze raz trzepnął o schody.

Danny i Mike popatrzyli po sobie. Zastanawiając się, Co on, co to ma znaczyć, co jest grane. Ben kuczał nad gołębiem, robiąc coś, czego Danny z Mikiem nie mogli zobaczyć, wykonując jakąś czynność powoli i z rozmysłem, więc zawołali na niego, ale ich zignorował. A jak się podniósł, trzymał w każdej ręce pół gołębia. Rozerwał go na pół i wznosił ochłapy do góry jak jakieś trofeum, szczerząc się, jakby to był super żart, a Einstein szczekała, kłapała zębami i biegła w kółko jak szalona. Danny i Mike nie powiedzieli nic, tylko jak Ben do nich wrócił, to mu Danny powiedział, żeby spierdalał. Całe łapska miał we krwi i gołębiem gównie. Mike jeszcze coś mamrotał na ten temat, gdy zjawił się na rowerze młody z towarem. Powiem ci, stary, że to nie jest normalne, jak by nie spojrzeć, to nie jest normalne.

Zimna, ciemna glazura i głębokie zlewy wzdłuż ściany. Zegar tyka na okrągło. Wywieszki na szufladach, nazwiska, daty, godziny. Rękawice na półkach. Setki par rękawic, otalkowanych, wiotkich, w firmowych pudełkach.

Jezu. My wszyscy tutaj, otaczamy go kołem. Przydałby nam się animator, czy co. Czy jest coś, czym chciałbyś się podzielić z grupą. Jak się poczułeś w związku z tym. Czego byś chciał w związku z tym. Jak sądzisz, że poczuły się inne osoby w tej sytuacji.

Nie spiesz się z odpowiedzią. Możemy poczekać. Czasu mamy, ile chcemy.

Nawet Steve zadał się z jedną z tych grup. To było ile, z dziesięć lat temu, może więcej. Nieważne w tej chwili. Potem się okazało, że żył wtedy systemem jeden dzień na raz i nie za bardzo wiedział, co się dokoła dzieje. Ostatecznie nie pił przez prawie rok. To już było jakiś czas temu.

Zdawało mu się, że w końcu co to szkodzi nie pić przez jeden dzień, zwłaszcza że na kobitce robiło to wrażenie. Jak ona się nazywała. Marianne. Michelle. Marie, Marie. Pracowała w sklepie charytatywnym należącym do projektu i ciągle go zachęcała, żeby wrócił do grupy. Jestem pod wrażeniem, Steve. Naprawdę. Jestem z ciebie dumna. Takie tam.

Zdawało się, że co to szkodzi nie wypić nic przez jeden dzień i posiedzieć z grupą, której uczestnicy dzielili się tym, czym mieli chęć się podzielić, podczas gdy on tylko siedział i nie otwierał ust.

Nic to nie szkodziło, tyle że było koszmarne jak cholera, poty, drżączka, rozsadzające bóle głowy, ale nawet i to po pewnym czasie minęło.

Jeden dzień na raz, i szczerze mówiąc to było miłe, jak ta Marie ze sklepu mówiła, że jest pod wrażeniem. A po jakimś czasie spytała: Nie chciałbyś czasem popracować w sklepie, Steve, dałabym ci coś do roboty. Praca z prawdziwego zdarzenia to to nie była, pieniędzy nie dostawał, a cała jego robota polegała na siedzeniu na zapleczu, sortowaniu darów i pakowaniu ich w kartony, no i na wyskakiwaniu co pięć minut na podwórko na fajkę. Marie też wyskakiwała zapalić, jak nie było ruchu w sklepie. I tak od słowa do słowa, nagle Steve opowiada jej o tym, jak był w wojsku. Falklandy, Irlandia Północna, tak zwane łatwe placówki w Niemczech i na Cyprze, no i cała reszta. Spytała, co mu się stało w rękę, że ma taką podkuloną, a on jej na to: Oj, wiesz, Marie, to by już było donosicielstwo.

Czy jest coś, czym chciałbyś się podzielić z grupą. Właściwie to nie ma. Gdybym powiedział wam chociaż połowę prawdy, to mielibyście przez miesiąc koszmarne sny albo byście pomyśleli, że kłamie, i wykopali mnie stąd. Właściwie tylko jedno powiedział przy grupie. Ojczyzna mnie oszukała, a w szczególności wolę się nie wdawać. Nimi bym się raczej nie chciał podzielić z grupą, przepraszam, powiedział.

Ale jak wyskakiwał na fajkę, a Marie siadała obok na stercie skrzynek po mleku, to jakoś miał wrażenie, że jej może powiedzieć. Ona nie uważała, że

Steve kłamie, a przynajmniej tak nie mówiła. No i tak, szczerść za szczerść, Marie zaczęła przebąkiwać o wyjazdowej akcji charytatywnej. Jej sklep rok wcześniej załadował ciężarówkę rzeczami dla dzieci i wysłał do sierocińca w Rumunii, a w tym roku planowali zorganizować taki sam transport, tylko że do Bośni.

Cholerna Bośnia.

Zabawki, książki, ubrania, leki i sprzęt medyczny, i jeszcze kupa innych rzeczy, już czekały załadowane w pudle ciężarówki, i teraz trzeba było znaleźć jeszcze tylko takiego wariata, który z tymi dobrami pojedzie w strefę wojenną.

Nie znasz przypadkiem jakiegoś wariata? – spytała Steve’a Marie. Patrząc na niego w ten swój szczególny sposób. Kątem oka. Z uśmiechem przyczajonym w kącikach ust.

A wiesz, Marie, że chyba znam, odpowiedział.

To właściwie nie była nawet strefa wojenna, tam gdzie jechali. Zapoznał się z nią trochę zawczasu, poczytał doniesienia prasowe, postudiował mapy. Walki tam się skończyły, jeżeli to, co miało miejsce, można nazwać walką. Dlatego w ogóle jechali w tamte okolice, bo ludziom po wojnie potrzeba było tych wszystkich rzeczy. Dzieciom zwłaszcza. No więc z ciężarówką wyładowaną po dach darami, Steve i jeszcze jeden koleś, niejaki Patrick, wyruszyli któ-

regoś ranka, zaopatrzeni w mapy i rozmówki angielsko-bośniackie, w papierosy i gotówkę, oraz w adres przewodnika, którego mieli zastać na miejscu. Zegnęła ich garstka fotografów oraz Marie, która pomachała Steve’owi, życząc bezpiecznego powrotu. Dawno mu nikt nie życzył bezpiecznego powrotu. Może nigdy. Warto było wszystko zrobić, żeby coś takiego usłyszeć. Czy na pewno.

No bo to całe czekanie. Nieustające.

Czekanie przed nocnym schroniskiem, aż otworzą drzwi. Wystawanie godzinami na dworze, żeby mieć pewność, że cię zakwaterują. Czekanie w biurze, aż załatwią jakąś formalność i odeślą cię jeszcze gdzieś, gdzie znowu będziesz mógł trochę poczekać. Czekanie pod apteką, aż otworzą i zrealizują ci receptę. Czekanie, żeby dać w żyłę, kiedy nikt nie jest w stanie ci jej znaleźć, tak jak to było przed świętami, jak wszyscy ześmy się naćpali galaretek i dropsów, żeby przyhamować drgawki. Trzeba uważać, jak się daje w żyłę na takim podkładzie, bo można przeholować. Ale szkoda gadać o uważaniu.

Czekanie w korytarzach sądowych, aż wywołają twoją sprawę. Czekanie w celi. Ben czekający w celi przez trzy dni, całe Boże Narodzenie, roztrzęsiony totalnie w tej betonowej klatce i gnający jak wariat prosto po działkę, jak go wreszcie wypuścili.

Albo Sammy, czekający na cokolwiek on tam czeka w swoim stałym miejscu przy ławkach na Barford Street. Czeką, aż mu broda urośnie. Czeką, aż się ktoś zatrzyma i zagada, żeby szybciej minął dzień. Sammy zapuszcza brodę, odkąd przyjechał z Glasgow, jakby się kto pytał, chociaż chuj to kogokolwiek obchodzi. Miał tam w Glasgow pewne, jak to się mówi, problemy. Związane z kobietą i z pieniędzmi, czy to zresztą nie chodzi zawsze o to samo, zawsze o to samo. Musiał się przenieść na południe i zmienić dawny wygląd, ale to było lata temu. Fakt niezбитy. A teraz ma kłopoty z oczami, gdyby się kto pytał. Co ni chuj nikogo nie interesuje.

Gównu widzi, a ból jest przy tym jak cholera, ale jakby człowiek czekał, że się nim kto zainteresuje, to może sobie tak czekać długo.

Czekanie za budką telefoniczną, aż przyjedzie na rowerze małolat z towarem. Tak jak Danny teraz, wciąż stoi przy tej budce, pociągi przemykają z hurgotem, Danny liczy raz po raz pieniądze i przechadza się, zataczając desperacko wielkie koła w postrzępionej trawie.

Czekanie w korytarzach. Tak jak Heather. I wygarnęła im, jak ją w końcu wezwali, że powinni dać jej szansę, że to oni powinni czekać. Pozbieram się, powiedziała. Pozbieram się i wrócę tu jutro, wiem,

że w tej chwili nie jestem gotowa, ale postawię się na nogi. Zaczekajcie. A ta kobieta do niej: Heather, to nie jest kwestia poczekania. To jest wyrok bezwarunkowy, rozumiesz, co to znaczy? A Heather: Nie, niech pani zaczeka, ja się pozbieram. Znajdę sobie adwokata. Obalimy ten nakaz. Ja się nigdy nie wyrzeknę nadziei. Pójdę do, jak on się tam nazywa, rzecznika praw człowieka.

Kiedy to było. Dawno temu. Lata. Nie chce się wierzyć, że tak dawno. Jezu, nie chce się wierzyć.

Prosiła ich, żeby przełożyli jej sprawę. Przysięgała, że nigdy nie wyrzeknie się nadziei i że oni też nie powinni. A ta kobieta powtarzała: Heather, proszę. To nie jest kwestia poczekania. To nie jest kwestia nadziei. To jest wyrok bezwarunkowy i nieodwracalny. Czy ty rozumiesz, co to znaczy, pytała. Tak jakby ktokolwiek zdolny był to zrozumieć. Tak jakby komukolwiek mogło się to pomieścić w głowie. Facet zgarnął papiery do kupy i orzekł: Sądzę, że w tej sprawie więcej uczynić nie możemy, sądzą, że tu się kończy nasza rola. Ludzie wymykają się z sali, nie patrząc na nią, a ta kobieta pyta: Heather, czy jeszcze czegoś od nas potrzebujesz?

Jeszcze jak, kochana, jeszcze jak, kurwa wasza mać.

Gorąco jej jest w kark pod włosami, zbiera je w garść i unosi, mając nadzieję na jakiś powiew, który ochłodzi jej skórę. Ale nic z tego. Bezruch total-

ny. Cisza totalna. Czeka w tym długim korytarzu, aż otworzą się drzwi i wywołane zostanie jej nazwisko.

Czekamy, aż wszyscy zostaniemy wywołani.

Mike. Heather. Danny. Ben. Steve. Mrówa. Jesteśmy tutaj w komplecie.

Obecni i odpowiedni.

Czekanie w punkcie kontrolnym, aż policjant zwróci mu paszport. Na pustej szosie bośniackiego pogórza, czort wie gdzie. Jeżeli to w ogóle był policjant. Dolina otwiera się spadziście na jedną stronę. Kolczaste zarośla, karłowate sosny, zapach nagrzanym słońcem skał. Patrick podryguje nogami, a Steve mu mówi, żeby się uspokoił i zamknął, żeby się uspokoił. Przewodnik siedzi pomiędzy nimi, milczy, oczy trzyma spuszczone. Dwaj policjanci gadają między sobą na poboczu, kopiąc w dół luźne kamienie, kartkując po raz kolejny paszport Steve'a i popatrując na niego. Jeden demonstracyjnie klepie się po wszystkich kieszeniach, po czym podchodzi do ciężarówki i przez okienko woła: *Cigarettes? My friend, cigarettes?* Co za gorąc w tej kabinie, okna otwarte na maksa, ale nic, nawet najłżejszego podmuchu, pot się z nich leje strumieniami. Steve sięga pod siedzenie po następną paczkę fajek i rzuca w dół policjantowi. Jeśli to był policjant.

A gadając z innymi w ponurej ruinie mieszkania Roberta. Słuchajcie, ludzie, coś wam opowiem. Kiedy to było. Nie tak dawno. Lata po tamtym. Podnosi głos, żeby przekrzyczeć muzykę, która ryczy z kuchni. Mike i ktoś jeszcze wychodzą do korytarza, w ogóle go nie słuchając. Robert zerka na niego półprzytomnie i tylko Heather mówi: Gadaj, Stevo, ja cię słucham. Bristol John drze się, że ktoś mu doprowadził zapalniczkę: Gdzie moja kurde zapalniczka, nadaje w kółko. Drzwi wejściowe otwierają się i zamykają z łomotem, otwierają i zamykają. Zapach jakby esencji gruszkowej snuje się w kuchni, Ben wpada jak granat do pokoju i zaraz wypada. Bristol John mówi: Znalazła się, siedziałem kurwa na niej, ale jaja, a Heather znów do niego: Gadaj, Stevo, ja czekam, słucham cię.

No więc ten policjant dmuchnął w górę kłębem dymu i pyta się nas: Dokąd chcecie jechać? Co przecieź dobrze wiedział. Zadał im to pytanie już dwukrotnie, obejrzał dokumenty i wszystko. To była z jego strony taka gra, pokaz władzy. Takie gierki uprawia się, trzymając w ręku karty. Albo broń. Całkiem jakbyśmy byli w Irlandii Północnej. Jedna i ta sama cholera. Patrick wciąż dryga nogą, obaj spływają potem, przewodnik dalej siedzi bez słowa. A policjant do nich: Otwórzcie kontener, pokażcie, co tam macie. Proszę natychmiast pokazać. Więc złażą we

trzech z kabiny i otwierają tylne drzwi tej wynajętej białej ciężarówki. W upalne popołudnie, w środku Bośni. Co oni tam robili w tej cholernej Bośni. Dwaj policjanci przeglądają palety koców, skrzynki środków medycznych, pudełka po butach, które darczyńcy, klienci sklepu, powypełniali gramami i zabawkami. Ołówkami, kredkami, zeszytami, piłkami tenisowymi, rękawicami, batonikami, figurkami komiksowych herosów, nakręcanymi autami, pacynkami, krążkami jojo i motkami sznurka. Znalazła się i przezroczyta kula, mieszcząca wewnątrz miniaturę Big Bena i czerwonego londyńskiego autobusu, który znikł w tumanie śnieżnych płatków, gdy Steve potrząsnął kulą na użytek policjanta. Mamrocząc coś w sensie: No i widzi pan, szefie, teraz pan zadowolony. Ileż zachodu kosztowało zgromadzenie tego wszystkiego w jednym miejscu, wynajęcie ciężarówki, zdobycie kasy na zakup paliwa i dojechanie aż tutaj, tylko po to, żeby teraz tych dwóch pajaców porozrywało kartony i powysypywało ich zawartość, przywłaszczając sobie to i owo, co któremu wpadło w oko, zabawki, kredki, balony. Pewnie dla własnych dzieciaków biorą, pomyślał Steve. W końcu wyleźli z kontenera, Patrick zatrzasnął drzwi i policjant oddał im paszporty. Stanęli wszyscy i tak stoją. Przewodnik nie mówi nic. Tylko się trzęsie. Trzęsie się jak cholera. Nic innego tą szosą nie jedzie. To nawet nie jest szosa – zwykła droga wysypana żużlem i tłucz-

niem, wijąca się do góry wokoło wzgórza, i właśnie na tym wzgórzu gdzieś jest miejscowość, do której próbują się dostać. No i wtedy policjant mówi.

Heather prawie już zasnęła, ale Steve dalej snuje swoją opowieść. Bristol John nagle podnosi wzrok i pyta: Co tak kurwa śmierdzi. Wstaje, klepie się po kieszeniach spodni, dotyka linoleum i mruczy: O kurwa, zlałem się; patrzy w dół na Heather i mówi: Heather, ty głupia krowo, coś ty narobiła? Heather się gapi na niego, a potem patrzy po sobie, ludzie przychodzą z kuchni zobaczyć, co się dzieje. Wygłupiają się, śmieją. Heather dźwiga się na nogi, pada z powrotem, znowu wstaje. Jęczy: O kurwa, patrzcie, co ja narobiłam. Jęczy: Myślałam, że się już wysikałam. Że więcej nie muszę wychodzić na siku. Patrzy na Steve'a i jęczy: Moja cipa mnie oszukała. Pęka ze śmiechu, aż jej w piersiach świszczy, i powtarza: Myślałam, że nie muszę wychodzić na siku, ale moja cipa mnie oszukała.

Ale co oni właściwie robili w tej cholernej Bośni.

Czy jest coś jeszcze, czym chciałbyś się podzielić z grupą. Zastanów się spokojnie. My poczekamy. Może miałbyś ochotę przeanalizować niektóre uczucia zrodzone w tym epizodzie. A może wolisz trzymać gębę na kłódkę i siedzieć z założonymi ramio-

nami, aż sesja dobiegnie końca i będziesz mógł odebrać receptę. Patrz cały czas na zegar. I na kafelki. I na głębokie zlewy z nierdzewnej stali.

Ja nie wiem, proszę księdza, a ksiądz myśli, że On w księdza wierzy?

Mike czekał kiedyś w jednej sali z terapeutą, czy może lekarzem. Analizując problemy i tak dalej. Mike mówił: Mnie to nawet nie za bardzo przeszkadza, nie w tym problem. Szczerze mówiąc, to wydaje mi się, że w ogóle nie miałbym żadnych problemów ze zdrowiem psychicznym, gdyby te głosy były wobec mnie chociaż trochę sympatyczniejsze, rozumie pan, co mam na myśli?

Czekanie, aż towar wystygnie w strzykawce, podwijanie ubrania, żeby poszukać żyły. Gładzenie skóry na ramieniu, przesuwanie zimnymi, pewnymi palcami wzdłuż pulsujących naczyń krwionośnych na szyi. Spuszczanie spodni i rozkładanie nóg, odnajdywanie zasiniąłych i zarośniętych strupami ran po wkłuciach na całej długości żyły udowej. Tutaj albo tutaj, albo tutaj. Cichutko, wstrzymując dech.

Czekanie, aż działka dotrze gdzie trzeba, te długie sekundy między wbiciem igły a odczuciem, że działka robi to, co powinna, z twoim ciałem, z twoim mózgiem, no z czym tam jeszcze, kurwa, z twoją

duszą. Czekanie, aż ten cały ból tak po prostu zostanie odjęty. Starty, zmyty bez śladu. Albo czekanie, aż metadon wsączy się w ciebie i na parę następnych godzin pozbędziesz się drgawek i wszystkich innych objawów choroby odstawiennej. Przez parę godzin cię to podtrzyma, a ty w tym czasie coś skombinujesz. Żeby nie mieć kłopotów. Kurewskich kłopotów. Żeby ci nie przychodziły do głowy rzeczy, których sobie nie życzysz pamiętać, pewne takie rzeczy. Pewne takie rzeczy, które jak nie uważasz, ulewają się z ciebie dokładnie tak samo, jak bebechy przy rzyganiu, kiedy za długo nie brałeś. Wszystko się z ciebie wylewa. Kiedy byś wołał nie. Kiedy byś wołał, żeby cię te pewne myśli nie nachodziły.

Czekamy pod apteką przez całe rano, Mike i Danny i Heather i Laura i Bristol John, Stevie, Maggie i Ben, ściskamy papierowe kubeczki z metadonem, sączymy gęsty zielony syrop, oblizujemy wargi, a Mike mówi: Ech, gdyby nie ten eliksir, toby tu doszło do, no jak się nazywa, powstania, rebelii istnej czy czegoś, zcaicie, co mówię, no nie.

To jest opium dla mas, tak jest, koledzy.

Steve się zbyt nie przejął, ale jednak jakiś czas odczekał, zanim znów się odezwał do Heather. Przerwała mu wątek swoim wyglupem, całkiem niepotrzebnym. Odczekał chwilę, zanim znów się tam wybrał i do niej zagadał. Nie żeby się tym martwił.

Ale z tego właśnie powodu nie uczestniczył w zbiorowej Wigilii. Plus coś jeszcze było. Czekał, aż Mrówa skończy, czekał na to, co Mrówa ugotuje.

Parówki zawijane w bekon, pasternak z grilla i autentyczny sos chrzanowy. Nieczęsto trafia się okazja zjeść autentyczny sos chrzanowy. Steve byłby zachwycony. No więc dlaczego Heather nie zauważyła, że go nie ma. A może zauważyła. Zawsze przedtem był.

Robert też lubiłby zjeść takie pyszności, ale nie chodził tam od lat. Od lat nie opuszczał przecież mieszkania. Za bardzo się czegoś bał. Czego. Tego, że mu zajmą mieszkanie pod jego nieobecność. Bo dopóki siedział w środku, nic z tym nie mogli zrobić. Mówił, że to jedyne, co mu pozostało, i z każdym gotów jest o nie walczyć.

Ale jakoś nigdy nikt nie próbował. Widocznie jakimś sposobem ściągali z niego czynsz. Albo zgubili jego teczkę, spadła im za biurko, czy co.

A ile prezentów narozdawali przy świątecznym obiedzie, ile tam było ozdób. A ilu przyszło wolontariuszy, aż jeszcze gorzej się przez to znosi drugi dzień świąt.

Jezu. Drugi dzień świąt. Jedyne dzień w roku, kiedy każdy tęskni za rodziną, wszystko jedno jaką miał. Na ulicach zimno, cicho, wszystko pozamykane, spokój jak w grobie, kurwa mać. A w domach wszystkie okna się świecą. I w każdym domu pełno

ludzi drzemiących w fotelach po świątecznym obżarstwie, wszędzie walają się talerze z resztkami, rodzina w komplecie. Ośrodek dzienny też zamknięty i uświadamiasz sobie tego dnia, że to, co wcześniej, to była lipa, zwyczajna kurwa pantomima.

Wtedy to mniej więcej Steve spiknął się z Mrówą. Po tamtej historii z Heather. Znalazł go na tej łące za ośrodkiem dziennym, jak któregoś ranka wszyscy czekali na otwarcie; poratował go działką i skończyło się na tym, że we dwóch wynaleźli sobie nowe lokum.

A potem Mrówa dla odmiany poratował Steve'a. Wtedy, jak Robert czekał, żeby ktoś przyszedł do niego do mieszkania i go znalazł, wtedy właśnie Steve obserwował Mrówę w trakcie preparowania nowego towaru.

Właściwie to my wszyscy tam z nimi byliśmy.

Oprócz Laury. Gdzie ona była. Na tylnym siedzeniu taksówki wiozącej ją dokąd. Wiozącej ją na odwyk, mówi Danny. Poza miasto, na wieś.

Pierdolony rzecznik praw człowieka.

Ten doktor czy ktoś mówi: Mike, a może o tym, kiedy odczuwasz potrzebę komunikowania się z tymi głosami.

Ten plakat, który wisi we wszystkich ośrodkach terapii: Przy całej swej złudności, znoju i srutututu jest to, mniejsza z tym co.

Wielka łąka porośnięta chwastem, kwiatami, drzewami i kupami śmieci. Jak, nie przymierzając, jakiś zasrany rezerwat czy co, ptaszki, motylki itepe, jak wejść głębiej, to w ogóle nie słyszeć ulicy. Dobrze miejsce na picie. Steve tam zabrął kiedyś rano, żeby się odlać, i mało się nie potknął o chłoptysia, który leżał na wznak i gapił się w niebo. To właśnie był Mrówa. Steve go zagadnął, czy dobrze się czuje, chłoptys kiwnął głową, na co Steve mu powiedział: No to fajnie, i poszedł się odlać. Jeszcze nie skończył, jak usłyszał głos Mrówy: Albo wiesz co, nie pomógłbyś mi się wykaraskać?

No a co z resztą z nas, gdy Robert leżał tam u siebie, czekając na pomoc. Albo gdy Robert, no wiadomo. Ben na przykład. Jak wyszedł z pierdla, mógł przecież iść prosto tam, no nie. Ale on szukał Mike'a. Szukał kogokolwiek. Szukał, gdzie by tu jak najprędzej dać w żyłę, bo go trzęsło kurewsko i skręcało, biegł zgięty wół ulicami, jakby się kulił pod ostrzałem. No a gdzie Laura była, jak potrzebował ją znaleźć. Towarzystwa potrzebował. Zawsze szukał towarzystwa. Ale nikogo jakoś w okolicy nie było, przynajmniej na oko. Wtedy jak Ben wyszedł z pierdla. To było, no kiedy,

nazajutrz po drugim dniu świąt musiało być, może dzień później. Nikogo dookoła. Istne miasto widmo, jak słowo honoru. Coś mu się przypomniało, przypomniało mu się, jak wrócił ze szkoły i nie zastał tych ludzi, co prowadzili rodzinny dom dziecka, tylko patrol pracowników społecznych, którzy zagadali do niego: Ach, Benjaminie, mamy tu, wiesz, pewien mały problem. Kilka spraw do wyjaśnienia. Państwo, no jakżeż się oni nazywali. Bradshaw. Mark i Susie. Mów mi Mark. Nagrabili kupę rzeczy z pokoi dzieciaków, jak te były w szkole, i dali dyla do Hiszpanii czy Portugalii, czy gdzieś tam. Mów mi Mark, mów mi Susie. Dali dyla, bo się okazało, że jakieś dzieciaki, które u nich mieszkały wcześniej, zaczęły gadać o tym, co je w tym domu rzekomo spotkało, o jakieś molestowanie chodziło i tak dalej. W związku z tym opieka społeczna poprzerosiła wszystkie aktualnie tam zameldowane dzieciaki do innych domów dziecka, wy pytując przy okazji o różne szczegóły, zapewniając: Nie bój się, nam o wszystkim możesz opowiedzieć. Czy kiedykolwiek wprawili cię swoim zachowaniem w zakłopotanie, Benjaminie, czy kiedykolwiek namawiali cię, żebyś, i tak dalej.

Z pierdla wyszedł i nikogo nie spotkał. Ale znalazł dilerę znajomego, kupił sobie saszetkę i schował się z nią w podziemnym parkingu, bo to było najbliższe miejsce, żeby spokojnie coś przygrzać, a on już wtedy ledwo, kurwa, wyrabiał.

A jak długo Mrówa przeleżał na plecach tam na tej dzikiej łące, czekając, aż ktoś przypadkiem przyjdzie i go poratuje. Chyba całą noc. Wieczór mu zszedł na picu z jakimiś małolatami, których nawet nie znał, a jak się ocknął, to tamtych już nie było, i w dodatku gwizdnęli mu kule. A bez kul nie zaszedłby daleko. Właściwie nigdzie. No więc został tam, gdzie leżał, i czekał. Już mu się tak zdarzało. Co innego mógł zrobić. Obserwował, jak gwiazdy się nad nim przesuwały, jak niebo różowieje, gdy odsącza się z niego noc, jak słońce przebija się w poranek gdzieś z kącika jego własnego oka. Chwasty i kwiatki pokazały się w polu widzenia, rosa zebrała się na płatkach i listkach. Pająk tkął sieć pomiędzy dwiema łodygami ostu. Motyle i pszczoły wyroiły się w nowy dzień. Nie było to złe miejsce na spędzenie nocy. Może ciut zimne. Może trochę nudnawe po dłuższym czasie.

Aż tu nagle ten Steve, patrzy z góry na niego, blask słońca bije spoza jego głowy, fujara już mu sterczy z rozpiętych spodni. Brzuchaty pijany olbrzym z bezwładną ręką dyndającą u boku, ze wzrokiem nieprzytomnym z przepicia i zaskoczenia.

Ładny mi wybawiciel.

We dwóch wykuśtykali z tej łąki, Mrówa obejmował Steve'a przez plecy, a Steve trzymał Mrówę w pasie, i Mrówa hop hop hop, posuwał się jakoś wydeptaną na dziko ścieżką. Wyglądali jak jacyś, kurwa, towarzysze broni. Równo całą drogę do ośrodka

dziennego przegadali. Wyglądali jak dwóch małolatów w wyścigu trójnogów. Miałem kiedyś protezę, ale wyobraź sobie, że udało mi się ją zgubić, powiedział Mrówa. Był na liście oczekujących na nową, ale musiałby po nią jechać do rodzinnego miasta, a najpierw musiał się tutaj uporać z tym i owym. Na przykład ktoś mu w nocy gwizdnął kule, żeby daleko nie szukać.

Pusta nogawka jego spodni dyndała jak długa mokra szmata.

Wkrótce zgadali się, że obydwaj służyli w armii. Mrówa tylko przez parę lat, ale Steve uznał, że dobre i to. Na misji nawet nie był długo. Do Afganistanu go wysłali, mówił, do bazy w Helmand. Wrócił, nie oddawszy ani jednego strzału.

Zegar na ścianie pokazuje już prawie rano i nasze czekanie zbliża się do końca. Robert gdzieś za tamtymi drzwiami. Pudła rękawic na półkach wzdłuż ściany. Głębokie zlewy z nierdzewnej stali. Głosy gdzieś z głębi budynku, śmiech, drzwi otwierają się i zamykają. Ktoś mówi: Rano weźmiemy się za tego dużego. My wszyscy, stojąc, siedząc, opierając się o ścianę, wciąż czekamy. To jest coś, co bardzo dobrze umiemy robić. Coś, w czym ćwiczymy się od dawna. Mamy czas. Cały czas świata.

Steve odczekał parę tygodni, zanim spytał Mrówę, co się stało z jego nogą. Odczekał, aż sobie znaleźli nowe lokum, wysprzątałi je i z grubsza się urządzili. Jeszcze raz opowiedział Mrówie o Port Stanley i o wyjeździe do Bośni, z tym że pominął wszystko, co dotyczyło tej, no, Marii, Martiny, Marie. Marie. Doszedł do tego, jak policjant zatrzaskuje z powrotem drzwi szoferki, oddaje im paszporty i pyta: No to dokąd wy właściwie chcecie jechać?

Mrówa grzeje towar na łyżce, a Steve mu opowiada i jednocześnie obserwuje pilnie, jak Mrówa to robi. Łyżka, filtr, woda, kwas cytrynowy, garść opakowanych jeszcze igieł i strzykawek. To bardziej skomplikowane, niż myślałem, mówi, a Mrówa tylko kiwa głową, skoncentrowany.

No więc podaliśmy mu raz jeszcze nazwę miasta, ciągnie Steve, a ten policjant tylko na to pokręcił głową. Zrobił tylko, o tak. Obejrzał się na dolinę i pokręcił głową. I mówi: Nie, nie. Tam nie jedźcie. Tam nie wolno.

Mrówa patrzy się na niego, trzyma strzykawkę pod światło, opukuje zbiorniczek paznokciem i wyciska pojedynczą kroplę płynu przez otwór igły.

No więc ten policjant, ciągnie Steve, mówi do nas: Nie. Tam nie jedźcie. Nic tam po was. Tam nawet psy są martwe. Mrówa przybliży się szurając, podwija Steve'owi rękaw i zaciska mu pasek na przed-

ramieniu. Steve go obserwuje. Nawet cholerne psy, powtarza, kręcąc głową.

Mrówa patrzy na Steve'a od dołu, gładzi bladą skórę w zgięciu jego łokcia, przyciska koniec igły do cienkiej niebieskiej linii żyły i już ma nacisnąć tłok, kiedy Steve pyta, niby to od niechcienia: No a ty, stary? Jak to było z twoją nogą? Mrówa się uśmiecha, powoli wciska tłok i Steve już nic nie mówi.

Nie musiał długo czekać, żeby przekonać się, o co był ten cały zamęt. Jakby go ktoś okrywał coraz to cieplej. Jakby był owijany w koce, w jedwabie. Albo nawet jeszcze lepiej. Jakby był przytulany.

Stoimy, siedzimy, opieramy się o ścianę. Czekamy. Co innego możemy robić. Patrzymy na zegar, widzimy, jak jego wskazówki wyciągają się w stronę rana. Słyszymy kroki, brzęk kluczy. Drzwi zostają rozryglowane, otwarte, światła zostają zapalone, sala napęlnia się ludźmi.

Mrówa zna się na czekaniu, jeszcze jak. Teraz go widzimy, patrzymy i widzimy go teraz, czeka na ratunek, krwawi w wyciszoną ziemię, leży na polu przy szosie i zgniatą pod sobą roślinność, jakby spadł tu z nieba. Nie czuje bólu, którego się spodziewał. Jeszcze nie. Nie krzyczy, nie panikuje, nie macha bezładnie rękami, żeby wywołać jakąś reakcję. Tylko ta

szepcząca drętwa, ten stan osłupienia, który przez moment nie daje mu zrozumieć, gdzie jest. Zrozumieć, że jakaś bomba domowej roboty wysadziła ich land-rovera w powietrze, wydrążyła kolejną dziurę w szosie, prawdopodobnie zabiła jednego lub więcej z jego towarzyszy, a jemu zrobiła nie wiadomo co. Wyniosła go ponad powierzchnię ziemi i cisnęła w dół na to pole zarośnięte łodygami po pas. Kwiaty spoglądają na niego z góry, jak tak leży i czeka. Żeby ktoś przyszedł. Żeby jakieś czucie zaczęło sączyć się z powrotem w ciało. Opuszki palców dłoni, końce palców stóp. Błękitne niebo. Maki. Chwiejące się makówki. Woń dymu, spalenizny i gorącej, spieczonej ziemi. Dźwięki wracają nagłą falą, jakby ktoś go wyciągał spod wody. Strzelanina, krzyki, ciężki tupot buciorów po wyschniętej ziemi. Twarze ponad nim, twarze w obramowaniu hełmów, i ciała obwieszane ekwipunkiem, a potem ręce na nim, obszukujące, rozcinające na nim ubranie, dotykające tego twarzy. Ręce, które podnoszą się znad jego ciała całe zakrwawione. Ręce w rękawicach. Głosy zapewniające go, że wszystko będzie dobrze. Głosy informujące go, że teraz go stąd zabiorą. Głosy dopytujące się, gdzie ten cholerny helikopter, gdzie, do licha, są te skurwysyny. Ktoś mówi, że teraz zrobi mu zastrzyk morfiny, żeby wytrzymał do przylotu helikoptera. I wszystko jakby jest okej, tylko że. Cichnie pomału strzelanina i inne odgłosy. Mnó-

stwo rąk trzyma go mocno, ciepło i bezpiecznie nad dobrą, ciemną ziemią. Widzimy główki makówek, potakujące i chwiejące się na wietrze. Widzimy rolników, którzy wyszli sprawdzić swoje zbiory, nadchodzą powoli miedzami, deptają opadłe płatki, oglądają zawijające się koronki na czubkach dojrzewających owoców. Widzimy, jak rolnicy wracają znowu wczesnym popołudniem, żeby w każdej makówce naciąć płytką rankę, przez którą gęsty, mleczny sok wysączy się na ciepłe słońce, po czym stężeje i wystygnie, a wtedy rolnicy przyjdą jeszcze raz, żeby zdrapywać poczerńiałe gumowate strupy do blaszanych puszek zawieszonych wokół szyi. Podczas gdy on leży tam i obserwuje, no i czeka. Widzimy gumowatą substancję wysypywaną z puszek, zawijaną w liście i wykładaną na słońce do suszenia, a potem prasowaną w kostki przypominające nawóz, i sprzedawaną za dobre pieniądze mężczyznom, którzy ściągają hałaśliwie tu w dolinę w rozklekotanych rosyjskich ciężarówkach, które mają w podłogach przyczep luźne deski, uchylające się, by prędko połknąć towar, po czym wóz zawraca z hurgotem pomiędzy wzgórzami. Odgłos helikopterów z oddali. Auta przedzierają się przez przełęcz i zjeżdżają z szosy przy starym górskim szlaku, mężczyźni przerzucają czarne brykiety opium do toreb przewieszonych przez ramię i wędrują kilka mil do dwóch blaszanych chat pod wiszącą skałą, gdzie rozebrani do pa-

sa chłopcy doglądają palenisk i beczek na ropę, przykucnięci nad wypchanymi parcianymi workami, z których sączy się coś, co ciemnymi plamami wsiąka w ziemię. Widzimy ogrodzone paleniska pod beczkami na ropę, płonące przez całą noc, chłopcy mieszają podgrzewaną w beczkach miksturę, wyławiając z niej gałązki, grudki ziemi i liście. Inni chłopcy opróżniają do beczek worki nawozu, mieszają, a mieszaninę precedzają przez worki ryżowe do olbrzymich kotłów porozmieszczanych nad innymi, mniejszymi paleniskami. Jeszcze więcej chemikaliów, jeszcze więcej precedzania, wyciskania i mieszania, kiedy świt rozjaśnia horyzont i oleista czarna maź rozprowadzona zostaje płasko, żeby wyschła we wschodzącym słońcu. Dziwne światło bije od pól. Żłociste światło. Twarze uniesione ku niebu, warkot helikoptera nie wiadomo skąd, jakiś głos mówi: Trzymaj się, stary, wszystko będzie dobrze. Chłopięce głosy gadające w jakimś obcym języku, pewnie afgańskim, woda się gotuje w czajniku, herbata, żucie chleba rwanego garściami, prasowanie proszku koloru kawy w bloki o kształcie cegły, wielkości kieszonkowych słowniczków, których tutaj używają oficerowie, gdy udają się do wiosek, aby zdobywać serca i umysły miejscowej ludności. Albo wielkości tych okazałych telefonów satelitarnych, z których dzwonią, żeby ściągnąć naloty, a jak. Makówki chwieją się gwałtownie w silnym podmuchu, przy-

wierają płasko do ziemi, jakby uchylały się przed ciosem, i nagle z nieba spada helikopter. Jak, no jak co, jak jakaś, kurwa, czarna matka gęś, a jak. Co oni tam w ogóle robili w cholernym Helmand. I to mnóstwo ciepłych rąk niosących go wysoko, przez pola, do brzucha matki, matki, która dźwiga się z ziemi wysoko ponad krajobraz, ponad pola i góry i szosy i szlaki, które się wiją prawie niewidocznie poprzez doliny i przełęcz, ponad osłonięte wiszącą skałą dwie chaty, w których chłopcy o nagich torsach pakują w tobołki dziesiątki poowijanych papierem cegiełek sprasowanego proszku, a tobołki ładują na muły koloru wyschłej ziemi, które czekają cierpliwie w południowym słońcu, zanim wyruszą na długie i meandrowate trasy przez góry. I muły będą szły równym krokiem całymi dniami, prowadzone przez chłopców, którzy biegną i wspinają się obok nich, wymachując kijami i cienkimi głosami wykrzykując komendy, malejące w przestrzeni do rozmiarów dźwiękowych punkcików, nie większych niż widoczne z daleka drapieżne ptaki, które kołują wysoko ponad nimi; będą zdążały wraz z linią słońca i cienia przesuwaną się co rano przez dolinę, aż ukaże się za ostatnim zakrętem skupisko zamaskowanych drelichem chat, i przez niskie drzwi wyjdzie człowiek, ściągnie w dół chustę zasłaniającą mu usta i powita chłopców, poczęstuje ich herbata, poda każdemu rękę jak mężczyźnie i zaraz zbliży się do mu-

łów, żeby je rozjuczyć. Za jego plecami, w chatach, inni mężczyźni siedzą w kucki przy kociołkach, przy moździerzach, przy paleniskach; miażdżą sprasowane brykiety z powrotem na proszek, a proszek mieszają z octem i podgrzewają na wolnym ogniu, zanim dodadzą wodę, węgiel drzewny oraz sodę kaustyczną, po czym ostudzą, jeszcze raz podgrzeją i odparują roztwór, przepuszczając go przez filtry, komory parowe i system rurek, aż wreszcie czysty biały proszek zacznie się zbierać na dnie szerokiej patelni, gdzie zostanie ostrożnie podgrzany, wreszcie zeskrobany i przeniesiony na arkusze papieru, do wyschnięcia. Zanim trafi do czystych plastikowych saszetek, z których każda zostanie zważona i zapieczętowana, chłopcy i ich lekkonogie muły będą już w połowie drogi do domu, z kieszeniami grubo wypchanymi pieniędzmi i z chełpliwymi planami, na co te pieniądze przeznaczą, co kupią swoim rodzinom, ile odłożą na przyszły zakup działki, na której posieją własne maki, a tymczasem gdzieś w górze Mrówa leży w brzuchu helikoptera, który z terkotem przesuwa się nad krajobrazem, gniewny i niski, a cień jego wznosi się i opada, kiedy Mrówa podnosi wzrok na otaczające go twarze i czuje ciepły uścisk morfiny, opływającej od wewnątrz całe jego pokiereszowane ciało, a tymczasem mężczyźni w chustach na głowach, z karabinami i plecakami pełnymi heroiny gramolą się przez sekretne górskie przełę-

cze przecinające granicę kraju z Iranem, kierując się ku szosom, przy których już czekają konwoje furgonetek Toyota, żeby popędzić z towarem przez równiny do miasta; ich załogi gotowe są do walki z żołnierzami rządowymi, którzy zasadzili się po drodze, z żołnierzami, którzy już sprawdzają broń, popijając miętową herbatę, wysłuchując wieczornej odprawy, obserwując słońce dające nura za górami, i po raz nie wiadomo już który zachodząc w głowę, dla czego poświęcają życie na próby powstrzymania tego niepohamowanego strumienia bogactwa, które przepływa przez ich kraj w drodze na rynki i do spelunek wielkiego miasta, gdzie zostanie przepakowane i zważone, i znów przepakowane, i sprzedane następnym handlarzom, następnym szmuglerom, następnym mężczyznom z bronią, z walizkami i opancerzonymi samochodami, którzy przewiozą towar przez pola i pustynie na zachód, do granicy z Turcją i jeszcze dużo dalej, podczas gdy oni, żołnierze rządowi, będą wciąż siedzieć tu, gdzie siedzą, patrzeć, jak słońce daje nura poza góry, słuchać wieczornej odprawy i śledzić przez lornetki lśniący sznur furgonetek Toyota, pędzący wprost na nich z przerażającej ciemności, zielonkawej jak mech. Z tej samej ciemności, z której helikopter schodzi właśnie do lądowania w Camp Bastion i przysiadła lekko na ziemi, tylko na tę krótką chwilę, w której liczne ręce wyniosą Mrówę na ciepłe, pyliste powie-

trze i przeniosą go ponad betonową powierzchnią, a gdy helikopter będzie się już zapadał z powrotem w niebo, Mrówa znajdzie się w sterylnej sali operacyjnej, gdzie zespół czyściutkich chirurgów oczekuje go już z kleszczami, nożycami i piłą elektryczną. A kiedy wlewać będą kolejną dawkę środka znieczulającego przez otwór w jego przedramieniu, żeby go przepchnąć przez krawędź świadomości w głęboki, czarny, bezbolesny sen, on ujrzy w jednym zawrotnym momencie to, co my wszyscy właśnie widzimy: osobliwą wędrówkę, jaką gumowata makowa wydzielina odbywa przez kontynenty, z afgańskich pól na ulice angielskich wielkich miast, przenoszona przez muły, ludzi i furgonetki, przechodząca po drodze przez szopy, laboratoria i górskie przełęcze, przez granice państw, przez pokoje hotelowe, herbariarnie i samochody o przyciemnionych szybach, upychana w torbach, walizkach i bakach na benzynę, w słoikach po kawie, w workach z węglem, w rzęźnickich ciężarówkach, w kontenerach towarowych, w odbytach, pochwach, byle jak zaszytych ranach, przemocą połykana i przemocą wydalana z desperackich ciał, podlepiana pod peruki, sztuczne brody i fałszywe ciężarne brzuchy, przeciskająca się do Europy przez wąską bramę Sztambułu, skąd sunie dalej tranzytowymi drogami Kosowa, Macedonii i Bośni, cholernej Bośni, i sprzedawana jest przez mężczyzn w ciemnych okularach przy kawiarnia-

nych stolikach w widokiem na morze; walizki pieniądze przechodzą z rąk do rąk w pakamerach i toaletach, spory rozwiązuje pięść, nóż albo chłopcy z wypożyczonymi pistoletami śmigający na skuterach, towar nabiera wagi, wartości i obrasta krwawą legendą, w miarę jak zdąża dalej przez Włochy, Niemcy, Holandię, Belgię i Francję. A kiedy Mrówa będzie hałaśliwie wracał do domu w ładowni herkulesa, z nogą skróconą do obandażowanego kikuta, przeleci ponad kanałem La Manche, przez który ciągłym strumieniem napływa do Wielkiej Brytanii heroina, kutrami, jachtami, szybkimi liniowcami, lekkim sprzętem lotniczym, w rozepchanych żołądkach ludzkich mułów, spacerujących z uczuciem dyskomfortu po pasażerskich pokładach promów, w kontenerach tirów dostarczających ten towar na tony do magazynów i przechowalni po całym kraju, gdzie na nowo jest on ważony, porcjowany i pakowany na kuchennych stołach i blatach warsztatów, sprzedawany dalej, rozdrabniany i znów sprzedawany, dzielony na coraz to mniejsze porcje, aż w końcu łysy facet w rozciągniętym dresie wysiądzie z bmw na Osiedlu Miliona, wbiegnie, jakby uprawiał jogging, po betonowych schodach na dziewiąte piętro bloku mieszkalnego, zapuka dwa razy w stalowe drzwi i wejdzie do środka, mijając młodzieńca w czapce bejsbolowej, który skinąwszy głową, zamknie za nim drzwi. A w parę minut później

z tej samej klatki schodowej wyjdzie chłopak w szarej bluzie z kapturem, niosący rower, i popedałuje w dół spadzistą ulicą w stronę bocznic kolejowych, potem minie komisariat policji, szpital, przejedzie nad kanałem, pod wiaduktem autostrady, okrąży rondo i zajedzie pod pub Miller's Arms, tam gdzie stoją budki telefoniczne i gdzie wciąż czeka Danny; cmoknie niechętnie, odbierając od Danny'ego wilgotny, wystrzępiony banknot, i zatoczy kółko na rowerze, zanim ciśnie saszetkę w wysoką trawę i popedałuje z powrotem pod górę, oglądając się tylko raz przez ramię, żeby ujrzeć, jak Danny na czworakach wyławia z trawy saszetkę i zamyka się z nią w budce telefonicznej, którą maniacko obskakuje Einstein, po czym Danny rozkłada swój sprzęt na krzywej metalowej półeczce, usiłując choć trochę uspokoić spoczone, roztrzęsione ręce, kiedy podgrzewa mieszankę na poczerniałej łyżce, za dużo, i wstrzymując oddech, nakłuwa igłą filtr i wciąga w strzykawkę sok koloru kawy, za dużo, wie, że za dużo, tak mu się przynajmniej wydaje, ale co tam, chciał mieć pewność, więc co mu zależy, spuszcza wyświnione spodnie, nie czekając, aż zawartość strzykawki ostygnie, i robi nową dziurę w zarastającej strupem ranie po wewnętrznej stronie uda, wkłuwa głęboko, próbując wyczuć żyłę, wyczuć krew, wyczuć źródło bólu, tego dobrego bólu, który oznacza, że wkrótce Danny znowu poczuje się dobrze, że wszystko bę-

dzie dobrze, i cofa odrobinę strzykawkę, żeby zobaczyć krew, żeby mieć pewność, że trafił we właściwe miejsce, ale nic nie widzi, nic, więc porusza igłą i wyciąga ją, i wkłuwa na nowo i wyciąga i wkłuwa jeszcze raz i też nic nie leci, więc wyciąga na dobre, wyciera igłę do czysta o rękaw, odwraca się do szyby i używając ciemnej nocy jako lustro, skupia wzrok na własnej szyi, napina szczękę, żeby żyły wyszły na wierzch, wybiera żyłę, ogląda ją dokładnie w ciemno podświetlonym szkle i wbija igłę w tę dobrą, nieużywaną żyłę, czystą żyłę, krew pieni się, cofając się do strzykawki, a Danny wciska tłok, dalej dalej dalej, i czuje, jak towar opływa granice jego ciała wraz z krwiobiegiem, przez serce, przez płuca, przez mózg, o jak dobrze jak dobrze jak dobrze, nareszcie znowu czuje się dobrze, znowu czuje się cały, czuje, że wszystko jest na miejscu, czuje, no nie wiem, że jest mu ciepło czuje, czysty się czuje, opatulony w jedwabie, gazę, watę, czuje się tak jak wtedy, gdy dopiero zaczynał, opiera twarz o zimną ciemną szybę i wygląda na miasto, na światła przejeżdżających aut i przejeżdżających pociągów, na chmury o oranżowych brzuchach, na czarne, ponabijane gwiazdami niebo, na stado gołębi, odcinające się sylwetką od rozjarzonych neonami ścian centrum handlowego w dolinie, i upuszcza strzykawkę na ziemię, i wciska dłonie w zimną szybę, i osuwa się na podłogę budki, i zwija się w kulkę na tej podłodze, to wszystko minie, i czeka, aż to wszystko minie.

CZTERY

Rozpłatali jego ciało w czystej białej sali i rozbie-
rają je na części, kawałek po kawałku.

Wkraczają tłumnie do tej sali, zapalają światła, otwierają ciężkie stalowe drzwi, za którymi leży Robert. Fotograf z jego mieszkania też tu jest, i młodszy z policjantów, i kobieta, która przeczesала palcami włosy Roberta. Jest też ten starszy pan z kudłatą czupryną, ma na sobie czarny garnitur i stoi nad Robertem w postawie sugerującej, że wciąż kieruje całą operacją. A więc nadal nie znamy tożsamości denata, mówi, pyta, spoglądając na kobietę znaną nam z mieszkania i innego mężczyznę, z notesem w pogotowiu. Ci kręcą głowami, mówią, że nic w zasadzie się nie okazało, nikt się nie zgłosił, trudno nawet powiedzieć, czy to sprawa policyjna. Spróbuj coś zrobić dla nas dzisiaj, Frank, mówi ten z notesem, i wszyscy się uśmiechają, niektórzy wręcz podśmiewają, a doktor prosi dwóch młodych, żeby przenieś-

li Roberta. Wywożą go do przyległego pomieszczenia, tam przekładają na inne nosze i przewożą do sali ze zlewami, długimi stołami, silnymi białymi światłami i tacami ostrych lśniących narzędzi. Po-
dążamy za nimi, trzymając się nieco z tyłu, chcąc i nie chcąc zobaczyć, co teraz nastąpi, a gdy przekraczamy próg sali, słyszymy za sobą, jak tamci wszyscy myją ręce, aż po łokcie, i przywdziewają liczne warstwy ubrań ochronnych, personel medyczny wdziewa zielone kitle i plastikowe fartuchy, grube rękawice, kalosze oraz przezroczyste plastikowe przyłbice na twarz, natomiast pozostali wkładają białe kombinezony z kapturem, takie jak przedtem w mieszkaniu Roberta, i przyłbice, i białe kalosze.

Kurwa mać. Przecież to tylko Robert. Co on wam teraz może zrobić.

Podchodzą i ustawiają się wokół ciała Roberta, nadal bezpiecznie zapakowanego w worek i opieczę-
towanego, rozmawiają, mówią sobie nawzajem, co wiedzą o tym przypadku, czytają raport policyjny, sprawdzają notatki.

Przenoszą go na duży stalowy stół z wmontowa-
nym w jednym końcu zlewem, opatrzony kranami, gumowymi węzami i obrotowymi wentylatorami, które zaczynają cicho szumieć w tle ogólnej rozmowy.

Ważą go, mierzą i robią zdjęcia spowitego cału-
nem ciała. Zapalają lampy nad stołem, jaskrawe jak

policyjne reflektory, bezwzględne, szokujące. Wcisnęliśmy się pomiędzy nich. Chcemy zobaczyć. Chcemy dotknąć. Policjant sprawdza numer na pieczęci, łamie ją i odsuwa się. Fotograf się nachyla i robi zdjęcia, robi zdjęcia bez przerwy, gdy rozpinają suwak worka na ciało i otwierają go. Odwijają plastikowe prześcieradło z ciała Roberta, sprawdzają dokładnie, czy nic do niego nie przyłgnęło, żadne skrawki osoby czy też jej życia, i wszystko, co znajdują, umieszczają w plastikowych pojemnikach z etykietkami, na których widnieje ta sama data, godzina i numer ewidencyjny, z etykietkami, które powinny też informować, lecz tego nie robią, o takich rzeczach jak: okruch tytoniu, który spadł z ostatniego papierosa wypalonego przez Roberta, pasemko cudzych włosów, prawdopodobnie kobiecych, które sądząc z umiejscowienia w okolicy ramienia Roberta, musiało się tam znajdować od czasu, gdy osoba, od której pochodziły, opierała swą głowę na tymże ramieniu; opita ciemną krwią larwa niebieskiej muchy, wykluta z jajeczka złożonego w skórze Roberta, która musiała powodować swędzenie, wierząc się i wijąc w jego ciele.

Ściągają plastikowe worki z jego rąk i głowy, a kiedy twarz wyłania się na światło, mamy niemal wrażenie, że Robert zaraz zachłyśnie się powietrzem, zamruga, albo coś powie. No i co się kurwa tym razem stało? Co żeście kurwa znowu narozrabiali? Bo tak się Robert zawsze budził, dawniej. Zrywał się.

Jakby usłyszał jakiś hałas. Trzaśnięcie drzwi, na przykład, albo dzwonienie telefonu. Nagle otwierał szeroko oczy i chrypiał: No i co się kurwa tym razem stało, zanim sam jeszcze dobrze wiedział, że się zbudził. Chrypiał głosem zaflegmionym i bełkotliwym. Dźwigał się na łokciach i rozglądał po pokoju, żeby sprawdzić, kto u niego gości tym razem, czekał, aż napotka czyjś wzrok, i wtedy mówił: Może by mi ktoś kurwa podał coś się napić, nie?

Robią zdjęcia. Obcinają końce połamanych, pozółkłych paznokci Roberta i wrzucają do opatrzonych etykietkami plastikowych torebek. Wyrrywają pojedyncze włosy z czubka jego głowy, z brwi, z nozdrzy, wyrrywają je u nasady i wrzucają do kolejnych plastikowych torebek.

A powinno być raczej tak. Drapujemy świeżo uprane prześcieradło na długim drewnianym stole i układamy na nim Roberta, wystrojonego w najlepsze niedzielne ubranie. Pod głowę podkładamy mięką jedwabną poduszeczkę. Zamykamy mu oczy i kładziemy na powiekach pensowe monety, w odybyt wpychamy watę. Dookoła ustawiamy kwiaty, zapalamy świece, przynosimy krzesła, żeby ludzie mogli go odwiedzać przez cały dzień i noc, aby wspominać, kim był Robert, jaki był, aby wypić za jego pamięć i snuć historie o jego długim i bogatym w wydarzenia życiu.

A pamiętacie, jak ta babka przychodziła strzyc do ośrodka dziennego. Zjawiała się co parę tygodni, z grzebieniami, nożyczkami i butelkami szamponu. Nam nie zależało, czy mamy krótkie czy długie, jak wyglądamy, ale chodziło o dotykanie. O te ręce grzebiące we włosach. O to, że ktoś poświęca nam czas. Że podstawia lusterko i pyta się, czy tak może być. Warto czekać na coś takiego. Robert nigdy tam nie chodził, bo nie chodził nigdzie, raz na parę miesięcy pożyczął maszynkę od Steve'a i oskubywał się na zero, najczęściej z makabrycznym skutkiem, ale przecież nikt by mu tego nie powiedział. Lepiej by dał się komuś ładnie ostrzyc od czasu do czasu, zamiast samodzielnie wyrywać sobie włosy z korzeniami.

No a te jego. Te wszystkie wypalone papierosy, które zażółciły mu paznokcie. Pokłady tłuszczu, brudu, naskórka, które się pod nimi uzbierały. Każdy moment życia Roberta został tam zachomikowany. Obicie fotela prześwitujące prawie pod jego wiecznie niespokojnymi rękami. Etykiety butelek po piwie, zdzierane z zimnego, wilgotnego szkła. Albo jak on czasami drapał Yvonne po plecach, gdy byli razem w łóżku, aż wyginała się ponad nim i wrzeszczała z bólu, a później oglądała się przez ramię na ślady, które na niej zostawił, i śmiała się dumnie, i mówiła na niego podły drań, ale z uśmiechem, i turłała się na swoją stronę łóżka, żeby wstać po papie-

rosy. Widok jej chudego tyłka, kiedy oddalała się od łóżka jakby nigdy nic. Pierdolić, jak to było. Oni we dwoje palący razem fajki, a później oddzielnie, kiedy Yvonne odeszła, później palili oddzielnie, w pokojach oddalonych od siebie o setki mil, palce im żółkły, a wzajemne wspomnienie o sobie strzelało żywą racą za każdym zapaleniem papierosa, choćby się nie wiem jak starali go uniknąć, pijąc czy robiąc wszystko jedno co. Tak to już jest, że niektóre wspomnienia stają się w końcu częścią człowieka i wyskakują niespodziewanie przez byle ruch, byle potrącenie. No na przykład co. No na przykład to, ile razy, lata już po jej odejściu, Robert zaciągał się nowym papierosem i nagle łapał się na tym, że trzyma fajkę w powietrzu i podaje komuś, kogo obok nie ma. Kogo nie ma obok od lat. Na przykład jak, w tych pierwszych wspólnych miesiącach, ona zaciągała się tylko parę razy i dusiła fajkę w popielniczce, żeby rzucić się na niego, powalić go na plecy i kochać się od nowa. Pierdolenie Yvonne. Skąd ona się w ogóle wzięła. Gdzie ona się kurwa podziała. I krew pod jego paznokciami, wtedy, jeden jedyny raz. Kiedy ją zamalował przez przypadek. Nastraszyć ją chciał tylko, ale się w ostatniej chwili szarpnęła, a on ją chwycił tak niezręcznie, że zawadził paznokciami tuż koło oka i poczuł, jakby rozdarł tam skórę. Faktycznie, miał krew na paznokciach, małą plamkę, małą plamkę, ale jednak, kurwa mać. To się zda-

rzyło tylko raz, no nie. No i właściwie przez przypadek. Ból, który poczuł w głowie. Trzepnął ją tylko raz, właściwie nawet jej kurwa nie trzepnął. Żeby się nie szarpnęła w ostatniej chwili. Ale jak ona po tym na niego spojrzała, tak jakby coś się w niej w środku zamknęło raz na zawsze. A jej policzek, tam gdzie ją trafił. Czerwony. Zadarta skóra przy skaleczeniu. Jak ona potem powiedziała: Ty draniu, bez uśmiechu, nie dając mu dojść do słowa. Szum wody z odkręconych na całego kranów w łazience, woń papierosa i dym wysnuwający się spod drzwi, za którymi on stał i pukał. Jej zduszony głos informujący go, że ma iść odebrać Laurę ze szkoły, bo ona nie pójdzie w tym stanie.

Jeden jedyny raz. No nie.

Są rzeczy, o których nie wiedzieliśmy przedtem, ale teraz wiemy. Jakim sposobem. Te rzeczy docierają do nas pomału, z absolutną pewnością, wychodzą na powierzchnię jak sińce i blizny.

Nigdy nie widzieliśmy go tak nieruchomego. A wy. Nawet kiedy spał, to bez przerwy wiercił się, drapał i mruczał coś do siebie, kręcił się z boku na bok, targał kurtkę czy koc, czy co tam na siebie naciągnął, jak się zwałił na podłogę. A jak nie spał, nie usiadł spokojnie ani chwili. Z mieszkania nigdy nie wychodził, ale ruszać się nie przestawał. Brał sobie picie, skręcał fajkę, szedł do okna, szedł się odlać, drapał się i perorował, i wymachiwał ra-

mionami, żeby dowieść swojej racji. Komuś kazał posprzątać jego bajzel, komuś kazał przynieść sobie coś na ząb. Opowiadał jakąś historię, albo tylko siedział i trząśł się cały, jakby prąd przez niego przechodził, kiedy czekał na picie. Więc może to jest dla niego swego rodzaju pokój, to znieruchomienie, w którym teraz tkwi. Może można to tak nazwać, przynajmniej tyle.

Pamiętacie chyba jego paznokcie. No nie. Połamane, pożółkłe, poobgryzane. Teraz zostały poobcinane i powrzucone w czyste plastikowe saszetki. Wystarczy je umieścić pod mikroskopem, a opowiedzą niesamowite historie. A paznokcie Laury, wtedy jak pierwszy raz przyszła zapukać do drzwi Roberta, pamiętacie, jak Heather nie mogła się na nie napatrzeć, nie mogła w nie uwierzyć, takie długie, czyste i zaokrąglone na końcach. Polakierowane. Paznokcie dziewczyny, która korzysta z czystej łazienki, wyposażonej w kremy do rąk, nożyczki do paznokci, pilniczki i równe rzędkie różnokolorowych lakierów na półteczkach. To jakoś przypomniało Heather, jak sama była młodsza, o wiele młodsza, jak pierwszy raz ruszyła w świat z zespołem; wtedy jeszcze dbała o siebie. Laura pocięła sobie dzinsy i włożyła ciężkie, nieforemne buciory, ale paznokcie ją zdradziły. Mina Roberta, kiedy zbudził się na drugi dzień rano i ją zobaczył, i mina Roberta, kiedy ona zaraz znów sobie poszła. Jakby nie był pewien,

czy to mu się przyśniło, czy co. Te doskonałe paznokcie, te długie białe palce, czyste palce, Heather miała chęć wziąć dziewczynę za rękę i przyłożyć jej dłoń do swojej twarzy. Miała przeczucie, że to byłoby przyjemne. Laura tak działała na ludzi, wtedy. Niepokojąco. Nie byli do tego przyzwyczajeni. Heather miała ochotę wziąć w usta jeden z tych czystych białych palców. Posmakować go.

Ten starszy, doktor, czy kim on tam jest, mówi coś do młodszego, który notuje jego słowa na białej tablicy na ścianie, a kobieta ze spiętymi do tyłu włosami i okularami w czarnej oprawie przystępuje do rozcinania ubrań na Robercie. Czarna wełna, mówi doktor, tłuste plamy na mankietach i kołnierzu, wypalone ślady, przypuszczalnie po papierosach, w obszarze klatki piersiowej, duże rozdarcie, długości około, powiedzmy, stu siedemdziesięciu milimetrów, od pasa w górę pod lewą pachą. Fotograf nachyla się, aby to wszystko uwiecznić, a ktoś inny przykłada linijkę do rozdarcia w brudnym ubraniu Roberta.

To przez te wszystkie razy, jak zasnął z zapaloną fajką i jak się polał browarem czy czymś. A to po bójce ze Steve'em sprzed paru miesięcy. Wyrywał się Steve'owi i kapota rozdarła mu się z boku, tam gdzie Steve trzymał. Jaka tam zresztą bójka, zwykła szamotanina, trykanie się głowami, szturchanie łok-

ciem, wzajemny klincz. Poszło o głupstwo i niegroźnie wyglądało, dopóki Steve nie ugryzł Roberta w ucho. Pamiętacie, nie. Nachylił się, ot tak, i dziabnął go, a jak Robert się odsunął i sprawdził, że ma dalej ucho na miejscu, to dopiero się rzucił na Steve'a. No nie było tak. Pamiętacie. Ale i to trudno było nazwać bójką. Bo jak facet postury Roberta już się raz zdecyduje zaatakować, to jest to siła, z którą się należy liczyć, żywioł natury. Wypychał Steve'a kuksańcami przez cały korytarz aż do drzwi, i w dół po schodkach, wrzeszcząc, co mu ślina na język przyniosła: Debilu pierdolony chuju jeden spierdalaj mi stąd zaraz, i tak dalej. Co chwila sprawdzał ręką ucho, czy jest na miejscu, i spluwał krwią, bo Steve mu zdążył rozciąć wargę. Zwinął czapkę i przyłożył sobie do ucha. Ktoś znalazł H i przyprowadził go, ktoś przyniósł kurtkę Steve'a i rzucił ją na niego, tam gdzie leżał, a Robert zaczął się rozglądać po ulicy w prawo i w lewo, jakby się dopiero co zorientował, że jest na zewnątrz. Pierwszy raz od dłuższego czasu znalazł się na zewnątrz, i ostatni, zanim go wynieśli ci z noszami od czarnej furgonetki.

No i chyba to był ostatni raz, jak Steve tam gościł, chyba że. Chyba że co. Pewnych rzeczy nadal nie wiemy. Steve i H oddalili się, kuśtykając ulicą bez oglądania się za siebie, Steve wciągnął kurtkę i masował knykcie, którymi zamalował Roberta w szczękę. Robert tymczasem cofał się do mieszka-

nia, nadając: O co tu właściwie kurwa poszło, i rozglądając się za kolejnym drinkiem. Czapkę zsunął na tył głowy. Przez cały dzień sobie dogadywali ze Steve'em, ale i tak awantura wynikła nie wiadomo skąd. Robert coś burknął w sensie, że Steve nigdy nie był prawdziwym żołnierzem, a Steve stanął nad nim i mówi: Powtórz to, no to Robert wstał z fotela i się zaczęło. Jak oni się szczepili w jednej chwili, dysząc jeden na drugiego, okładając się pięściami, napierając głowami, drapiąc, zionąc alkoholem i zimnym potem, czując pierwszy smak krwi w ustach – a oczy obaj mieli błędne. Gęsty metaliczny pogłos każdego celnego ciosu. Zęby Steve'a wpijające się w ucho Roberta, spazm bólu zaraz potem. Steve, nawet jak go Robert z łomotem wyrzucał za drzwi, powtarzał w kółko: Nigdy więcej nie waż się tak o mnie powiedzieć, to jeszcze było nic, stary, powtórz, co powiedziałeś, to zobaczysz, co będzie, byłem żołnierzem, ty skurwysynie jeden, służyłem ojczyźnie, ty skurwysynie, aż Ben, który rzucił za nim kurtkę, zaczął się śmiać i mówi: Zamknij się. Kopnął go jeszcze dla zabawy lekko pod żebro. Robert maca ucho, cofa się do mieszkania. Już go to nic nie obchodzi. Ale gdyby wiedział. Gdyby Robert wiedział, gdyby zadał sobie trud, żeby zapytać, gdyby dał Steve'owi szansę opowiedzenia o rzeczach, które widział i robił, jak był w wojsku, może by wtedy tak nie powiedział, może by nie śmiał, może nie przyszłoby mu

do głowy powiedzieć coś takiego. Steve odbył pełną służbę i to jest święta prawda. W Belfaście wyzierał przez okienka jak szczeliny skrzynki na listy wojskowego land-rovera, w który waliły gradem kamienie i butelki, karabin ciążył mu na kolanach, w ustach czuł zgagę, gotów wyskoczyć wraz z innymi przez tylne drzwi, by zająć pozycję i wymachując tarczą i pałką, krzycząc: Cofnąć się, cofnąć się, skurwysynie, cofnąć się. Bomby benzynowe rozpryskują się i płoną u ich stóp, kamienie i odłamki metalu lecą z nieba. Ostrzał z broni maszynowej. Znikąd, ze wsząd, cholera jasna, strzelają ze wszystkich stron. Błyskawiczna obserwacja przez lornetkę dachów, okien, wylotów uliczek. Znowu seria, pada chłopak obok niego, Craigie, nogę mu rozwaliło, krew chlusta na jezdnię. Dosłownie chlusta. Okrzyk: Padnij, jakiś idiota w tłumie wiwatuje, my unosimy lufy karabinów na wysokość ich twarzy. Wycofacie się wreszcie do cholery czy nie, cofnąć się, do cholery. Albo tam w Armagh, gdzie brodzili przez podmokłe łąki i gramolili się przez rowy, a deszczowa woda chlustała w rynny i kanały ściekowe jak ta krew z nogi Craigiego tam na jezdni, a potem w pudle land-rovera, i jakiś łajza musiał ją potem ścierać, jak już było po wszystkim. Nie uprzedzono mnie, że będę robić takie rzeczy. Ojczyzna mnie oszukała. Gdyby Robert wiedział chociaż część tego, gdyby choć raz posłuchał – gdyby ktokolwiek chociaż raz posłu-

chał – nie potraktowałby Steve’a tak lekceważąco, nie powiedziałby tego, co powiedział. Gdyby wiedział. No nie.

Kobieta w okularach w czarnej oprawie ujmuje długie nożyczki z tępym zakończeniem i przecina wełniany materiał środkiem, odwracając i tnąc następnie wzdłuż jednego i drugiego rękawa, oddzielając kolejne warstwy tkanin. Cofa się, żeby fotograf mógł zrobić następne zdjęcie, doktor prosi młodszego przy tablicy, aby dopisał informację o zaplamieniu podkoszulka z długim rękawem, i znów nożyce tną po linii środka każdego rękawa, i znów odklejona zostaje warstwa tkaniny, wydając przy tym ciche młaśnięcie. Rozcinają koszulę, kilka T-shirtów, podkoszulek na ramięczkach, i dopiero po chwili orientujemy się, że czarniawa powierzchnia pod tymi wszystkimi warstwami, lśniąca wilgotnawo w jasnym świetle, to szeroka i teraz wzdęta klatka piersiowa Roberta. Rozcinają jego spodnie, materiał zwisa na obie strony jak przemoczone szmaty. Rozcinają skarpetki, i brudne resztki majtek, i oto leży Robert przed nami, pomiędzy nami, nagi, pokonany. Przyśuwamy się bliżej. Wyciągamy ręce.

Unoszą go za ramiona i wsuwają gruby gumowy klocek pod jego plecy, wskutek czego klatka piersiowa uwydatnia się, a głowa opada w tył, i odwodzą jego ręce, a kobieta w okularach w czarnej oprawie

rozwija szlauch w końcu stołu i zaczyna nim obmywać Roberta, woda łagodnie opłukuje wzdęte ciało i ścieka do rynienek po obu brzegach stołu, a stamtąd do zlewu i widocznego w jego dalszym rogu odpływu. Woda płynie powoli, łagodnie. Ciekawi nas, czy jest ciepła. Kobieta opłukuje Roberta całego, używając namydlonych wacików do usunięcia resztek brudu i krwi. Zaczyna od palców, czyści zagłębienia pomiędzy nimi, potem wnętrza dłoni, potem ich wierzchy, okrąża wacikiem nadgarstki i unosząc najpierw jedną rękę, potem drugą, przeciera wzdłuż przedramię, łokieć i ramię aż po bark. Każdą rękę odkłada łagodnie, ostrożnie, jakby bała się obudzić Roberta. Czysty wacik zagłębia, delikatnie, w gęste, zmierzwiłone włosy pod pachami.

Czyści klatkę piersiową i brzuch, biodra, uda, łydki i stopy, przeciągając waciki po ciele szerokimi, zamaszystymi gestami. Wyciąga kłębki waty z ust, nosa, uszu, odbytu i czubka penisa. Wyciera szyję, twarz, usta, powieki. Czyści okolice narządów płciowych, unosząc nabrzmiały, ciężki penis i jądra, aby dotrzeć do każdego załamka skóry, a potem inne osoby pomagają kobiecie przewrócić Roberta na bok, żeby mogła umyć mu plecy, pośladki i tylne strony ud.

Tak bliskiej namiastki kąpieli nie zaznał Robert od lat.

Robert i Laura razem w wannie. Lata temu, zanim się wszystko rozleciało. Laura śmieje się z dziwnych czarnych włosów porastających całe ciało Roberta i ośmiela się ich dotknąć. Ja mam włosy tylko na głowie, mówi, patrząc w dół po sobie, a ty wszędzie, jak śmiesznie. Jej małe gładkie ciało takie dziwne, jej głowa roi się od pytań i słów, potem, jak ich już nie było, Robert usiłował sobie przypomnieć, kiedy Laura przestała z nim w ten sposób rozmawiać i siadać mu na kolanach, kiedy zaczęła się odwracać i zachowywać się tak, jakby Robert był kimś, kogo należy się bać. A on przecież nic takiego nie robił, żeby się go bać. No nie. Wszystko przez to, jak Yvonne się zachowywała, co dziecku mówiła. Obraz Laury kulącej się przed jego dotknięciem, w jak niesamowicie wstrząsający sposób dziecko potrafi to zrobić, stając się jeszcze mniejsze i niedosiężne, pozostawiając ręce dorosłego dyndające bezużytecznie po bokach.

Wspomnienie tego drugiego razu, kiedy Laura przyszła do ojca do domu. Jej ponowny szok na widok tego, jak strasznie ojciec się zmienił. Pamiętamy to. Jeszcze grubszy, jeszcze czerwieńszy, jeszcze bardziej posiniaczony i przewracający się co krok. Powinna zobaczyć go teraz. Powinna, ale gdzie ona jest. Czy teraz chciałaby na niego patrzeć, czy by się odsunęła. Jego skóra miejscami popękała, miejscami gnije, jego ciało to pstra masa w barwach czer-

wieni, czerni, fioletu i łojowej bieli. Jego nagość obnażona jest ze znaczenia. Jego rany i blizny odnotowywane są przez ludzi, którzy nawet nie wiedzą, jak on się nazywa.

Stopy: zaawansowane stadium gnicia, prawdopodobnie datującego się sprzed śmierci. Wybroczyny na obu łydkach, kolanach, górnych częściach ud, biodrach. Błada blizna na prawym udzie. Młodszy mężczyzna zapisuje to wszystko, fotograf robi zdjęcia, reszta grupy tłoczy się wokół i patrzy.

Plamy opadowe na plecach, pośladkach, tylnych partiach nóg, stanowiące typowy wynik pozostawiania denata w pozycji na wznak przez okres kilku dni po śmierci. Wybroczyny w okolicach żeber. Wybroczyna na lewym policzku. Żadnych zadrapań i wylewów podskórnych na dłoniach i przedramionach.

Grupa przesuwa się z szuraniem wokół ciała, przyglądając się uważnie, pokazując sobie nawzajem szczegóły, robiąc notatki. Przysuwamy się bliżej. Chcemy dotknąć, chcemy go dotknąć. Mike zostaje trochę z tyłu i mówi nam, tak sobie, jakby nigdy nic, że nie jest pewien, ale może to on był ostatni w mieszkaniu przed śmiercią Roberta. Teraz to już nie ma znaczenia, ale co szkodzi o tym wspomnieć. Mówi, że nic tam nie robił, nic zupełnie, po prostu był. Mówi, że właśnie mu się to przypomniało.

Robert jeszcze był w kuchni, jak Mike wychodził, więc jakby jeszcze wtedy nic się z nim nie działo, ale co to teraz ma za znaczenie. Tak nam mówi Mike.

Mężczyzna z notesem, który wygląda jak policjant albo detektyw, czy ktoś taki, mówi: No to skąd te wszystkie siniaki, Frank? – a doktor odpowiada: Chyba na to pytanie pozwolę odpowiedzieć mojemu zdolnemu stażystcie. Ten młodszy przy tablicy podnosi wzrok i mówi: To prawdopodobnie skutki upadków i urażania się o sprzęty, prawda? Doktor uśmiecha się i kiwa głową, a detektyw chowa notes. Sądząc ze zdjęć z wizji lokalnej, odkryjemy zapewne, że był to alkoholik, kontynuuje młodszy, a alkoholicy mają skłonność do częstych upadków i bardzo łatwo doznają wylewów podskórnych. Żadne z widocznych obrażeń nie wygląda na odniesione podczas walki w obronie własnej. Pan doktor, Frank, ponownie kiwa głową i wskazując młodszego, oznajmia: Oto jest stażysta mój wybrany, w którym mam upodobanie. Wszyscy się śmieją, a detektyw wychodzi z sali. Zawołajcie mnie, jak znajdziecie dziurę po postrzale, mówi wychodząc.

My wszyscy siedzimy kołem ze świecami, muzyką, kwiatami i tak dalej, a kiedy robi się całkiem cicho, ktoś mówi: Hej, ale ci z przedsiębiorstwa pogrzebowego spisali się na medal, no nie? Wygląda

jak laleczka. Lepiej niż wyglądał od lat, dodaje ktoś inny, i wszyscy się śmiejemy, i wspominamy jeszcze inne chwile spędzone z Robertem.

Wspominamy, jak wtedy po bójce Steve odchodził wściekły ulicą z tym swoim H i pomstował: To drań głupi, za kogo on się cholera uważa. Wszedł do sklepu na rogu, tego zaraz za klubem, i nakupił piwa Storm za wszystko, co mu zostało z tygodniowego zasiłku, i zataszczył ten bagaż aż na róg Barford Street, tam gdzie urzęduje Sammy, i resztę dnia przesiedział z Sammym na ławce. Opowiedział mu, jak się Robert do niego odezwał i co się później stało, i jak ten szczył cholerny, Ben, podbiegł i jeszcze dołożył od siebie, gnojek jeden, co on w ogóle wie o czymkolwiek. Sammy, nawiasem mówiąc, w ogóle nie słuchał. Nigdy nie słucha. Siedział i ciągnął wódkę z butelki bez nalepki, skombinowaną nie wiadomo skąd. Od jakiegoś jajcarza Polaka, powiedział, czy tam Rosjanina, w każdym razie od kogoś takiego. Steve'owi zresztą nawet nie dał spróbować. Przesiedział tam prawie cały dzień, ale mało co mówił, najwyżej: Jasne, stary, kiedy Steve nawijał swoją historię o tym, co mu powiedział Robert i jak by nie powiedział tego, co powiedział, gdyby wiedział, gdzie Steve był i co robił, gdyby naprawdę wiedział, co Steve oglądał na własne oczy. Powiem ci, Sammy, nawijał, że chyba się zabiorę i wyjadę do Indii poszukać brata, najwyższy czas. Mówiłem ci, no nie,

że mój brat jest tam w Indiach, tylko paszport sobie muszę załatwić i pozabierać stąd parę rzeczy, dość tego odkładania. Skoczę do Cambridge po swoje pocztówki itepe. Nie będzie trudno go znaleźć. Ważne, żebym miał trochę kasy i paszport w porządku. Chyba to jest fajna okazja. A najdłuższa wypowiedź Sammy'ego przez ten cały dzień brzmiała: Wiesz, co ci powiem, Steve, synu, gały mnie napierdalają jak jasna cholera, ni chuja prawie nie widzę.

Inne ślady na ciele: brak widocznych oznak samookaleczenia, brak tatuaży, nie stwierdzam wyraźnych śladów po wkłuciach. Wygląd zewnętrzny ciała typowy dla zwłok pozostających na miejscu przez okres około siedmiu dni od chwili śmierci.

Gdyby tak nam poświęcili tyle samo uwagi. Gdyby tak terapeuta, czy kim on tam był, położył Mike'a przed sobą na stole i poprosił: Opowiedz mi o tym tutaj siniaku, o tej bliźnie, o tym pęcherzu, no i o tym, co to jest, ślad po papierosie? Czy którekolwiek z tych obrażeń jest wynikiem samookaleczenia, Mike? To zależy, jak zdefiniować samookaleczenie, czy w najszerszym sensie, obejmującym samo uzależnienie od heroiny i związany z nim brak dbałości o siebie. Bo jeśli je pominąć, to pozostaje jeszcze cięcie się żyłką i przypalanie papierosem, a tego trochę było, no tak. Z powodu implantów. Bo

Mike nieraz miał powody sądzić, że te implanty są nadużywane do rejestrowania pewnych faktów i przekazywania ich pewnym agencjom. Wiadomo, o co chodzi. Czasami wystarczyło przypalić, ale bywało, że musiał wziąć żyłkę i wyciąć z ciała niepożądany element. A i to nie zawsze się udawało. Bo nieraz to świństwo siedziało głębiej. Doktor czy tam terapeuta drąży dalej: A więc te akty autoagresji niekoniecznie brały się ze skłonności samobójczych. Mike wytrzeszcza na niego oczy. A tamten swoje: Czy kiedykolwiek myślałeś o samobójstwie, Mike? Mam przyjaciela. Mam. Najczęściej wtedy, jak te głosy stają się nie do zniesienia i wydaje się, że nie ma innego sposobu, żeby je uciszyć. No i pokazałoby się ludziom. Tak sobie czasem Mike myśli. Dałby ludziom nauczkę, odbyłoby się potem śledztwo czy coś i wszyscy by się przekonali, jak to źle, że mu nie wierzyli, że go nie słuchali, jak do nich mówił, że nie rozumieli. Pokazałoby rodzinie i kolegom ze szkoły, jeśli go jeszcze pamiętają. Chyba żeby nie pokazał nic nikomu, bo im to wszystkim równo zwisa.

Myślał, żeby to zrobić przez przedawkowanie, tak jak myśli większość znanych mu narkomanów, którzy myślą o tym co drugi raz, jak dają w żyłę. Myślał, żeby wyskoczyć z górnego piętra, powiesić się, utopić, spalić, wejść do niewłaściwego pubu i dać się zadźgać. Ale najczęściej wracał mu pomysł rzucenia

się pod autobus. Spróbował raz, jeszcze w szkole, i to mu utkwiło w głowie. Zdawało mu się, że jak to zrobi we właściwy sposób, to pójdzie łatwo i szybko, i nikt się nigdy nie dowie, że zrobił to specjalnie, a jeżeli prawdą jest chociaż część z tego, co rodzice mu opowiadali o Bogu, to możliwe, że nie wyglądałoby to nawet za bardzo na grzech śmiertelny i tak dalej.

Myślał o tym. Owszem.

Ale obrażenia Roberta mało się liczą. Wszyscy przecież takie mają. My wszyscy też. Siniaki itepe, skaleczenia i otarcia, zwichnięcia i złamania, ubytki i otwarte zakażenia. Od kłucia, od upadku, od nadziania się na sterczącą pięść, butelkę czy but. Ben szczególnie, odkąd go znamy, raczej krótko, zawsze chodzi z podbitym okiem czy inną pamiątką, bo co i raz obrywa za swój niewyparzony język, ale ma to gdzieś. Szczerzy się zawsze, jak go ktoś zamaluje, śmieje się nawet głośno i szydzi: To wszystko, na co cię stać. Za co na ogół obrywa drugi raz. Albo Laura, za drugim razem jak się zjawiała u swojego taty, gotowa była zostać tam, jak nam wiadomo, z powodu obrażeń cielesnych. Miała sińce i wylewy na obu rękach, od góry do dołu, a jej paznokcie wcale już nie były czyste ani polakierowane. Nie za dużo chciała mówić o tym, gdzie się podziewała, ale raczej jasne było, że z takim wyglądem nie może się pokazać w domu u mamy.

Powiedziała tylko, że wyjechała gdzieś ze znajomymi, zamiast wtedy wrócić do domu. Lato spędziła na jakichś festiwalach, przełaziła przez płoty, spała po cudzych namiotach, sprzedawała jakieś prochy za żarcie, a gdy lato się skończyło, wciąż nie chciało jej się wracać do domu i ostatecznie przebidowała zimę na squacie. Tak przynajmniej mówiła do Heather. A Heather teraz mówi to do nas, jej głos snuje się ponad nami jak dym i zapada po kątach zimnej białej sali. Na drugi rok Laura powtórzyła rundę po festiwalach, i znów na zimę wylądowała na squacie, ale innym, i właśnie tam na dobre się wciągnęła. Przez jakiś czas wszystko szło dobrze, ale potem zaczęło się psuć, więc Laura sprzedała swoją furgonetkę i opuściła squat. Do tatusia wróciła, żeby się jakoś pozbierać. Heather ją zapytała, czy ma może na myśli pozbieranie się przez odwyk, czy takie normalne, a Laura do niej, że jak jej się zdaje, po co by tu przychodziła?

One we dwie w sypialni od frontu, dawnym pokoju Laury, chociaż Laura ledwo go teraz poznaje, we dwie dają sobie w żyłę, a potem wysyłają kogoś po następną działkę i znowu dają w żyłę, a jeszcze później Heather uczy Laurę brać crack. Laura miała jeszcze wtedy gruby plik forsy ze sprzedanej furgonetki, ale do spółki z Heather szybko tę kasę przehulały. Heather pokazała Laurze, jak robić zastrzyki w nogi. Obejrzała jej ramiona, pogłaskała czerniejące wyle-

wy i powiedziała: Aleś sobie, złotko, zababrała ręce, lepiej daj im na razie spokój. Ściągnęła Laurze spodnie, uklękła przy niej na podłodze, żeby znaleźć dobrą, świeżą żyłę, i szepcząc czule, gdy żyła nabrzmiewała pod masażem Laury, wkłuła w nią igłę. Mówiąc: No i proszę, kochasiu, to ci powinno wystarczyć. Podała Laurze chusteczkę, żeby przytknęła do miejsca po wkłuciu, a potem jej pomogła wciągnąć spodnie, jak Laura już leżała na wznak na łóżku. Za każdym razem Heather pamiętała, żeby przymknąć drzwi, bo, jak mówiła, Robert nie powinien tego raczej widzieć, ale tak naprawdę to nie chciała, żeby ktokolwiek widział. A my teraz widzimy. Widzimy je obydwie leżące na łóżku, stykające się włosami, pograżone w letargu całymi minutami, godzinami, a potem otwierające oczy, żeby pogadać. Laura pyta: To jak ty już długo to robisz, a Heather odpowiada: O wiele za długo, kurwa, ale co to ma za znaczenie. Laura pyta: Myślisz, że mój tata wie, że biorę, a Heather odpowiada: Może być nawalony, ale nie jest głupi, pewnie że wie. Tylko chyba po prostu się cieszy, że ma cię u siebie. Na co Laura się uśmiecha. Który ojciec by się nie cieszył, dodaje Heather. Na co Laura uśmiecha się jeszcze bardziej. Opierając policzek na złożonych dłoniach, mówi: Jakby moja mama mogła mnie teraz zobaczyć, toby oszalała, wściekłaby się i wygnała mnie z domu, dlatego wróciłam tutaj, pomyślałam sobie, że przynajmniej tata, w takim stanie

jak jest, nie będzie się mnie czepiał. Patrzy na tatuaż Heather, na zielononiebieską rycinę już lekko zartaną na starzejącej się skórze, przyciska go palcami i pyta: A teraz mnie widzisz? Obydwie się śmieją. Heather mówi: Za te wszystkie przykrości, które przez to miałam, powinnam tego, co mnie tatuował, podać do sądu. Na przykład za utratę możliwości zarobkowania. Śmieją się, i my wszyscy w tej sali też się teraz śmiejemy na tamto wspomnienie, niezbyt stosownie do sytuacji, bo stoimy przecież wokół nagiego i wzdętego ciała Roberta.

Pamiętamy, jak śmiała się Heather, zawsze trochę głośniej i trochę dłużej niż inni, jakby z opóźnieniem łapała dowcip i czuła się w obowiązku to nadrobić.

Laura zsuwa się na podłogę po sprzęt, już wyłuskując się ze spodni, i mówi do Heather: Chcesz jeszcze, bo ja chcę. Ben puka do drzwi, odsuwa je, patrzy w dół na Laurę w spuszczonech do kolan spodniach i mówi: No, moje panie, zrobiłem wam zakupy. Ten uśmiech na jego twarzy, rozciągnięty przez całe policzki, te wywinięte usta odsłaniające zęby, kiedy Ben, starając się nie wyglądać na zbyt zadowolonego z siebie, strząsa ciemne loki na oczy i sięga do kieszeni, aby wyciągnąć z nich produkty gestem magika. Istny był z niego showman, no nie. Ileż on miał wtedy lat. Szesnaście. Świeżo spod kurateli, formalnie. Tak naprawdę wyzwolił się o wie-

le wcześniej, ale wciąż nie mógł wyzbyć się nawyku spoglądania co chwila przez ramię, czy go aby nie przyłapią i nie zabiorą z powrotem. Właściwie to już nawet do tego tęsknił. Dziewczyny obie wyciągają ręce, a on droczy się z nimi przez chwilę, wymachując wysoko uniesionym sprzętem, napawając się przelotnym dreszczykiem władzy, zanim zrzuci przedmioty w ich otwarte dłonie. To było jeszcze na początku. Jeszcze jak Ben robił ludziom przysługi za nic, dla samej przyjemności, za dziękuję, za szetkę czy dwie, które mógł zachować i opylić na własną rękę. Dużo było rzeczy, które gotów był zrobić za dziękuję, wtedy jeszcze. Twarz mu się przy tym tak rozpromieniała.

Ben miał zawsze dużo do powiedzenia, ale nigdy nie powiedział nam wiele. Wciąż powtarzał, że wyjedzie do Brighton odnaleźć siostrę. Mówił, że ostatnie informacje o niej miał właśnie stamtąd, a nawet jakby to nie wypaliło, zawsze będzie mógł pojechać dalej i ją tropić. Stracił z nią kontakt, jak wyszła z domu dziecka, miała go tam potem odwiedzać, ale nie zawsze dawała radę. Nawet nie byli za bardzo zżyci, niewiele mieli z sobą do czynienia, jak trafili do bidula. Ale siostra to zawsze siostra, no nie, pomogłaby mu przecież, chyba by pomogła. Gdyby udało mu się dotrzeć do Brighton. I ją odnaleźć. Ona wie, że to nie była jego wina. Wie, że to przestarzała sprawa. On nie mógł zrobić nic, żeby tamtego powstrzy-

mać, żeby nie dopuścić do tego, co się stało. Nawet nie wiedział zbyttnio, o co chodzi, w każdym razie nie dość, żeby mieć pewność. Ona zwała wtedy wszystko na Bena, ale to stare dzieje, na pewno teraz już nie miałyby do niego pretensji. Gdyby tylko zdołał dotrzeć do Brighton. I ją odnaleźć. No bo co on właściwie mógł zrobić. Mały jeszcze był. Wtedy jak to się stało. Tak czy owak. To już teraz nie ma znaczenia. Odgarnia włosy z oczu. Podskakuje na palcach i rozgląda się na boki, jakby szykował się do ucieczki. Zawsze wyglądał jak gotowy do ucieczki. No nie. Pamiętajcie. No nie. O Jezu.

Doktor przechodzi do białej tablicy i rozmawia ze stażystą, pyta go, czy jest zadowolony z dotychczasowych obserwacji i czy ma coś do dodania, następnie zwraca się do kobiety w okularach z czarną oprawką: Okej, Jenny, chyba pora przyjrzeć się wnikliwie naszemu dżentelmenowi, zechcesz uczynić nam ten honor i otworzyć go? Widzimy, przez okienko w jednej ścianie, które wychodzi na mały gabinet, jak detektyw rozmawia przez telefon, pije kawę z polistyrenowego kubka i obserwuje Jenny, która wybiera długi skalpel ze stalowej tacy pełnej narzędzi i nacina głęboko pierś Roberta. Rozlega się cichy syk i klatka piersiowa oraz brzuch Roberta flaczają. Lśniące ostrze wykreśla długą linię w kształcie U, spod jednego ucha przez całą pierś i z powro-

tem pod drugie ucho, krew spływa strugami po obu stronach ciała. Jenny tnie dalej, krew wypływa bez przerwy, gęsta i ciemna, odprowadzają ją rynienki wzdłuż brzegów stołu. Jenny unosi skalpel i robi jeszcze jedno długie nacięcie, od środka klatki piersiowej w dół, aż po kość łonową, po czym odwija połę tkanki i skóry, odrywając je szarpnięciami od żeber i układając płasko po obu bokach, niczym stronicie otwartej książki. Następnie ściąga trzeci płat, górny, drapując go na twarzy Roberta i, posługując się piłą elektryczną, przecina żebra, jedno po drugim. Wizg piły wypełnia całą salę, zgrzytliwy i nagły, tak że cofamy się na moment. Odwracamy oczy. Ciężko jest na to patrzeć, nawet teraz. Jak łatwo ciało daje się zredukować do tego oto. Gmatwaniny ścięgien, tłuszczu i kości. Porozcinanych tętnic i żył, z których wypływa krew. Piła świszczy mocniej, wgryzając się w kolejne żebra, techniczka wspina się na palce i opada na pięty w ślad za ruchem piły, która przebija się przez miękki szpik na drugą stronę. Jenny rozcina tak dwanaście żeber po lewej stronie ciała, pochylona nisko nad stołem, po czym okrąża stół, by porozcinać drugie dwanaście z prawej strony. Piła z gniewnym warkotem kończy pracę. Wentylatory zamontowane w stole szumią cicho, odciągając kostny pył z powietrza.

Brak widocznych uszkodzeń klatki piersiowej, mostka i kości obojczykowych, mówi doktor. Brak

śladów po pobiciu w obrębie torsu, brak śladów po próbie reanimacji.

Gdy Laura po raz drugi wróciła do domu, spytała tatę, czy może się u niego jakiś czas zatrzymać. Pamiętajmy o tym. A on się poczuł tak, jakby nastąpiły wszystkie naraz jego urodziny, jakby miał trupem paść z wrazenia tu i teraz. Pomyślał, że odtąd już wszystko będzie dobrze. Widział po niej, że ma jakieś kłopoty, że się w coś zakałapuściła, ale to było coś, co ich teraz łączyło, co mogli razem rozpracować, do spółki, jak zespół, jak ojciec z córką, którzy chcą uporządkować sobie życie i nadrobić stracony czas. Takiego wała.

Ten ból głowy, czasami. Blokujący wszystko, co do niego mówiła Yvonne, budzący w nim pragnienie, żeby Yvonne już sobie poszła, żeby zamilkła, żeby się kurwa mać zamknęła i ewakuowała, ach ten ból głowy, nie do porównania z niczym. Ale ona mu nie wierzyła, może sądziła, że to z przepicia, a może uważała go za łajzę. Akurat picie było tym jedynym sposobem, żeby ból minął. Jakby mu ktoś gwóźdź wielki wbijał z boku głowy. O Jezu, co to mogło być. Póki się ruszał, to tego nie czuł. Jak wypił ile trzeba i stale był w ruchu, no i jak ona się kurwa przymknęła na chwilę, to ból przechodził. Ale zawsze potem wracał, a czasami. Czasami popychał go do niewłaściwych czynów.

Ból głowy, gdy po raz pierwszy usłyszał pogroźkę Yvonne o jej zamiarze. Dosłownie poczuł dźwięk tej pogroźki w głowie. Jak co, jak grom, jak grom za szybą. Wrzeszczała mu prosto w twarz, żeby ją na pewno usłyszał, okładała go pięściami. Jej małe zwarte piąstki wymachujące w powietrzu. Wróć do mamy, zobaczysz. Słuchasz mnie. Nie chcę tego, ale tak tu zostać nie mogę. A czego się nie nasłuchał, jak gadała z matką przez telefon. Nie, jeszcze nie szuka pracy, przypuszczam, że potrzebuje trochę czasu, żeby się przestawić, to był jednak szok, jak ich wszystkich zamknęli bez ostrzeżenia, ciężko to znieśli, zwłaszcza że nie mieli właściwie żadnej pomocy, większość prosto stamtąd poszła na zwolnienie. Ale to jego zwolnienie już za długo trwa, już za długo, mógłby mi chociaż trochę pomóc w domu. Stał przy kuchennym zlewie z kolejnym piwem w garści, a ona nawijała w tym duchu przez telefon, przekonana, że on nie słyszy. Wszystko zostawia na mojej głowie, dosyć mam tego, rachunki się piętrzą, mam, biorę dodatkowe zmiany, ale i tak nie wiem, z czego je wszystkie pospłacam. No, nie wiem, mam. Nie wiem, co robić. Laura się budzi na wrzaski matki, która drze się: odejdę od ciebie, Robert, zobaczysz, wezmę ją z sobą i koniec, ty lepiej uważaj, naprawdę nie chcę, ale będę zmuszona. Słuchasz mnie, czy nie? Czy ty mnie kurwa w ogóle słuchasz? I znowu łomot, taki jak przedtem, słysząc go przez

ścianę, drobne pięści mamy bębnią w klatkę piersiową taty, bębnią przez nią na wylot, i przez ścianę, i obijają się o Laurę, która siedzi w łóżku plecami do wezgłowia. Aż nagle łomot ustaje, tak jak zawsze, teraz oboje płaczą, słysząc ich szuranie, kiedy pomagają sobie nawzajem dojść do łóżka, i Laura zasypia, a po latach leży z głową na kolanach Heather i opowiada jej to wszystko jeszcze raz. Nie czując tym razem nic.

Te rzeczy się teraz wszystkie łączą. Wyłażą na wierzch.

I pamiętajcie, że Robert też o tym opowiadał Steve'owi. Mówił, że właściwie po tym tylko poznał, że coś jest nie tak, że coś się psuje. Mówił, że wiedział, że Yvonne nie lubi, jak on za dużo pije, kłócili się często, jasne, tylko że jemu się zdawało, że to normalne. No i w tym właśnie cała rzecz, Robciu, starszku, klarował mu Steve, gdy siedzieli we dwóch w fotelach w pustym pokoju i zaliczali stopniowo dzienną porcję drinków, dla nich, widzisz, nic nigdy nie jest normalne, nigdy ich nie zadowolisz. Wiecznie będą chcieć czegoś innego, lepszego. Tobie jest lepiej bez kobity, podsumował, i stuknęli się puszkami na zgodę, spoglądając przez okno na boiska i na słońce zachodzące za szpaler drzew nad rzeką. Tak mu tłumaczył Steve. No, tak czy nie. Że sam popełnił błąd, bo złamał złotą regułę, zagalopował się. Zacziesz się na kimś opierać, a on ci się

usunie i polecisz na pysk. Rozsądek nakazuje. Nigdy na nikim się nie opierać. Nie ufać nikomu. Złota reguła, tak Robertowi mówił Steve. Zapamiętaj to sobie. On też popełnił ten sam błąd z tą, jak jej było, tą ze sklepu. Marianne, Marianna, Marie. Jak zwał, tak zwał. Opuścił gardę, doszedł do takiego stanu, że zrobiłby dla niej każde głupstwo, jakby ją chciał zachwycić, jakby myślał, że jej na nim zależy. A jak wrócił z tej misji do cholernej Bośni, to ona nawet nie chciała o nim słyszeć. Powiedziała, że wszystko się zmieniło. Że Steve się zmienił, że ma zanadto zmienne nastroje i nie daje się z nim już wytrzymać. No jasne, że się zmienił, a czego ona się spodziewała. Zobaczył to i owo, jak tam był. Zobaczył rzeczy, które nawet takiego starego wygę jak on leciutko zaskoczyły, mówiąc najogólniej. Nie oczekiwał litości, wcale o nią nie zabiegał. Jedynie odrobiny cierpliwości. Odrobiny wyrozumiałości. Miała do niego pretensje, że mało się odzywa i miewa humory, a przecież wystarczyło, że dałaby mu szansę trochę pomyśleć. Chociaż czasami. Jezus. Nadal lubił się pośmiać, pożartować, ale musiał sobie rozjaśnić w głowie, a ona tego nie czaiła. Marudziła mu tylko: Może powinieneś o tym z kimś porozmawiać, tak jakby rozmawianie mogło pomóc. Był taki moment, stali we dwoje na mostku nad kanałem, on sobie akurat wtedy kończył załatwiać mieszkanie i powiedział do niej coś w sensie, że mogłaby od czasu

do czasu u niego przemocować, no i jak tylko to powiedział, zrozumiał, że ma przechlapane. Nawet na niego nie spojrzała. Ręce wbiła w kieszenie, jakby tam miała na dnie ukrytą broń. I zaczęła się wykręcać: No nie, bo widzisz, Steve, chodzi mi o to, że teraz wszystko jest trochę inaczej, jakoś tak dziwnie. Ja właściwie nie nastawiałam się na nic poważnego. Nawija tak i gapi się w mętną, brunatną wodę, jakby miała nadzieję, że on się tam rzuci, czy co. No a potem przestali go przydzielać do pracy w sklepie, nawet mu zabronili tam chodzić. Orzekli, że zachował się niewłaściwie, śmiechu warte, bo przecież to nie on stworzył problem. Nie on powiedział, że zrobiło się jakoś dziwnie. Nawet by się nie przejął, cholera jasna, tylko że nawet nie zdążył przelecieć tej, jak jej było, Marii czy tam Marie, mniejsza z tym. I teraz żałował. Ładne miała ręce i w ogóle.

Techniczka wyciąga ramię nad torsem Roberta, chwytając szczytową krawędź żeber i odrywa je od ciała. Odchodzi w jednym kawałku, niczym napierśnik rycerskiej zbroi, a techniczka odkłada je na osobny stół z nierdzewnej stali. Znów przysuwamy się ciasnym kręgiem do Roberta, opieramy dłonie na stole i zaglądamy w dziwną, obrzmiałą, wilgotnie lśniącą czelusć jego wnętrzości, gdzie oślizgłe, sflaczałe organy tłoczą się jeden na drugi. Doktor zeskrobuje jeszcze kilka warstw żółtego tłuszczu

o konsystencji śmietany, przecina szereg tętnic i żył, po czym wyjmuje wszystkie organy w pojedynczym bloku i umieszcza w plastikowej kuwecie, która zostaje przeniesiona na paletę sekcyjną umieszczoną na blacie biegnącym wzdłuż ściany. Za plecami zespołu medycznego, w wydrążonej jamie ciała Roberta, widzimy żebra rozczapierzone wachlarzowato w poprzek pleców, gruzły kręgosłupa oraz splątaną masę jelit, które już się rozluźniają, aby wypełnić sobą pustą przestrzeń.

A powinno być raczej tak. Rozstawiamy zdjęcia pomiędzy świecami, fotki z młodszych dni, lepszych dni, żeby każdy mógł popatrzeć i skłamać, że Robert wcale się tak strasznie nie zmienił, biorąc pod uwagę. Zdjęcie z czasów służby w wojsku, w paradnym mundurze, żeby dawni koledzy mogli je brać do ręki, odstawiać z powrotem, wymieniać spojrzenia i obywać się bez słów. Zdjęcie znalezione kiedyś przez Laurę na dnie szafy jej mamy, przedstawiające mężczyznę o chłopięcej urodzie, z okrągłą twarzą o miękkich rysach i szeroką, płaską klatką piersiową, w rozpiętej koszuli, niosącego na barana dziko roześmianą małą dziewczynkę. Laura zakradała się do szafy popatrzeć na to zdjęcie, kiedy mamy nie było w domu. Mała dziewczynka niesiona na barana to była ona, tak przypuszczała.

Przez tyle lat myślała o nim, a gdy wreszcie wró-

ciła, trudno jej było zdobyć się na myśl, że to jest jej ojciec. Nie był już zbyt podobny do tego ze zdjęcia, kiedy do niego dotarła. Robert, którego zastała – otyły z przepicia i żalu, niedomyty, z wymiętą twarzą i zgarbioną posturą, z rękami powykręcany artretyzmem – był dokładnie tym mężczyzną, przed którym ostrzegła ją matka, tym mężczyzną, od którego, jak od dziecka słyszała, uciekły. A przecież takim mężczyzną Robert stał się dopiero po tym, jak za nimi zatrzasnęły się drzwi, a on zaczął pić na serio. Po tym, jak przestał mieć nadzieję na ich powrót. Laura wyobrażała sobie, że gdy wejdzie do domu, rzuci mu się na szyję. Usiądzie mu na kolanach, oprze głowę na jego ramieniu. Nadrabiając to wszystko, co oboje stracili. I tak się w pewnym sensie stało, jeden raz, wkrótce po jej drugim powrocie: objęła go za szyję i tuliła się do niego desperacko, dopóki nie odstręczył jej smród dawno niezmiennego ubrania. Po tym jednym razie dotykała go najwyżej, gdy chciała pieniędzy. Kuciała obok i kładła mu rękę na kolanie, albo stawała z tyłu z dłońmi na jego ramionach, nachylała się i mówiła mu cicho prosto do ucha. Źle się czuła, prosząc o forszę, ale miała przekonanie, że chociaż tyle jest jej winien. Za te wszystkie lata, kiedy go nie było. Ale tamten jeden raz, myślała o nim niekiedy. Gdy nie była zajęta innymi myślami. Przypominała sobie tamto uczucie. Zupełnie inne niż to, czego oczekiwała. Jego masywne,

drętwe znieruchomienie. Tak jakby obejmować drzewo. Ręce Roberta opuszczone po bokach, uniesione na krótką chwilę, niepewnie. Jakby zapomniał, co miał zrobić, a zanim sobie przypomniał, jej już nie było, znowu.

Stoją przed paletą sekcyjną, doktor, techniczka, asystenci i fotograf. My wszyscy tłoczmy się wokół nich. Doktor oddziela wątrobę, podnosi ją w jednej ręce i umieszcza w lśniącej misce wagi elektronicznej. Dwa tysiące siedemset czterdzieści trzy gramy, mówi, ktoś z zespołu ledwo powstrzymuje gwizdnięcie, a stażysta odnotowuje wagę na białej tablicy. Wątroba ma barwę żółtawo-pomarańczową, przypomina gąbkę, jest upstrzona plamami i ziarnista i zostawia na ostrzu noża grube smugi tłuszczu, gdy doktor ją rozkrawa. Co może mi pan o tym powiedzieć? – pyta stażystę. Marskość, odpowiada tamten. Zaawansowana marskość. Dziękuję, mówi doktor, z uśmiechem. Techniczka bierze jeden z plastrów wątroby i umieszcza go w przezroczystym plastikowym pojemniku, wypełnionym formaliną, a przykrywkę po zamknięciu starannie opatruje etykietką. Doktor oddziela serce, mięsną bryłę o dziwacznym kształcie, z kikutami rurek i tulejek, sterczącymi na wszystkie strony, waży je i odkłada z powrotem na paletę. Rozcina serce, obnażając jamy, zastawki, tętnice, za pomocą skalpela wskazuje poszczególne elementy, dyktując raport.

Serce: powiększone, zwiotczone, poza tym o normalnym wyglądzie zewnętrznym, zwarte, czerwono-brunatne, bez widocznych pęknięć. Lewa i prawa komora w normie, jamy w normie, jakkolwiek z pojedynczymi zakrzepami krwi, wsierdzie w normie. W przekroju tętnic wieńcowych znaczne zwężenia, rzędu siedemdziesięciu do osiemdziesięciu procent, wskazujące na bardzo zaawansowaną miażdżycę.

Jak przyjdzie co do czego, *la*, wyrznię ci serce.

Pamiętacie, jak Danny, Laura, Heather i Ben szykowali kiedyś działkę wszyscy razem. Pod wiaduktem przy kanale, bo w mieszkaniu siedział Mike, który nie zrzucił się na towar. Czy się nie zrzucił, czy po prostu nie mieliśmy ochoty na jego towarzystwo. Danny pichcił sam, a cała reszta patrzyła mu na ręce jak jacyś gliniarze, żeby na pewno działki wyszły równe. W sumie mieli dwie podwójne i dwie pojedyncze saszetki na nich czworo, więc Danny wymieszał na łyżce ciemne z jasnym i zaczął podgrzewać, całość wciągnął do jednej strzykawki, żeby mieć miarę, a potem wyciskał po trochu z powrotem na łyżkę, po równo na każdą z czterech igieł, a kto już sobie nabrał, ten się wycofywał i dawał w żyłę. Heather wyśmiewała się z Bena, który mówił, że się nadal boi zastrzyków, co było doprawdy zajebistym dowcipem i za każdym razem ich rozśmieszało. Danny i Laura

wzięli równocześnie i ścięło ich równocześnie, z pierwszym kopem cracka, i obserwowali się nawzajem, gdy to się działo, jakieś takie precudne kurwa odpływanie między nimi zaistniało przez, no ile to może trwać, parę sekund, minutę, dwie minuty, takie ty ty euforyczne pomiędzy dwojgiem, jak chlust wody, jak śmignięcie pocisku przez tunel i eksplozja na wylocie, prosto w słońce ogniska, z takim jednym wielkim o Boże święty tak tak tak, zanim zaczniesz się zapadać, osiadać w watowanych objęciach ciemności, bo już brań bierze górę, bierze kurwa górę na całego. Heather jeszcze się podśmiewała z Bena, jeszcze mu dogadywała: ty się chyba minąłeś z powołaniem, mój malutki, i śmiali się wszyscy czworo, wyciągnięci na wznak w śmieciach i kurzu pod wiaduktem, wsłuchani w biały szum wody przelewającej się nad śluzą, klangor tramwajów przetaczających się górą nad nimi, Danny odwrócił się, żeby jeszcze raz spojrzeć Laurze w oczy, ale ona już całkiem odpłynęła. Danny pocierał raz po raz palcami twarz, czuł się dobrze, czuł się znowu mile widziany w swoim ciele. Tak się, no kurwa, czuł, że czego to ciało nie potrafi dokonać, te palce, te kości, te mięśnie i ta skóra, te kości twarzy, ta szczeka i te policzki, i te oczodoły, te komórki dzielące się i formujące i zdrowiejące i zaczynające od nowa, czego my nie robimy tym swoim ciałom, a one zawsze zaczynają od nowa, kalcemy je, siniaczymy, jątrzymy ich rany, a kask

ochronny czaszki wciąż strzeże bezpieczeństwa cierpiącego mózgu. Na co właściwie. A na to. Na to, żeby się znów tak dobrze poczuć. Na wszystko, czym się może stać ciało. Na tę chwilę, gdy już minęło, koniec, i życie może się zacząć od nowa.

Chętnie by ją chociaż raz zobaczył naga. Chociaż raz. Pewnie wygląda jak nieszczęście, skóra i kości, popękane żyły, ale mimo to. Chętnie by się przekonał, co potrafi jej ciało, czym jej ciało może być. Smukłe i białe i poblądłe i zwracające się ku. Otwierające się ku.

No a co z Benem. Jezu. Wtedy w dawnym pokoju Laury, jak Heather poczęstowała go twardym towarem. Nikt właściwie o tym nie wiedział, tyle że wszyscy wyczuliśmy, że coś jest nie tak. Teraz za to wiemy, jak to było. Zaciągnęła go do pokoju i zamknęła drzwi. Siadła na łóżku, a raczej zwała się na łóżko, i mówi: Chodź no tutaj, Benny, mój chłoptasiu, chcesz zapalić, masz chęć na fajkę? Pogrzebała w kieszeni i wyciągnęła saszetkę. Ben uśmiecha się po swojemu i pyta: No coś ty, Heather, staruszko, czy papier chodzi srać do lasu, czy co? Heather nabija fajkę i podaje mu, a Bena mózg robi takie pyk pyk pyk za każdym sztachnięciem. Heather czeka, czeka, a Ben nawija o kłopotach, jakie miał w schronisku, kiedy inny rezydent doniósł na niego personelowi, że bierze w pokoju, i personel zrobił rewizję, i znaleźli parę dropsów pod materacem, bo tak czy owak mieli go już dosyć

i szukali tylko pretekstu, żeby się go pozbyć, za często im pyskował, a oni lubią, żeby każdy wiedział, kto tu jest szefem, kto kurwa gra pierwsze skrzypce. Heather obserwuje, jak oczy mu się śmieją do fajki, do zapalniczki i do tej saszetki, którą ona trzyma w garści. Ben się zacina, urywa i mówi: Heather, nie chcę być bezczelny i w ogóle, ale mógłbym dostać jeszcze trochę? Taki głód ten towar budzi w człowieku, takie pragnienie. Niczego się tak strasznie nie pragnie jak następnej fajki. Pierwszy raz jest zawsze najlepszy i zawsze się chce go powtórzyć. Zrobiłoby się wszystko, żeby wrócić do tych pierwszych doznań. Nigdy się nie wraca, ale zawsze udaje się zbliżyć i zawsze się próbuje. No, tak czy nie. Heather patrzy na niego, oczy jej mętnieją, i mówi: No to chodź. Ścisza głos i dodaje: Chodź tu bliżej. Sięga oburącz i przyciąga go do siebie za pasek dżinsów. Ben się wyrывa, Heather ciągnie go do siebie i namawia: No chodź tu, Ben, no chodź tu, ściąga go na skraj łóżka i tam go przygwaźdza nogami przerzuconymi przez jego nogi. Wpatruje się w niego wpatzonego w fajkę. Wpatruje się w niego, a jednocześnie rozpina mu dżinsy i nie pozwala mu się wyrwać. Zagadując: No coś ty, Ben, no coś ty. Czego się boisz? Przecież mnie znasz od dawna, no nie? Spoko, spoko. Krzywdy ci żadnej nie zrobię. Ben odwraca wzrok, patrzy na zdewastowaną ścianę nad łóżkiem, patrzy w kąt pokoju, mówi: Wiesz, Heather, jakoś nie mam ochoty. Nie chce

mi się. Heather wciąż mruży uspokajająco, teraz jedną rękę opiera za jego plecami, a drugą pieści go przez spodnie. Mówiąc: Zrób to dla mnie, skarbie. Jak chcesz zarobić na następną fajkę. A ja mam w zapasie jeszcze sporo. Pyta: No co jest, Ben, nie podobam ci się, czy co? A Ben, cały sztywny i nieruchomy, odpowiada: Heather, nie o to chodzi, oczywiście, że mi się podobasz, tylko że nie w tym sensie, no nie chcę. W jego głosie brzmi zimna rezygnacja. Bierze fajkę podaną przez Heather. Zaciąga się głęboko, łapczywie, a tymczasem ona ściąga mu spodnie i robi to, co chciała, miętosi jego jądra, próbuje wymusić oporną erekcję, wciska zgrubiałe paluchy w jego odbył, a po pokoju roznosi się woń soku gruszkowego i mózg Bena robi tak pyk pyk pyk, i widzi Ben roziskrzony światło we własnym krwiobiegu, wzbierające, mknące, szaleńcze, porywające go wzwyż wzwyż wzwyż aż pod sam sufit, skąd widzi w dole pokój i widzi, co jest poza ścianami pokoju, i jak za pierwszym razem spotkał Heather koło dworca, gdzie zaczepiał ludzi, i ona mu powiedziała: Lepiej tego tutaj nie rób, kochasiu, bo cię zwiną w trymiga, a już się do nich zbliżało dwóch gli-niarzy, i wzięła go pod rękę i poprowadziła ulicą w odwrotną stronę. Ciężar jej ręki w zgięciu jego łokcia. Jej rozłożyste, obłe biodra miażdżące mu miednicę. Śmieszna kobitka z wyglądu, ale nie miał nic przeciwko temu, żeby z nią iść, wyglądała na taką, co swoje wie. Prowadziła go jak ślepego, którym w pewnym sensie

był, jak chodzi o życie na ulicy. Teraz umiał to o wiele lepiej, ale tego incydentu nie przewidział. Powinien był przewidzieć, ale nie przewidział, fajka się dopaliła, pykanie w mózgu zamierało, za to budził się na nowo dziki apetyt na fajkę. Patrzy na czubek głowy Heather ssącej jego penis, na przetłuszczone rude włosy z czarnymi i siwiejącymi odrostami, i czuje, jak w powietrzu rozwiewa się woń palonego cracku, a jej miejsce wypełnia woń Heather, woń alkoholu, starego potu i popsutych zębów, więc próbuje odciągnąć tę głowę za włosy, ale Heather dalej robi swoje. Ben mówi: Kurwa, przestań, no przestań, Heather, proszę cię, przestań. Przed tyłoma rzeczami go ostrzegała, ale nigdy przed tym. Heather ociera usta, uśmiecha się i mówi: No coś ty, Benny, chłoptasiu, co ci się stało, nie chcesz już więcej fajeczki? Spogląda na niego, spogląda na saszetkę zaciśniętą w garści. Mówi: No, dawaj, Ben. Nikt się nie dowie. Nikomu nie powiem. Dawaj. Jeszcze troszeczkę i dam ci, czego chciałeś. I teraz jej ręce między jego nogami, szarpia go, szczypią, drapiają, przyciągają. Ben odwraca głowę, gapi się w sufit, przewraca oczami. Mówi: Heather, kurwa mać do cholery, kurwa mać. Mówi to cicho, jakby ledwo się ważył, kurwa mać do cholery, Heather, ja nie chcę. Ty głupia kurwo pierdolona. Oczy Heather ogromnieją z nadziei, kiedy to słyszy, szarpie się teraz z własnymi spodniami, pasek, guziki, koszule jedna pod drugą, szale, chusty, skopuje spodnie w dół

do kostek i zwała się z powrotem na łóżko. Ściąga Bena na siebie, więzi go w uścisku i rozkazuje: Powiedz to jeszcze raz. Powiedz jeszcze raz ty kurwo. Ben zaciska powieki, ale i tak jej wszechobecna woń i miękkie zwał jej ciała pod jego ciałem, i stękania i jęki jej przepastnego, crackiem napędzanego pożądania, wchłaniają go bez reszty. Myślał, że może jej ufać, chociaż uczyła go, że pierwsza rzecz to nie ufać nikomu, no i okazuje się, że miała słuszość. Powinien był się tego nauczyć już dawno temu, a jak. Dawno temu, jak wszyscy ci ludzie, o których sądził, że mu pomagają, okazywali się szpiclami i donosicielami, przez których trafiał z powrotem do domu. Ludzie z centrum dziennego. Z kościoła. Ta baba z dworca, gdzie chciał przeskoczyć przez szlaban. Ten gość, którego Ben przed teatrem poprosił o drobne i który wziął go do siebie na noc. Każdy mu najpierw obiecywał: Tak, tak, pomogę ci, synku, a zaraz potem leciał do telefonu i wzywał kogo trzeba, żeby Bena odstawili do domu. Ale skończyły się ich czasy. Teraz już tego zrobić nie mogą, bo Ben jest za stary na przymusową opiekę, za stary na odwożenie do domu dziecka, teraz jest samodzielny i tak mu się podoba, tak jest lepiej. Jest dość dorosły, żeby o siebie zadbać, i to już od dłuższego czasu. Heather mruży: Przyciśnij mnie jak ostatni skurwiel, jesteś ostatni skurwiel, no dawaj, przytrzymaj mnie za ręce. Ben uchyla na moment oczy i mówi: Kurwa mać, Heather, ty zwario-

wana pojebana dziwko, recytuje to rytmicznie, chociaż wcale nie chciał, i wciska jej nadgarstki w materac, myśląc o fajce i czując się wzniesionym ponad pokój, chociaż wciąż słyszy Heather, czuje jej dotyk, jej zapach, pomimo zaciśniętych oczu jest świadom blizn i sińców na jej udach zakleszczonych wokół jego nóg, śladów po przypaleniach papierosem na jej brzuchu, i pomruków, i jęków, i nalegań: Wytargaj mnie za włosy, o kurwa, wytargaj mnie za włosy, skurwielu jeden, skurwielu jeden, a on stara się tego nie słyszeć, stara się nie myśleć o niczym prócz fajki, która go czeka na końcu, i recytuje: Ty tłusta pierdolona kurwo, ty wstrętna tłusta pierdolona kurwo, ty wstręt-na pierdolona pierdolona pierdolona, a Heather włącza się: Tak tak nie proszę nie.

Nie wiedzieliśmy tego przedtem. Nawet Heather mówi, że nie wiedziała, bo właściwie to nie pamięta, musiała mieć totalny odjazd, nie dowierza, że to naprawdę była ona. Ale teraz wiemy, teraz widzimy i wierzymy. Nikogo z nas to nie szokuje. Większość ma zresztą coś takiego za sobą. Dla nas to nie nowina. Dla nas to już nie ma znaczenia.

Doktor wraca do palety i otwiera skalpelem płuca Roberta, a drogi oddechowe pchają mu się w ręce niczym korzenie wyrwane z ziemi.

Płuca: barwa zewnętrzna i wygląd w normie, ciężkie. Drogi oddechowe pozatykane krwią z zachłyś-

nięcia. W oskrzelach dużego i średniego kalibru osady smołowate, powstałe prawdopodobnie wskutek palenia tytoniu. Powiększone przestrzenie powietrzne w szczytach górnych płatów wskazują na prawdopodobieństwo rozedmy. Uwaga: tchawica oraz główne drogi oddechowe również zawierają krew.

Techniczka wkłada serce, płuca i wątrobę do czerwonego plastikowego worka, a fotograf robi kolejne zdjęcia, gdy doktor waży i poddaje sekcji na palcu pozostałe organy. Doktor pokazuje coś pozostałym, gestykulując skalpelem, a techniczka podchodzi do wydrążonego ciała Roberta i wyciąga długie pasma jelit, odcina je tępo zakończonymi nożycami i przenosi na stół roboczy. Rozkrawa jelita, płucze je nad zlewem i odkłada na bok. Doktor znowu coś mówi, a stażysta notuje na białej tablicy.

Żołądek: wygląd zewnętrzny i barwa w normie, skurczony, brak zawartości pożywienia. Jelito cienkie również bez treści pokarmowej; w końcowym fragmencie jelita grubego substancja fekalna; wniosek: zmarły nie przyjmował żadnych pokarmów przez dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin poprzedzających zgon.

Siedzimy z boku i rozmawiamy ściszonymi głosami, spoglądając na niego, i ktoś nastawia jego ulubioną płytę, Neila Younga, który śpiewa będę cię

posuwał aż do rana, a ktoś inny wraca z kuchni z talerzem kanapek z szynką, ogórkiem i twarożkiem wiejskim, pokrojonych na małe trójkąty. Talerz okrąża pokój, a gdy ktoś mówi: Nie, dziękuję, ja nie mogę, ktoś inny perswaduje: No coś ty, musisz, trzeba nabrać siły, *la*. I zapalamy więcej świec. A co kurde.

Ludziom się zdaje, że to jest tak, jak być głodnym, ale to że zwyczajnym głodem nie ma nic wspólnego. Żarcie zawsze można znaleźć, jak się chce. Są punkty z zupą, i ośrodki dzienne, i schroniska, i w ogóle. Żarcie dużo nie kosztuje. Żarcie nawet nic nie kosztuje, jak się wie, gdzie go szukać. Bez żarcia można się obejść parę dni, a nawet dłużej, jak jest wiadomo co, co trzeba wpierw skombinować. Jak się nastukasz. Żarcie nic nie da, jak przychodzą drgawki, a jak człowiek jest nastukany, to o żarcie nie dba. Ale Robert zawsze lubił sobie podjeść, jeszcze jak. Stale kogoś wysyłał po coś do żarcia. Pizze, kebaby i takie tam. Skąd brał pieniądze, nie wiadomo, ale żarcia u niego nigdy nie brakowało. Coś musiało się zdarzyć, że nie jadł przez dwadzieścia cztery godziny. Coś musiało pójść nie tak. Dużo było dociekań, skąd on może brać pieniądze, że mu nigdy nie zabraknie jedzenia i picia. Jacyś gówniarze próbowali go raz okraść, ale znaleźli przy nim tylko dziesiątaka. Pamiętacie, nie. Jak się z nimi rozprawiliśmy, to więcej nie próbowali. Gdzieś musiał Robert dobrze schować ten szmal. Lubiał podjeść, to jest fakt.

Gówniarze musieli obserwować i czekać, aż wszyscy wyjdziemy, bo dopadli Roberta, jak był w domu sam, a nieczęsto zostawialiśmy go samego. Mówił, że lubi towarzystwo. Dał im wszystko, co znaleźli, dziesiątaka, kilka fajek i flaszkę jabcoka, a przy okazji, jak go tłukli, dobrze im się przyjrzał, no i jak tylko wróciliśmy, powiedział nam, co to byli za jedni. Pamiętacie, nie. Była między nami taka, jak to się mówi, niepisana umowa. Robert nam pozwalał przesiadywać w swoim domu i robić, co się komu podobało, także nocować, jak trzeba, a myśmy w zamian go pilnowali. Wyrzucaliśmy ludzi, których u siebie nie chciał. Wyrównywaliśmy jego długi. No i znaleźliśmy tych gnoi, co go chcieli oskubać, poszliśmy za nimi do przejścia podziemnego koło kanału i o mało nie poprzetrącaliśmy im nóg za pomocą krótkiej sztachety, którą Ben znalazł po drodze. Tylko dwóch ich było, więc poszło nam łatwo. Pewne rzeczy załatwialiśmy za Roberta i to była jedna z nich.

Nie powinno go tu być. Nie powinno nas tu być. On powinien leżeć w jakimś kurwa domu pogrzebowym czy czymś takim, w wystawionej trumnie, otoczony kwiatami, świecami i muzyką. My powinniśmy tam przyjść, by oddać mu hołd, zamiast tego tutaj. Kto go teraz ułoży pięknie w trumnie. Dokąd go zabiorą. W jakim on jest stanie, co ta banda z nim zrobiła. A skąd trumna, w której go stąd wywiozą,

a kto go pochowa, a kto za to zapłaci. Przecież nikt nie ściągnie tu Yvonne. Nie teraz, kiedy mieszka tak daleko. Rodzice Roberta dawno nie żyją. Czy odszukają Laurę, czy ktokolwiek wie, kim ona jest. Ktoś musi zająć się ciałem, pochować je, odmówić jakie trzeba modlitwy i tak dalej. On nie powinien być tutaj, w ogóle kurwa nie powinien tutaj być. Nas też tu nie powinno być.

Zawsze w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie. W niewłaściwym kurwa ciele, w niewłaściwej skórze.

A pamiętacie, co Laura kiedyś powiedziała, że chciałyby otrzymać nowe ciało, chciałyby zacząć wszystko od nowa w nowym ciele, całe życie od początku. Tak się nie da, ale ona tak chciała. Wtedy jak Danny ją znalazł. Jak już nie miała ani jednej żyły, w każdym razie tak jej się zdawało. Siedziała tak od godziny i próbowała się gdzieś wkłuć, sama jak palec, dźgała igłą miejsce przy miejscu, żeby trafić w którąkolwiek z zapadniętych, zszarganych żył; usiłowała szukać nowej żyły głębiej, ale igłę miała za krótką. Dźgała i coraz bardziej wpadała w rozpacz, coraz bardziej panikowała. Danny natknął się na nią przy śmietniku za schroniskiem i w pierwszej chwili pomyślał, że się pochłastała. Tyle tam było krwi. Wyglądało to tak, jakby krwawiła na całym ciele. Płakała, klęła i jęczała: Danny, kurwa, Danny, co ja teraz zrobię? Drapała się po szyi, szar-

pała za włosy, i dalej: Danny, ja tu już z rok próbuję i nic z tego. Co ja kurwa zrobiłam? Zimna, blada, dygot nią telepie taki straszny, że prawie go słyszeć. Całe ręce we krwi, a zaraz i Danny'ego ręce całe we krwi, jak jej próbował pomóc znaleźć żyłę. Głosił takim cienkim i zmęczonym skamlała: Danny, kurwa, co jest, co ja mam, ja chyba muszę zacząć wszystko od początku, no nie. Ja wcale nie chcę przestać, ale może nie mam wyjścia. Danny w końcu poddał się i poszedł szukać Mike'a, przyszedł Mike i raz dwa wjechał Laurze w szyję, ale ją ostrzegł: Sama tego nie rób, *la*, bo trzeba widzieć, gdzie się daje, łatwo jest utrafić w tętnicę, czaisz, co mówię. A wtedy koniec gry i nie ma ratunku. Laura oczy do góry, gapi się przez Mike'a jak przez powietrze, łzy jej wzbierają i wstrzymuje oddech, kiedy Mike wbija igłę. Czepia się jego ramion, żeby utrzymać równowagę, jakby Mike był jej jedyną nadzieją, czy co. Jakby to on był tym, który jej może sfabrykować nowe ciało. Nowe ciało i co jeszcze, nie. Nowe niebo i tak dalej. Wszystkim, czego Laura pragnęła, była jedna żyła. Jeszcze jedna szansa na zaczęcie od początku.

Ben się z niej śmiał, gdy tak mówiła. Nie ma takiej opcji, jeszcze czego, nikt nie dostaje drugiej szansy, a kto twierdzi inaczej, ten pieprzy głupoty. Śmiał się, jakby usłyszał dobry żart, ale sam nie żartował. O nie. Odgarniając włosy z oczu, siąkając no-

sem i wycierając smarki wierzchem dłoni. Nikt nie ma szansy na drugi raz. Gdzie to było. Pamiętacie, nie. Gdzie byliśmy wtedy jak. Wspinaliśmy się na garaże na zapleczu domu Roberta, żeby wejść do środka, bo Robert nie był już w stanie dojść do frontowych drzwi i nam otworzyć. Mike podsadzał Danny'ego, a Benny gadał z Laurą, czekając na swoją kolejkę, Einstein tymczasem obwąchiwała drzwi garażu. Kilka dni raptem minęło, odkąd Mike pomógł Laurze wjechać w żyłę na szyi, a ona już rozprawiała o drugiej szansie. Może jak trochę odpuszczę, to będę mogła zacząć od nowa, jak się wszystko zagoi, powiedziała. Staruszka w kapciach imitujących tygrysie łapy wyprowadzała psa wzdłuż krawędzi zespołu boisk i dziwnie na nich patrzyła, jakby coś kombinowali. Ta baba i ten jej szczirowaty yorkshire terrier w kraciastym kubraczku; Mike ją zagadnął, że jakby chciała, to on może im zrobić zdjęcie, na co babcia zmyła się pospiesznie, szurając kapciami. Kiedy to było. Laura powiedziała: Co ty się tu wymądrzasz o drugich razach i w ogóle, co ty możesz wiedzieć, za młody jesteś nawet na pierwszy raz. No nie wiem, Laura, odpowiedział, uśmiechając się jeszcze bardziej niż zwykle, jednak jestem dość dorosły, dość dorosły na to i owo. Roześmiała się i chciała go trzepnąć w głowę, ale się uchylił, chwycił ją za nadgarstek i wycedził: Ani się waż, ani się kurwa waż. Zbliżył twarz do jej twarzy, ale w ostat-

niej chwili nie powiedział tego, co chciał powiedzieć, tylko przysunął jeszcze bliżej twarz, aż zetknęli się czołami, i wtedy Laura się odsunęła i kazała mu spierdalać. Trochę się oboje zadyszeli, a babcia z yorkiem znowu się na nich gapiła, Mike i Danny tymczasem zniknęli z dachu garażu. I znowu ten uśmiešek, i Ben mówi: No wiesz, lepiej tego więcej nie rób, nie lubię dziewczyn, które biorą się do bicia, to nie pasuje. O czym on gadał. O co mu chodziło. Skąd mamy wiedzieć. Mike schyla się z krawędzi dachu garażu i wyciąga rękę, i mówi do nich: Włażcie tutaj, *la*, jest dość miejsca dla wszystkich, no włażcie. No i gramolą się przez kuchenne okno, a Robert siedzi w swoim fotelu i śmieje się z nich, takim głębokim śmiechem z brzucha, i woła: Oto nadciąga kawaleria! Oto nadciąga nasza pierdolona góraska odzież! Co przynieśliście dla wujka Roberta? Kiedy to było. Trzy dni przed Bożym Narodzeniem. No i co się wtedy stało.

Właśnie tego samego dnia Laura ściągnęła Danny'ego do swojego pokoju na pożegnalne grzanie. Przed czym ją właśnie ostrzegął jej kurator, no nie. Tłumaczył jej: Najważniejsze, żebyś trzymała się swojego scenariusza, Lauro, musisz być czysta, gdy zaczniesz kurację, nie ma czegoś takiego jak ostatecznie wzięcie, to się nie sprawdza, sama wiesz dobrze, że to się nie sprawdza. I dlatego Laura potem wpadła w panikę, płakała i w ogóle. Jak już wykopała

Danny'ego z pokoju i trochę oprzytomniała, to wpadła w skrajną panikę, myśląc, że znowu wszystko spieprzyła. Próbowwała dodzwonić się do swojego kuratora i wszystko wyjaśnić, ale za każdym razem słyszała: Nie ma go w tej chwili. Ubłagała personel schroniska, żeby go znaleźli, żeby zadzwonili do ośrodka rehabilitacyjnego i zadziałali w jej sprawie. Żeby mogła już teraz uzyskać pomoc. Była pewna, że zmarnowała swoją jedyną szansę, a tymczasem gdy wreszcie dodzwoniła się do kuratora, pierwsze jego słowa brzmiały: Spokojnie, Lauro, zawsze jest jeszcze jedna szansa. Tylko tym razem postarajmy się z niej skorzystać. I widocznie podzwonił gdzie trzeba, bo Laura nagle ocknęła się w pokoju, w którym siedział z nią kurator i jedna z pracownic schroniska, jak jej było, chyba Ruth, i kurator mówił: Okej, oto nasz plan. Przyjmą cię na kurację, i to w trybie przyspieszonym, możesz zgłosić się tam już jutro, na początek cię oczywiście odtrują. Do tego czasu najlepiej siedź u siebie w pokoju przed telewizorem, z nikim nie rozmawiaj, nikomu nie otwieraj. Ruth przyniesie ci posiłek i zaopiekuje się twoim telefonem komórkowym, a ty tam tylko siedź murem, dopóki rano nie przyjedzie po ciebie taksówka. Myślisz, że dasz radę? Laura płacze i w ogóle, kiwa głową, że tak, no a potem co. Wsiadła do taksówki z dwiema torbami ciuchów i pojechała za miasto do ośrodka rehabilitacyjnego, do tego domu na wsi wśród

wysokich drzew, z długim spadzistym trawnikiem. Prosto w słońce kurwa zachodzące pojechała, tak jest. Takie to łatwe. Po drodze wpadła do Roberta, żeby się pożegnać i tak dalej. I tak dalej.

Doktor ogląda się znad palety i mówi: Jenny, sądzę, że możemy kontynuować, tak? Jenny potwierdza skinieniem głowy i zbliża się z powrotem do ciała Roberta, do jego głowy. Wybiera nowy skalpel z tacy lśniących narzędzi i nacina poprzecznie głowę Roberta, przebijając się ostrzem przez kudłate czarne włosy, podrażnioną, zaczerwienioną skórę i cienką warstwę ciała; wreszcie czubek skalpela skrobie o kość czaszki. Tnie równo w poprzek, od ucha do ucha, po czym ściąga połówki skalpu, jakby obierała krwawą pomarańczę. Ujmuje piłę elektryczną, pochyla się w lekkim rozkroku i nacina dookoła czaszkę Roberta, przy której to czynności warcot i wizg piły na nowo wypełniają salę. Jenny odkłada piłę na bok i zdejmuje górną część czaszki z głowy Roberta.

Patrzemy na jego mózg, na mózg Roberta, kremowobiały i lśniący, miękki i ciężki, złożony z licznych fałdów jednolitego ciała, które niegdyś musowały kodem elektrycznym, wspomnieniami, wizjami i językiem, i wszystkim tym, czego Robert się nauczył w swoim krótkim i pokręconym życiu. Patrzemy na palce doktora wędrujące po mózgu Ro-

berta, ugniatające, dźgające, kreślące linie i figury, podczas gdy doktor zwraca się do reszty grupy, komentuje, zadaje pytania. Widzimy, jak te palce coś chwytają w głębi czaszki, widzimy, jak doktor delikatnie wyłuskuje matowy kawałek metalu wielkości pięćdziesięciopensówki. Unosi go pod światło, a fotograf robi zdjęcie, po czym wszyscy pozostali przekazują sobie odłamek z rąk do rąk, obracając go wielokrotnie w osłoniętych rękawiczkami dłoniach. Doktor rozgarnia włosy Roberta, nad uchem, za uchem, i dalej, aż po nasadę karku, aż znajduje wyblakłą bliznę, sierpowatą, lekko wypukłą, mniej więcej o średnicy pięćdziesięciopensówki. Detektyw puka w okienko i słyszymy jego głos z głośnika pod sufitem. Coś ciekawego? – pyta. Nie wiem, odpowiada doktor. Wygląda na jakiś szrapnel. Dosyć stary. Jak stary? – dopytuje się detektyw. Starszy od pana, ucina doktor, i detektyw wraca do swojej gazety. Techniczka bierze nóż o długim ostrzu i wsuwa go w głąb czaszki, aby przeciąć nasadę kręgosłupa. Wyjmuje mózg Roberta z jego głowy, umieszcza w plastikowej kuwecie i niesie do stołu sekcyjnego, gdzie go ważą, mierzą i wycinają z niego próbki, które zostaną przechowane w małych plastikowych pojemniczkach do dalszego badania. Asystent techniczki chowa metalowy odłamek do plastikowej saszetki, a doktor dyktuje dalsze uwagi.

Mózg: wygląd w normie, tkanka rozmięczona

wskutek rozkładu. Brak oznak krwotoku. Brązowe przebarwienie i blizna glejowa na niewielkiej powierzchni pośrodku dolnej części lewej półkuli, spowodowane prawdopodobnie uciskiem i/lub trwałą obecnością odłamka metalu o niewiadomym składzie i pochodzeniu. Odłamek odesłano do analizy. Historia zdrowia denata, gdy zostanie on zidentyfikowany, może dostarczyć bliższych informacji. Odłamek zdaje się korespondować z blizną w okolicy lewej strony podstawy czaszki denata, tuż ponad linią włosów; prawdopodobnie tędy odłamek dostał się do wnętrza czaszki.

Doktor odsuwa się od mózgu wyłożonego na palecie, ściąga zewnętrzne rękawiczki i podchodzi do białej tablicy. Czyta to, co zostało na niej zapisane, i pyta stażystę o ewentualne uwagi. Przez intercom znów rozlega się głos detektywa: No to skończyliśmy, tak? A doktor mówi: Sorry, Chris, żadnego wątku kryminalnego. Chyba żeby badanie toksykologiczne wykazało, że nasz dżentelmen został otruty arsenikiem. W takim wypadku winnym okaże się zapewne lokaj. Jenny kończy etykietowanie próbek pobranych z organów, tkanek i krwi Roberta, i wrzuca je do podpisanych plastikowych worków, oznakowanych nalepką o zagrożeniu życia. Próbki mózgu umieszcza w czerwonej plastikowej torbie, która stoi otwarta tuż obok. Upycha ciasno waciki w jamie czaszki, dopasowuje ścięty czubek i, mocno przycis-

kając, nakleja na niego obie połówki skalpu. Bierze z tacy igłę z nitką i zszywa skalp w całość, nachylna tuż nad nim, bez pośpiechu. Po skończeniu starannie zaczesuje na kropkowaną linię szwu włosy Roberta, a kiedy się odsuwa, jego głowa wygląda na prawie nietkniętą. Jenny przygląda jeszcze na niej sterczący włos. Podchodzi do palety sekcyjnej i umieszcza pozostałe organy Roberta w czerwonej torbie razem z mózgiem. Jelita wkłada do oddzielnej torby, po czym obydwie torby umieszcza w wyścielonej nagimi żebrami jamie klatki piersiowej Roberta. Bierze odpiłowaną część żeber ze stołu i wpasowuje na miejsce, naciąga otłuszczone płaty ciała ze skórą, sięga po igłę z nitką i zaszywa szczelnie ciało, pracując powoli i cierpliwie, podczas gdy pozostali rozmawiają przy tablicy, a kiedy kończy zadanie, jedynie delikatny szew w kształcie Y zdradza, że Robert był pokrojony na kawałki.

Wchodzi ktoś jeszcze, a my przysuwamy się bliżej do stołu, na którym leży Robert. Zapalamy więcej świec, kładziemy dłonie na jego ciele i zastanawiamy się, co więcej można powiedzieć. Ktoś pyta o formalności pogrzebowe. Mike mówi: Hej, tego, jest coś, co powinniście zobaczyć. Najlepiej wszyscy chodźcie i popatrzcie. Spoglądamy po sobie, wstajemy, wychodzimy za nim na dwór, na chłodny, rześki poranek, idziemy pustymi ulicami, zaglądając

w zaułki i otwarte garaże, pod wiadukty kolejowe, w tunele, we wnętrza opuszczonych domów, w podwórka biur i pubów, w podziemia wielopoziomowych parkingów, w pozamykane pokoje schronisk, w squaty nad sklepami, w połać dzikiej łąki koło Miller's Arms. A Mike mówi: Tam, widzicie go, tam jest Danny. Leży na zaszczanej podłodze budki telefonicznej. Einstein ujada, skamle i skacze na drzwi budki. Danny trzyma jeszcze w ręku cholerną strzykawkę, usta ma zbielełe, palce zakrzywione w szpony. Skulony leży na tej podłodze budki telefonicznej jak szczeniak w koszyku. Kituje. Czego każdy z nas też już kiedyś był blisko. Każdy z nas zbliżył się już kiedyś do tej krawędzi, która wcale nie jest krawędzią, tylko normalnym odpadnięciem od ziemi. Zawsze potem chce się tam powrócić, do tego miejsca spokoju. Do tego, kurwa, raj. Dać się wznieść, i tam się zatrzymać. Coraz więcej się mówi o wracaniu tam, poza uczucie, że znowu jest po prostu dobrze, dalej, do tego miejsca spokoju, a im więcej się mówi, tym bliżej jest się orbitowania. Które jest jak. Jak co. No jakby to powiedzieć, kurwa, jak najlepszy orgazm w życiu pomnożony przez sto. I jeszcze raz przez sto, i jeszcze raz, bez końca, aż szczytujesz raz po raz do utraty tchu, przestajesz myśleć, przestajesz widzieć, czuć, słyszeć cokolwiek, a życie uchodzi z ciebie wielkimi, ekstatycznymi wybuchami. I nawet wtedy daleko ci jeszcze, kurwa, do końca.

A Mike mówi: Hej, chodźcie, bo ja muszę gdzieś zdażyć. Więc schodzimy za nim ze wzgórza. Mijamy bloki Parkside i schodzimy pod most nad kanał, przełazimy przez śluzy, idziemy wzdłuż odnogi holowniczej, przeskakujemy ceglany mur i wspinamy się do mieszkania nad zabitym deskami sklepem. No i widzimy Steve'a. Leży na materacu w tym schludnym, pobielonym pokoju. Palcami bosych stóp celuje w sufit. Jego wysokie buty stoją równiutko z boku, a rozłożone skarpetki się suszą. Jedno ramię ma Steve przerzucone przez pierś, drugie zwisa mu poza materac, z brudną niegdyś ręką wylizaną do czysta. H leży na podłodze z łbem opartym na przednich łapach, czeka.

I widzimy też Mrówę. Wyciągniętego nieopodal na podłodze. Pomiędzy Mrówą a Steve'em cały sprzęt, starannie uporządkowany na kwadratowej czarnej szmatce. Ciało Mrówy sztywnieje i wiotczeje z powrotem, na naszych oczach. Muchy już się zlatują składać jajeczka w jego ustach, oczach, rozjątrzonych rankach po igle na całych ramionach.

A Mike znowu wychodzi, odwraca się do nas, przyzywa nas gestem i mamrocze: Chodźcie dalej, dobra, i idziemy za nim dalej wzdłuż kanału, przez wiadukty, aż na dworzec kolejowy i autobusowy, przy którym jest wielopoziomowy parking; tam, tupiąc hałaśliwie, schodzimy po betonowych schodach w podziemia. Myśleliście, że będą odpowiedzi. My-

śleliście, że podane zostaną powody. Kroczymy szybko po żłobkowanej betonowej podłodze, mijając szklaną budkę, w której parkingowi spędzają przerwy przy telewizorze, aż dochodzimy do samego końca, gdzie jest winda towarowa i pojemniki na ciężkich kołach. Myśleliście, że ktokolwiek zna się na tym wszystkim albo potrafi to wytłumaczyć. Mike przystaje i czeka, i wtedy dostrzegamy Bena. Skulony na ziemi, jakby właśnie zasnął. Jakby chciał przyjąć pozycję relaksującą, ale nie dał rady. Kałuża wymiocin przy jego zimnej jak gładz twarzy. Pusta strzykawka odrzucona na bok. To tylko zbieg okoliczności, no nie. To wszystko naraz. W tak krótkim czasie. Można sobie szukać powodów, jak kto chce, ale nic tu nie ma do wyjaśniania. Zawsze było wiadomo, że kiedyś tak się stanie, a to, że akurat teraz, nie jest ważne.

Idziemy dalej pustymi ulicami i wchodzimy do jeszcze jednego białego pokoju, gdzie nie wolno przyjmować gości, gdzie w poprzek łóżka powiewa długa biała zasłona, a na podłodze stoi torba z zakupami. Zatrzymujemy się w aneksie kuchennym w głębi pokoju i widzimy na blacie drugą torbę z zakupami. Okruchy grzanki na desce. Pocztówka i kolorowe czasopismo. Filiżanka wystygłej herbaty, zarastającej na naszych oczach fermentującą pleśnią. A gdy się odwracamy, widzimy Heather. Ciało już gnije, paskudny jest fetor śmierci. Klęczy sztywno

przy łóżku, z twarzą wciśniętą w materac. Jej ręce, czarne od krwi, zwisają po bokach. No to już wszyscy, tak. Doliczyliśmy się wszystkich.

A Mike mówi: Hej, chłopaki, no to ja spadam. Mam coś do roboty. Muszę zdążyć na autobus. Oglądamy się i patrzymy, i widzimy Mike'a, jak gadając cały czas przez komórkę, w długim płaszczu łopoczającym u kolan, wkracza na środek jezdni. Widzimy nadjeżdżający autobus, który zwalnia, ale się nie zatrzymuje, i Mike'a, który z rozłożonymi rękami mówi: Czuję się już znacznie lepiej, dziękuję. Wyraz twarzy kierowcy. Widzimy ambulans, i wóz policyjny, i szpitalne łóżko. Widzimy Mike'a, który mówi: Hej, kolego, chodź i popatrz na to, chodź tu z łaski swojej i popatrz na rzeczy, które ja widziałem. Muszę zdążyć na autobus. Nawet tego nie potrafił.

Myją go ponownie, czeszą, zsuwają na długi metalowy wózek. Okrywają jego ciało cienkim bawełnianym całunem, mocując brzegi wokół szyi i nadgarstków, po czym zawijają go w długie białe prześcieradło. Już go przewieźli do sąsiedniej sali, już go zamknęli za jednymi z ciężkich metalowych drzwi. Podpisują następne formularze. Asystent techniczki zabiera wózek z foliowymi workami próbek – plastrów mózgu Roberta, jego serca, wątroby, nerek

i płuc, ścinków włosów i paznokci, fiolek ze szerniałą krwią – i przetacza go korytarzem do stołu pod zamkniętym klapą okienkiem w ścianie, przez które próbki zostaną odebrane, by następnie trafić do laboratorium. Potem wszyscy się rozbierają, ściągają rękawice, ochronne zarekawki i fartuchy, i długo szorują ręce nad głębokimi zlewami z nierdzewnej stali. Przechodzą do mieszczących się obok pryszniców, skąd po chwili słychać szum mocnych strumieni parującej wody, wykrzykiwane rozmowy, łopot czystych białych ręczników. A podczas gdy inni się jeszcze ubierają, doktor już idzie do swojego gabinetu i zaczyna spisywać raport. Zaglądamy mu przez ramię, ale trudno nam rozszyfrować jego charakter pisma, a nawet po odczytaniu trudno pojąć treść. Doktor spogląda przez okienko na uwagi zanotowane na białej tablicy, po czym kontynuuje wypełnianie formularzy. My też patrzymy przez okienko, na pusty stalowy stół, z powrotem już czysty, ze zwiniętym szlauchem, rynienkami odprowadzającymi i uciszonymi wentylatorami. Doktor przestaje pisać, odkłada na bok plik akt, i idzie na górę, aby razem z pozostałymi spożyć lunch.

Czekamy, dniami i tygodniami, w tym pozbawionym życia pomieszczeniu, z Robertem za ciężkimi stalowymi drzwiami. Przychodzą wyniki z labora-

torium, patrzymy doktorowi przez ramię, gdy wypełnia puste miejsca w swoim raporcie. Powinniśmy już odejść. Powinniśmy być w stanie zrobić coś więcej. Słyszymy liczne kroki z długiego korytarza na zewnątrz. Klucze, głosy, szczęk zamków. Otwierają ciężkie stalowe drzwi i zsuwają Roberta na nowy wózek, odwijając rąbek białego całunu tak, by odsłonić samą twarz. Przetaczają go do innej sali. Idziemy za nimi. Światło jest tam przyćmione. Grube kotary, wygodne krzesła pod ścianą, obok krzeseł pudełko jednorazowych chusteczek. Kładą w poprzek ciała ciężką, haftowaną kapę. Kapa zwisa po obu stronach aż do podłogi. Co to jest. Wychodzą, wchodzi z powrotem, i widzimy Laurę, i policjanta, młodszego z tych, którzy byli w mieszkaniu. Stoją w głębi sali, rozmawiają. Laura wychodzi naprzód, a my usuwamy się na bok, żeby ich przepuścić. Czy ona jest na to gotowa. Widzi go, zatrzymuje się, podchodzi bliżej, przygląda się, kiwa głową, coś mówi. Mówi coś do policjanta, a on jej dziękuje i wycofuje się. My wszyscy też się wycofujemy. Zostawiamy Laurę samą przy nim. Wpatruje się w jego zimną twarz bez wyrazu. Omiata spojrzeniem całe ciało. Wyciąga ręce, które zawisają nad Robertem. Coś mówi. Podnosi rękę, trzyma ją w górze i coś mówi. Jeden z mężczyzn stojących przy drzwiach zerka na policjanta i daje mu znak oczami. Policjant podchodzi do Laury i dotyka jej ręki, Laura się odwraca. I już ich nie

ma, drzwi się za nimi zamykają z cichym kliknięciem. A Robert leży samotnie na wózku, w pokoju tętniącym jeszcze echem drobnych ruchów jej rąk, jej spazmatycznych oddechów, jej szeptu, kiedy mówiła: Tak, to on.

PIĘĆ

Wywożą jego ciało na skraj miasta i rzucają go w ogień.

Co teraz mamy robić.

Idziemy za nimi i zostajemy przy Robercie, a gdy ktoś bierze raport doktora i wychodzi, śledzimy go, żeby zobaczyć, dokąd się udaje. I znajdujemy się w pustym pomieszczeniu. Wpychamy się tam i siadamy z tyłu. Co to jest za miejsce. Długie i wąskie. Rzędy wyściełanych niebieskich krzeseł. W głębi podium z żaluzjowym biurkiem i ciężkim rzeźbionym krzesłem, nad tym jakiś herb podobny do lwa z jednorożcem. Po jednej stronie stół z maszyną do pisania i ryżą papieru. W rogu rozrośnięta, przywiedła zielistka i kilka zapasowych krzeseł. Drugi stół na wprost podwyższenia, z drugą ryżą papieru i pudełkiem jednorazowych chusteczek. Jedna chusteczka już wystaje. Na ścianie za nami zegar. Wiercimy się na krzesłach.

Ktoś, kobieta, wchodzi przez boczne drzwi, z dzbankiem wody, kilkoma plastikowymi kubkami i plikiem papierów. Ustawia dzbanek i kubki na stoliku z maszyną do pisania, a papiery rozkłada po blacie żaluzjowego biurka. Światło pada do środka przez łukowato zwieńczone okna wzdłuż całej jednej ściany. Prążkowane skośnymi paskami żaluzji. Na zewnątrz autobusy pędzą z hurgotem po głównej ulicy. Słyszymy głosy, drzwi się otwierają i ta sama kobieta powraca przez nie z policjantem, który pierwszy znalazł Roberta. Pokazuje mu, gdzie ma usiąść, i wychodzi. Policjant się rozgląda. Na kolanach trzyma notes, zakłada nogę na nogę. Drzwi otwierają się ponownie i ta sama kobieta wchodzi z Laurą, pokazuje jej, gdzie ma usiąść. Mówi tylko: Proszę wstać, sąd idzie.

KORONER: Dziękuję. Proszę usiąść.

Przed rozpoczęciem tej porannej sesji chciałabym państwu pokrótce objaśnić procedurę procesu i moją w nim rolę jako koronera.

To nie jest rozprawa kryminalna; nie staje przed nami oskarżony i nikogo nie zamierzamy oskarżać o spowodowanie śmierci pana Roberta Radcliffe'a.

Jesteśmy tutaj, aby zbadać fakty, odnotować je i odpowiedzieć na cztery pytania, które z racji wymogu prawnego mam obowiązek postawić: kim był zmarły, gdzie zmarł, kiedy nastąpił zgon, i w jaki sposób

doszło do śmierci. Odpowiedzi na te pytania złożą się na werdykt niniejszego dochodzenia. W trakcie ustalania werdyktu będę prosiła świadków o podejście do stanowiska i udzielenie odpowiedzi na wszelkie moje pytania dotyczące okoliczności śmierci pana Radcliffe'a. Prawo zezwala mi także na dopuszczenie tak zwanych Osób Zasadnie Zainteresowanych do zadania świadkom dodatkowych pytań, gdyby wyraziły takie życzenie. Dla potrzeb naszej dzisiejszej rozprawy, za Osobę Zasadnie Zainteresowaną uznajemy Laurę Radcliffe, krewną zmarłego.

Czy na tym etapie są jakieś pytania?

Co teraz mamy robić. Dokąd pójść. Czy ktokolwiek z nas przypuszczał, że to tak będzie. Kiedy zaczęliśmy. Gdy Laura zaczynała, czy przypuszczała, że to będzie tak. Czy przypuszczała, że skończy w tym miejscu. Gdy zaczynała. Kiedy gotowa była spróbować wszystkiego. Kiedy zdawało jej się, że zrobi dosłownie wszystko, jedynie po to, żeby udowodnić mamie i Paulowi, że nie mają prawa tak mówić. Kiedy mówili jej: My chcemy tylko twojego dobra. I takie tam. Ale co to było naprawdę, czy to było to. Czegoś więcej trzeba niż tylko to. Łatwo zważyć winę na złe środowisko, ale teraz to już nie ma żadnego znaczenia.

KORONER: ...aby potwierdzić, że osobie zmarłej przysługuje prawo pełnego i otwartego ujawnienia faktów w formie publicznej. Mogą państwo zauważyć nieobecność dziennikarzy i publiczności na dzisiejszej porannej sesji sądu, lecz mimo to jest to formalnie rozprawa otwarta i to, co dzisiaj zostanie powiedziane na tej sali, będzie podane do publicznej wiadomości. [Mam pytanie do panny Radcliffe: czy ma pani jakieś obiekcje przeciwko temu, żebym zwracała się do niej po imieniu? *(Niestyszalna odpowiedź)* Dziękuję.]

Mamy pewien obowiązek wobec zmarłego i ufam, że ty, Lauro, jako jego córka, dojdiesz do przeświadczenia, że niniejszy sąd czyni wszystko, aby się z tego obowiązku wywiązać.

Dodam jeszcze, naturalnie, że jakkolwiek zgromadziliśmy się tutaj dla wypełnienia ważnego zadania, czynimy to w kontekście żałoby po śmierci pana Radcliffe'a, z racji której wyrażam w imieniu sądu szczerą kondolencję dla ciebie, Lauro, dziękując ci zarazem za przybycie w tak niewątpliwie trudnym i przygnębiającym dla ciebie momencie.

Co teraz mamy robić. Dokąd pójść. Siedzimy w ostatnim rzędzie sali rozpraw i słuchamy wszystkiego, co się tam mówi. Siedzimy w zimnym, ciemnym pomieszczeniu i czekamy, aż ktoś wróci po je-

go ciało. Ktoś przecież wróci. Ktoś musi. Ktoś musi coś z nim teraz zrobić. Zabrać go stąd. Teraz już wiedzą. Czytamy raporty, przeglądamy notatki, zdjęcia, odcyfrowujemy stenogram rozprawy wektnięty między akta. Siedzimy i patrzymy na Laurę. W sali sądowej. W pierwszym rzędzie miękkich niebieskich krzesel. Siedzi z rękami wciśniętymi w podolek, wychylona do przodu, jakby chciała lepiej widzieć osobę sędziego. Koronera, sędziego, jak zwał, tak zwał. Słyszymy kroki z długiego korytarza na zewnątrz. Głosy. Klucze. Szczęk zamków. Długi metalowy wózek zostaje wprowadzony do sali i mężczyźni, którzy odjechali furgonetką z ciemnymi szymbami spod domu Roberta, zjawiają się ponownie, żeby go zabrać. Wytaczają go zza ciężkich drzwi i zsuwają na wózek, podpisują szereg formularzy, po czym pchają wózek korytarzem do wahadłowych drzwi i wywożą na poranne słońce, zalewające długą betonową rampę. Idziemy z nimi. Co innego mamy robić.

KORONER: ...do pierwszego z czterech pytań: kto zmarł? Przytoczę fragment raportu sporządzonego przez jednego z uczestniczących w dochodzeniu funkcjonariuszy.

Tożsamość zmarłego nie była oczywista w momencie znalezienia ciała: mimo iż denat znaleziony

został we własnym mieszkaniu, nic nie potwierdzało, że to on właśnie jest formalnym właścicielem lokalu, nie stwierdzono też przy denacie żadnego dokumentu tożsamości. Znaczną liczbę papierów znaleziono pod materacem łóżka w jednej z sypialni, były to w większości dokumenty związane z pobieraniem zasiłków; ponieważ jednak figurowało w nich więcej niż jedno nazwisko, przedstawiały znikomą wartość dowodową.

Najbliższa sąsiadka denata oświadczyła, że nie zna nazwiska żadnej z osób, które mieszkały czy też gromadziły się w rzeczonym mieszkaniu, odmówiła także identyfikacji ciała. Wydział kwaterunkowy poinformował nas, że lokal jest niezamieszkały i czeka na remont, po eksmisji ostatniego lokatora, która miała miejsce przed kilku laty. Nazwisko rzekomo eksmitowanego lokatora było jednobrzmiące z nazwiskiem figurującym w jednym z dokumentów zasiłkowych, znalezionych w mieszkaniu: Robert John Radcliffe.

W tym punkcie dochodzenia funkcjonariusze podjęli próbę uzyskania karty dentystycznej Roberta Radcliffe'a, która jednak okazała się nieosiągalna. Tymczasem w kryminalnej bazie danych wykryto pasujący do denata zestaw odcisków palców, jednakże pod innym imieniem i nazwiskiem, zbieżnym, choć nie identycznym, z jednym z pozostałych nazwisk figurujących w dokumentach zasiłkowych znalezionych w mieszkaniu denata.

Wszystko wskazywało na to, że jakkolwiek trudno jest umrzeć bez tożsamości w nowoczesnym zbiurokratyzowanym państwie, takim jak nasze, to umrzeć z mnogą tożsamością jest niezmiernie łatwo, chociaż nie mniej problematycznie.

A jednak dalsze śledztwo doprowadziło nas ostatecznie do Laury Radcliffe, przebywającej wówczas na oddziale odwykowym ośrodka rehabilitacyjnego dla narkomanów, która stawiała się następnie w kostnicy komunalnej i zidentyfikowała ciało swojego ojca, za spełnienie którego to przykrego obowiązku sąd niniejszym dziękuje ci, Lauro.

Mamy zatem odpowiedź na nasze pierwsze pytanie: pełne imię i nazwisko zmarłego brzmi Robert John Radcliffe, zamieszkiwał on w lokalu numer jeden osiedla Riverview Gardens, urodził się natomiast, wedle metryki, dwunastego listopada tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego pierwszego roku, w Leeds.

Gdzie ona poszła. Dlaczego nie wróciła więcej do mieszkania, chociaż wiedziała, że on czeka. Jak mogła tak po prostu zapomnieć. Jak mogła pozwolić komuś innemu. Czyżby usiłowała. Czyżby chciała go skłonić. Siedzimy i patrzymy na jego ciało w tylnej części furgonetki. Chcielibyśmy go zapytać, ale nie możemy. Czy wróciła. Czy go jeszcze widziała. Czy wdrapała się raz jeszcze przez okno i powiedziała:

Tato, wróciłam, ale nic ci nie przyniosłam, nic dla ciebie nie mam. Będziesz musiał poczekać na kogoś innego. Czy tak było. Czy tak to się rozegrało. Czy on podniósł na nią oczy i błagalnym głosem spytał: Laura, co z tobą jest, do jasnej cholery, przecież ja ciebie potrzebuję, musisz mi pomóc. A ona co. Czy wytrzymała jego wzrok, jak długo się dało, i powiedziała: Tato, ja ciebie potrzebowałam przez bardzo długi czas, żebyś wiedział jak długo, a gdzie ty byłeś. Co robiłeś. Siedziałeś tutaj, rozczulając się nad sobą i zapijając się na śmierć ze swoimi tak zwanymi, kurwa, kumplami. Czy raczej tylko chciała mu tak powiedzieć. Czy teraz jest zadowolona, że tego nie zrobiła. Czy on powiedział: Lauro kochana, ja jeszcze nie umarłem. Czy powiedział: Lauro, nie odchodź. Czy powiedział: Zobaczysz, przestanę pić, od tej chwili. Już tak robiłem parę razy. Jak ci to tak przeszkadza, to przestanę natychmiast. Zobaczysz. Czy tak było. Czy ona wylazła z powrotem przez okno, zanim on jeszcze skończył mówić: Laura, nie idź, co ty robisz. Czy to były ostatnie słowa, jakie od niego usłyszała. Czy tak było. Czy ona może teraz wymazać to wspomnienie z pamięci. Czy zdoła je wymazać kiedykolwiek.

KORONER: ...że ciało znalezione zostało w salonie mieszkania numer jeden osiedla Riverview Gardens,

czego bliższe szczegóły usłyszymy w swoim czasie w relacji posterunkowego Nelsona, i że jedyne drzwi prowadzące do tego mieszkania były zaryglowane od wewnątrz. To nasuwa przypuszczenie, że pan Radcliffe mógł umrzeć tylko w mieszkaniu.

Aliści, dowiemy się również, że okno kuchni, wychodzące na dachy garaży w bocznej ścianie budynku, było uchylone, a zatem ktoś mógł wchodzić do mieszkania lub wychodzić z niego tą drogą. Co więcej, od Laury usłyszymy, że ona sama uczyniła to tuż przed śmiercią pana Radcliffe'a.

Możliwe jest zatem, że ktoś wniósł ciało pana Radcliffe'a do mieszkania, zaryglował drzwi od wewnątrz i wyszedł przez kuchenne okno. Jednakże dowody z miejsca zdarzenia potwierdzają przypuszczenie, że pan Radcliffe zmarł w tym miejscu, w którym znaleziono jego ciało: nie stwierdzono, na przykład, niezgodności pomiędzy rozmieszczeniem ognisk rozkładu a ułożeniem zwłok, nie wykryto też śladów na ubraniu ani uszkodzeń ciała, które świadczyłyby o tym, że było ono ciągnięte lub przenoszone po śmierci.

Co więcej, jako że pan Radcliffe był mężczyzną słusznej budowy, przeniesienie bądź przeciągnięcie jego ciała po śmierci byłoby zadaniem dość trudnym; ponadto, podejrzenie, że ciało po śmierci uległo przemieszczeniu, sugerowałoby działanie przestępcze, podczas gdy znamion takiego działania, któ-

re mogłoby stać się przyczyną śmierci, nie wykryto ani w sekcji zwłok, ani w dochodzeniu policyjnym.

Stwierdzam zatem, że Robert John Radcliffe zmarł w salonie mieszkania numer jeden osiedla Riverview Gardens.

Laura siedzi na sali sądowej i usiłuje słuchać z uwagą. Skóra ją swędzi i piecze. Ręce wcisnęła między uda, bo wie, że gdy raz zacznie się drapać, to już nie przestanie. Powinna była zostać na odwyku. Ale za dużo się działo. Jej tata i cała reszta. Za dużo naraz. I w niewłaściwym czasie. Teraz długo poczeka, żeby ją z powrotem przyjęli, skoro się wypisała na własną prośbę. No ale może oni jednak. Ma na swoje usprawiedliwienie te, no, okoliczności łagodzące, nie. Trochę to potrwa, ale wróci. Musi. Co jej innego pozostało. Przecież nie może tak żyć wiecznie. W kościach jej strzyka, gdy poprawia się na krześle. Czy przypuszczała, kiedy zaczynała, że to będzie tak. Albo my. Kiedyśmy zaczynali. Czy widziała siebie tutaj. Albo ktokolwiek z nas, czy się tutaj widział. Czy raczej uważaliśmy się za błogosławionych wybrańców, którym uda się przemknąć przez oka sieci. Albo za potępieńców, którym nawet nie warto próbować. Czy tak było. A gdy Laura leżała z Danym na łóżku, wtedy ostatnim razem, czy napraw-

dę sądziła, że z tego wyjdzie. Czy wierzyła, że zaszyje się na rok w ośrodku zamkniętym na wsi i sprawa będzie rozwiązana. Że zostanie uzdrowiona, oczyszczona, że jej łzy zostaną otarte, no mniej więcej coś w tym stylu. Właśnie to miał na myśli Danny, jak się z niej wyśmiewał, jak mówił: Laura, stara, to nie jest takie proste. Tu trzeba czegoś więcej niż świeżego powietrza i gadki o oczyszczeniu i trwałej czystości. Gdy leżeli razem na łóżku. Czy ona w ogóle wiedziała, czego on wtedy od niej chciał. No bo owszem, lubiła go, ale nigdy. Fakt, że raz czy dwa byli blisko, poobmacywali się trochę, ale przecież nigdy. A może Laura nie miała nic przeciwko temu, tylko nie była to dla niej najważniejsza sprawa. Może Danny figurował na jej liście rzeczy do załatwienia, kiedy już będzie czysta. Studia, mieszkanie, poranna filiżanka herbaty, Danny. Czy tak było. Czy może raczej miała w głowie Mike'a. Czy przez ten cały czas czekała na Mike'a. Czy wciąż na niego czeka. Z pełnym zestawem: czystą białą pościelą, zapachem kawy, listonoszem oznajmającym się gwizdkiem, dużym pustym domem i samochodami na podjeździe. A może jednak to był Danny i jego.

KORONER: ...że po raz ostatni widziała ojca żywego po południu dnia dwudziestego drugiego grudnia, natomiast od posterunkowego Nelsona dowie-

my się, że ciało pana Radcliffe'a znaleziono dnia trzydziestego pierwszego grudnia.

Możemy zatem wnioskować, że śmierć miała miejsce w wyznaczonym tymi datami okresie dziewięciu dni. Patolog z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych stwierdził, że zgon nastąpił najprawdopodobniej pomiędzy piątym a dziewiątym dniem, licząc wstecz od daty znalezienia ciała.

Zatem datę śmierci ustalić można w przybliżeniu na któryś z dni pomiędzy dwudziestym drugim grudnia, kiedy ostatnio widziano denata żywego, a dwudziestym szóstym grudnia.

Jest to najdokładniejsze ustalenie, jakie możemy poczynić, na dzień dzisiejszy.

Patrzemy na Roberta. Słuchamy sędzi, obserwujemy policjanta i stoimy pod drzwiami mieszkania, czekając, aż ktoś przyjdzie i wyważy je kopniakiem. I chcielibyśmy zapytać. Co się właściwie wydarzyło. Co było ostatnią rzeczą, jaką widziałeś. Czy to była Laura wychodząca przez okno. Czy ktoś inny. Czy tam był ktoś inny. Czy Mike powrócił. Czy przyniósł ci cokolwiek. Czy próbował wydebić. Czy zaczął cię nagabywać, gdzie trzymasz forszę, twierdząc, że jesteś mu winien ileś tam. I właśnie przyszła, koleś, pora spłaty długu. Czy było tak. Czy Mike tak zrobił. Nie podnosząc głosu ani nic, ale jednak. Pa-

trząc ci w oczy. Podrywając cię siłą na nogi itepe. Dając ci w twarz itepe. Czy było właśnie tak. Zawsze wyglądał na takiego, co może zrobić krzywdę. Zawsze był blisko tej granicy, ale koniec na tym. Czy jednak. Czy ty w ogóle miałeś jakieś pieniądze, które mógłbyś mu dać, chcemy spytać. Jaka furia, jaka panika w jego głosie. I te kościste piąstki. Ktoś mówi: Dołóż mu, rozpraw się z nim raz a dobrze. Czy tak było. Czy to Mike. Czego on nie wygaduje, jak się kogoś uczepli. Ja cię załatwię. Ja cię wdepczę w głębę. Jak przyjdzie co do czego, to ci *la* wyrznę serce. Pięści zaciska, cały kurwa drży. Wielu próbowało i wielu się nabrało, czaisz, co mówię, ja was wszystkich przechytrzę, wszystkich was przechytrzę. Takie tam. Ja się nie dam *la*, jak mnie pchniesz na ziemię, to ja znowu wstanę, i będę tak wstawał i wstawał bez końca, przekonasz się, stary, będę górą, będę górą, tak jest. No takie tam. Miał gadane, no nie. Czy wlaźł przez okno do mieszkania i tak dalej. Czy rozmawiał przez telefon, odbierał polecenia i tak dalej. Ale Mike nigdy wcześniej czegoś podobnego nie zrobił. Dużo gadał, ale nigdy. Jedyną poważniejszą krzywdę, jaką wyrządził w życiu, wyrządził sobie. Nożami, igłami i papierosami. Tnąc się, kłując i przypalając. Reszta to tylko pusta gadka. No ale mógł. Tak czy nie. A co mu Robert odpowiedział. Gdy Mike tak nad nim stał, jakby miał zaraz. Czy tak było.

KORONER: ...część odpowiedzi na to pytanie wyłoni się z raportu patologa, po który sięgnę w stosownym czasie. Przedtem jednak chciałabym podsumować, po pierwsze, okoliczności towarzyszące znalezieniu ciała pana Radcliffe'a, a po drugie, okoliczności towarzyszące jego życiu w dniach i tygodniach poprzedzających śmierć. Wzywam zatem pierwszego z dzisiejszych świadków do złożenia zeznań.

WOŹNY SĄDOWY: Posterunkowy Nelson, proszę.

Proszę położyć lewą dłoń na Biblii i odczytać na głos tekst wypisany na tabliczce.

POSTERUNKOWY NELSON: Przysięgam uroczyście, że będę mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę, tak mi dopomóż Bóg.

WOŹNY SĄDOWY: Dziękuję. Proszę zająć miejsce.

KORONER: Dziękuję. Czy świadek zechce na początek podać swoje imię i nazwisko oraz zawód.

POSTERUNKOWY NELSON: Thomas Craig Nelson, posterunkowy policji.

KORONER: Dziękuję. Jak rozumiem, to pan był pierwszym asystentem policyjnym przy znalezieniu ciała pana Radcliffe'a w dniu trzydziestym pierwszym grudnia ubiegłego roku?

POSTERUNKOWY NELSON: Tak jest, wysoki sędzie. Wkroczyliśmy na posesję we dwóch, ja i sierżant Forbes, ale jako że ja pierwszy zlokalizowałem ciało denata, wyznaczono mi rolę pierwszego asystenta policyjnego.

KORONER: Która to rola pociąga za sobą specyficzne obowiązki.

POSTERUNKOWY NELSON: Tak jest.

KORONER: Mam przed sobą kopię raportu sporządzonego na podstawie pańskich notatek z miejsca zdarzenia. Zechce pan odczytać sądowi odpowiedni ich fragment? Od początku do momentu pojawienia się funkcjonariuszy z wydziału kryminalnego.

POSTERUNKOWY NELSON: Oczywiście. Sierżant Forbes i ja otrzymaliśmy polecenie sprawdzenia lokalu numer jeden osiedla Riverview Gardens, i w razie potrzeby wkroczenia tam z użyciem siły. Nastąpiło to po doniesieniu sąsiadki denata, że nie widziało go ani nie słyszano od około tygodnia, a inni sąsiedzi zwrócili uwagę na znamieny zapach. Przybywszy na posesję, zapukaliśmy kilkakrotnie do drzwi, jednak bez odpowiedzi. Odbyliśmy krótką rozmowę z sąsiadką, która wygłosiła szereg komentarzy pod adresem rezydenta i jego znajomych, a konkretnie wspomniała o zażywaniu narkotyków i dokuczliwym częstokroć hałasie. Wkroczyliśmy do środka, forsując główne drzwi, i przystąpiliśmy do przeszukiwania lokalu.

Znalazłem ciało pana Radcliffe'a, leżące na podłodze pomieszczenia, które uznałem za salon, o czym poinformowałem kolegę. Wstępne oględziny wykazały znaczną ilość krwi na podłodze, toteż niezwłocznie oddaliliśmy się z pomieszczenia, celem

zachowania wszelkich dowodów na wypadek, gdybyśmy mieli do czynienia ze zbrodnią. Wezwaliśmy lekarza dla potwierdzenia zgonu oraz funkcjonariuszy wydziału kryminalnego dla zbadania miejsca zdarzenia. Teren zabezpieczyliśmy, ogradzając go taśmą, po czym...

KORONER: Dziękuję świadkowi, sędzę, że to na razie wystarczy. A więc wszedł świadek wraz z kolegą do mieszkania – zapewne byliście zmuszeni wyważyć drzwi.

POSTERUNKOWY NELSON: Tak jest. Drzwi były zamknięte na klucz i dodatkowo zaryglowane od wewnątrz, jednak okazały się mocno zniszczone, toteż z łatwością...

Wszystkie te pytania, które chcielibyśmy zadać. Ale nie możemy i już. Nie mówimy nic. Siedzimy w furgonetce i czekamy. A furgonetka przejeżdża przez bramę i skręca na podwórze zakładu pogrzebowego, i otwierają tylne drzwi, i wynoszą ciało Roberta. Idziemy za nimi. Co innego mamy robić. Myją jego ciało. Jeszcze raz. Nikt się tak z nim nie cackał za życia, a teraz proszę. Wynoszą trumnę. Prosta, niemalowana, ze sklejki. Nic nadzwyczajnego. Żadnych koronek, obić, esów-floresów. Nie jest to przedmiot, nad którym mozolił się całymi dniami rzemieślnik, pracując w skwarze słońca, przy akom-

paniamencie świszczącego chrapania piły i hebla, i cyk, cyk, cyk, uderzeń ciosła. Nie dla Roberta takie luksusy. Ale to fakt, że większej trumny chyba nie mieli. Rękami w rękawiczkach układają go w tej gołej drewnianej skrzynce. Żadnych tam poduszek pod głowę. Żadnego trumiennego ubrania, które by okryło jego, no jak to się mówi. Jego wstyd. Nie-szczęście. Nie było komu zapłacić za garnitur do trumny. Wydział ochrony środowiska płaci za pogrzeb, ale z jakiej racji miałby jeszcze fundować garnitur. Nikogo więcej nie ma. No a Laura. A co ona ma za pieniądze. I nie zechce. Powiedziała im, że już się pożegnała ze zmarłym i w ogóle, i nawet nie. A co z Yvonne. Gdzie ona tak w ogóle się podziewa. Patrzymy na Roberta w trumnie, na oczy zamknięte, na ręce nieporadnie splecione na piersi. Mamy więcej pytań. Ale nie. Już za. Nie możemy, już mocują wieko, już nie ma Roberta. Przykręcają wieko śrubami, wizg elektrycznego śrubokręta jest tak samo głośny jak wizg piły, którą techniczka rozcinała mu.

KORONER: ...raport z sekcji zwłok, którego proponuję nie ujawniać w całości na dzisiejszym posiedzeniu. Ograniczę się do wybrania najistotniejszych fragmentów, po czym streszczę wnioski patologa.

Po pierwsze, badanie toksykologiczne próbek krwi nie wykazało znaczącego poziomu alkoholu, co nasuwa wniosek, iż denat nie pił alkoholu przez dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin przed śmiercią. Analiza krwi nie wykazała ponadto obecności kokainy, heroiny czy też innych zażywanych dla przyjemności narkotyków.

Po drugie, w przeciwieństwie do wyników analizy krwi, analiza wątroby wykazała zaawansowaną marskość, spowodowaną alkoholem, czego dowiodło badanie histologiczne; to dowodzi, że denat spożywał przez dłuższy czas nadmierne ilości alkoholu. W opinii patologa, krew na podłodze mieszkania oraz w kuchennym zlewie pochodziła prawdopodobnie z wymiotów wywołanych zaawansowaną marskością wątroby. Krew wykryto też w tchawicy, dużych drogach oddechowych i płucach, co dowodzi, iż pan Radcliffe prawdopodobnie tuż przed śmiercią zachłysnął się własną krwią i wymiocinami.

Po trzecie, badanie płuc wykazało zniszczenie przestrzeni powietrznych, spowodowane długotrwałym oddziaływaniem dymu tytoniowego, czego rezultatem był płytki oddech.

Po czwarte, patolog stwierdził oznaki zaawansowanej choroby serca oraz zwężenie naczyń wieńcowych o średnio siedemdziesiąt do osiemdziesięciu procent. Mówiąc prościej, oznacza to, iż tętnice doprowadzające krew do serca uległy zwężeniu przez

nagromadzenie wewnątrz złogów tłuszczowych, wskutek czego mięsień sercowy został w znacznej mierze pozbawiony dostępu tlenu i składników odżywczych, co mogło przyczynić się do śmierci.

Po piąte, patolog nie stwierdził obecności treści pokarmowej w przewodzie pokarmowym, co wskazywałoby na to, iż pan Radcliffe nie jadł nic przez dwadzieścia cztery do czterdziestu ośmiu godzin poprzedzających śmierć. Nie mogło to być bezpośrednią przyczyną zgonu – organizm ludzki jest w stanie obejść się bez pożywienia przez znacznie dłuższy czas – jednak bardzo możliwe, że spowodowało znaczne osłabienie.

Po szóste, na ciele pana Radcliffe'a, a także na twarzy, stwierdzono liczne wylewy podskórne. W opinii patologa, obrażenia te były raczej skutkiem samoczynnych upadków niż agresji ze strony osób trzecich. Patolog zwraca też uwagę na brak obrażeń świadczących o samoobronie, jak również śladów agresji i szamotaniny na miejscu zdarzenia.

Punkt ostatni zawarty został przez patologa w przypisie, jako że nie dotyczy czynnika, który mógł mieć wpływ na śmierć pana Radcliffe'a. Wewnątrz czaszki, tuż za lewym uchem, wykryto odłamek metalu. Patolog znalazł też prawdopodobne miejsce przedostania się odłamka do wnętrza czaszki, w postaci dobrze zagojonej i z wyglądu wieloletniej blizny. Jakkolwiek patolog nie dopatruje się w tym bezpośred-

niego związku ze śmiercią pana Radcliffe'a, to uważa, iż uraz czaszki mógł stanowić czynnik ryzyka w rozwoju padaczki odstawiennej, do której przejdę za moment.

Podsumowując, patolog stwierdza, że na śmierć pana Radcliffe'a mógł wpłynąć bezpośrednio lub pośrednio szereg czynników: chroniczna choroba płuc, choroba wieńcowa serca, krwawienie z przełyku przedostające się do płuc, brak pożywienia i płytki oddech, obciążający nadwerężone już skądinąd serce. Zauważa jednocześnie, iż pan Radcliffe prawdopodobnie przestał pić alkohol w dniach poprzedzających śmierć, do czego dodaje komentarz, iż częstym objawem u wieloletnich alkoholików, którzy nagle zaprzestali picia, jest atak epileptyczny prowadzący do śmierci. Ponieważ jednak niemożliwe jest ustalenie na podstawie sekcji zwłok, czy taki atak faktycznie miał miejsce, patolog odnotowuje to jedynie jako ewentualność.

Na tym kończę streszczenie raportu patologa.

Zanim skorzystam z powyższych ustaleń dla sformułowania odpowiedzi na czwarte pytanie sądu, chciałabym przyjrzeć się nieco bliżej okolicznościom towarzyszącym śmierci pana Radcliffe'a. W związku z tym proszę o wystąpienie drugiego świadka naszej dzisiejszej sesji porannej.

Tyle pytań. Dlaczego w ogóle wróciła do ojca za pierwszym razem. Co przyniosło ją z powrotem. Czy tak źle jej było w domu. Z mamą. Z Pauliem. Bo coś się tam jednak zmieniło, już nie było tak jak dawniej. Gdy odeszły od Roberta, mieszkały początkowo przez krótki czas u babci. Laura lubiła babcię. Była zżyta z babcią, no nie. Babcia wciąż powtarzała, jak się cieszy, że ma je obydwie z powrotem u siebie. Bo, mówiła, zawsze wiedziała, że z tym Robertem to będą same kłopoty, za to teraz będzie im o wiele lepiej. Z nią, z babcią. Nawet jak się potem przenieśli do własnego mieszkania, to babcia zapewniała, że zawsze będzie blisko, na każde zawołanie. No a potem Paul. Co Paul. Przesiadywał u nich coraz częściej, aż w końcu po prostu został. Babcia przestała przychodzić, one do niej chodziły coraz rzadziej, a potem wcale. Komu tu można ufać. No komu kurwa. A po jakimś czasie Paul zaczął nadawać: Nie wymagam, żebyś mówiła do mnie tato, to zależy wyłącznie od ciebie, ale mam nadzieję, że pamiętasz, kto przy tobie był przez te wszystkie lata. A gdyby została w domu. Albo gdyby wróciła. Jak to wszystko wyłaziło na wierzch, gdy siedzieli kołem na terapii grupowej w ośrodku. Przez lata całe o pewnych rzeczach nie myślała, a tu nagle. No bo nie myślała. A gdyby tak wróciła wtedy do matki. Czy zrobiłaby to. Czy po prostu chciała się przekonać. Czy tylko o to chodziło. Czy może o coś inne-

go. Jezu. Siedzi Laura na sali sądowej i słucha pytań, jakich nigdy. W rodzaju. Co znaczył dla ciebie ojciec. Dlaczego w takim razie w ogóle do niego wróciłaś. Co takiego zrobiła, lub czego nie zrobiła, twoja matka. A Paul. I co cię sprowadziło do ojca za drugim razem. Skoro już go przedtem widziałaś i wiedziałaś. Czy sądziłaś, że będziesz w stanie coś zrobić. Czy sądziłaś, że będziesz w stanie go uratować. Czy też po prostu byłaś zdesperowana. Po tym całym. Nazwijmy to porażką lub stratą. Po tych letnich wólczech pełnych przyjaciół, łąk, muzyki i dragów, po dniach i nocach leżenia brzuchem do góry pod bezkresnym niebem. Bez jednej myśli, że coś może pójść nie tak. Bez jednej myśli, że coś może ten stan zniszczyć. A potem długie zimowe noce dygotania w przygodnych furgonetkach lub w niebezpiecznych miejscach, wśród błota i śmieci, i podróżnych, którzy nie mają dokąd się udać. Którym dawno wybito z tyłka piękne marzenia, którzy już nie mają nadziei na nic więcej niż kolejna saszetka z towarem. Mówili o tym walka. Najpierw załatwili górników a potem. Zawsze dało się zdobyć dobry towar, ale nie o to. Ona chciała. No więc dlaczego zawlokła się z powrotem do ojca. Myślała sobie, że co, że on wybiegnie jej na spotkanie, gdy ją tylko zobaczy w drugim końcu ulicy, czy jak. Czy tak sobie właśnie. Podczas gdy on ledwo sobie przypominał, jak ona ma na imię.

KORONER: ...czyli znałaś inne osoby, które tam przebywały, i codzienną rutynę ojca?

LAURA: Tak.

KORONER: Czy dobrze zrozumiałam, że mieszkałaś w tym domu jako dziecko?

LAURA: Tak.

KORONER: Ale wyprowadziłaś się stamtąd wraz z matką, mając ile lat?

LAURA: Nie wiem. Siedem.

KORONER: A niedawno powróciłaś, aby zostać z ojcem?

LAURA: Tak.

KORONER: Jak niedawno, czy możesz to sprecyzować?

LAURA: Jakieś trzy lata temu.

KORONER: I, według twojej wiedzy, twój ojciec mieszkał w tym lokalu bez przerwy od czasu twojego dzieciństwa aż do swojej śmierci.

LAURA: Tak.

KORONER: A czy wiesz, z jakiego powodu urząd komunalny pozostaje pod wrażeniem, że dokonał eksmisji twojego ojca na kilka lat przed jego śmiercią?

LAURA: Nie wiem.

KORONER: Czy podczas pobytu w domu byłaś świadkiem prób eksmitowania ojca?

LAURA: Nie.

KORONER: Czy nie wspominał o tym, nie wyrażał niepokoju lub zatroskania?

LAURA: Nie.

KORONER: I nie powiedziałaabyś, że intensywność picia alkoholu miała u niego związek z możliwą eksmisją lub kłopotami finansowymi?

LAURA: Raczej nie, pił tak czy owak od wielu lat, zawsze tak samo.

KORONER: Czy określiłabyś go jako ciężkiego alkoholika?

LAURA: Nie wiem. To zależy, co się rozumie przez „ciężki”.

KORONER: A potrafiłabyś określić, ile mniej więcej alkoholu wypijał dziennie, tak typowo?

LAURA: Zależy, ile zdobył. Jedną butelkę, dwie, tak przypuszczam.

KORONER: Czego?

LAURA: Głównie wina jabłkowego.

KORONER: W butelkach o jakiej objętości?

LAURA: Dużych, trzylitrowych, albo i większych, jak były w promocji.

KORONER: Nie będąc ekspertem, powiedziałabym, że konsumpcja trzech do sześciu litrów wina dziennie kwalifikuje się jako przypadek ciężkiego alkoholizmu, nie zgodzisz się ze mną?

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Usiłuję jedynie odtworzyć obraz ogólnego stanu zdrowia pana Radcliffe'a w chwili śmierci. Raport toksykologa, jak słyszałaś, stwierdza bardzo niski poziom zawartości alkoholu we krwi, jak-

kolwiek ze stanu wątroby i z tego, co nam tu przed chwilą powiedziałaś, wynika, że zmarły był bez wątplenia alkoholikiem. Czy wiesz, dlaczego nie pił alkoholu w dniach poprzedzających śmierć?

LAURA: Nie.

KORONER: Czy nic nie mówił o chęci zaprzestania picia?

LAURA: Nie, tylko (*niedostyśzalnie*).

KORONER: Tylko co?

LAURA: Tylko że wiedział o tym, że ja idę na odwyk, dowiedział się o tym. To znaczy, ja mu powiedziałam. Więc mógł sobie potem pomyśleć, no wie pani.

KORONER: Mógł podjąć postanowienie, że sam sobie przeprowadzi odwyk, o to ci chodzi?

LAURA: (*niedostyśzalnie*)

KORONER: To, oczywiście, tylko przypuszczenie.

Czy może to Ben. Wlazł do środka i. I co. Tak jak wtedy załatwił tego gołębia, tak mógł załatwić każdego. Tak jak przyłomotał Steve'owi, chociaż nie było o co. Dla zgrywu. Coś z nim było nie tak. Coś miał z głową. Jakby mu się tam gotowało pod czaszką i zaraz miało wykipieć. Gdzie on poszedł. Wtedy jak powiedział, że zanieś tam jedzenie. Co z nim zrobił. A jak nie. No i kiedy. Gdzie był Ben. Czy to on coś zrobił. Czy wszedł tam szukać pieniędzy, czy

czegoś innego. Czy tak dla zgrywu. Robert patrzy na niego jak na dzieciaka, który nie umie zrobić krzywdy. Cios za ciosem, tak jakby od niechcenia. Czy tak było. Ale Ben by raczej nie ryzykował. Robert był chory, owszem, ale jeszcze kawał chłopca. No tak czy nie. Patrzy Robert, jak dzieciak wyłazi z powrotem przez okno, i się śmieje, i sięga po następną butelkę, a tu butelki nie ma. Albo może miał jeszcze ostatnią butelkę, tylko ją specjalnie odstawił. Schował do tej, no. Mówiąc sobie: jak Laura może, to i ja. Pokażę jej. Za kogo ona się uważa. Zadziera nosa, wielka moralistka się znalazła. A w gruncie rzeczy to zwyczajna. Jak ona może. I ten ból nagle gdzieś w środku. I kaszel, kaszel, bryzgi krwi na rękach od tego kaszlu. Odpluwanie krwią. Wlecze się do kuchni, schyla nad zlewem, patrzy, jak chlusta z niego krew. Chryste Panie, co się dzieje. Krew na jego. I drgawki. O kurwa, jakie. Łapy telepią się o zakrwawiony zlew, o mało. Ból gdzieś w środku. Pod łopatką. W gardle. W piersiach. Z powrotem do pokoju, żeby nie te drgawki cholerne. Ręce w górę, żeby puściło. Sięganie po coś wysoko nad głową. Wyssoko ręce, wyżej, Chryste Panie, ja nie mam czym oddychać, co się dzieje. Może nawet nie zdążył tego powiedzieć, może nie zdążył już powiedzieć nic. Chryste Panie, co się dzieje.

KORONER: ...prośbę, abyś odpowiadała na głos, Lauro, chodzi o nagranie, a nie tylko kręciła głową.

LAURA: Nie.

KORONER: Czy według twoich obserwacji odzywał się właściwie?

LAURA: Tak. Jadł mnóstwo.

KORONER: Czy sam sobie gotował?

LAURA: Nie, jadł żarcie ze stacji benzynowej, kanapki, chipsy, takie tam. Albo z knajpy na wynos, frytki, pizzę, curry, co dostał. Ludzie mu przynosili.

KORONER: Znajomi kupowali mu jedzenie?

LAURA: Nieraz tak, a nieraz on im dawał pieniądze. Robili to za możliwość korzystania z mieszkania.

KORONER: Pan Radcliffe sam dawał im pieniądze na zakup żywności?

LAURA: Tak.

KORONER: Nie okradali go ani nie wykorzystywali w żaden sposób?

LAURA: Czasami tak. Ale ci, co tak robili, więcej nie wracali.

KORONER: Wygląda więc na to, że twój ojciec miał dość pieniędzy na własne potrzeby.

LAURA: Tak. Kręcił parę interesów. *(Przerwa w rozprawie. Wchodzi spóźniony przedstawiciel publiczności)*

WOŹNY SĄDOWY: Mike Crossley, wysoki sędzie.

KORONER: Dziękuję. Zechce pan zająć miejsce, panie Crossley. Dziękuję. Możemy kontynuować, Lauro. Czy twój ojciec często zostawał sam w mieszkaniu?

LAURA: Nie. Prawie nigdy. Zawsze kręcili się tam jacyś ludzie. Lubił mieć ludzi koło siebie.

KORONER: A co to byli za ludzie? Czy stale ta sama grupa?

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Przepraszam, mogłabyś powtórzyć?

LAURA: No więc, ja nie chcę utrudniać i w ogóle, ale przecież mówiłam już to wszystko policji. Nie ma pani ich raportu czy czegoś? Nie może pani zwyczajnie odczytać?

KORONER: Jak zaznaczyłam na początku, rozprawa ma charakter otwarty, toteż...

LAURA: No tak, rozumiem, ale...

KORONER: Toteż musimy w całej pełni naświetlić fakty, zanim podsumujemy przesłuchanie. Możemy jednak zrobić przerwę, proszę bardzo, jeżeli sobie życzysz.

LAURA: Nie, dziękuję, w porządku, idźmy dalej.

KORONER: Dziękuję, Lauro. A więc, kiedy po raz ostatni widziałaś ojca?

LAURA: Przed Bożym Narodzeniem. Kilka dni przed świętami.

KORONER: Czy było to wówczas, kiedy weszłaś do

mieszkania przez kuchenne okno, wspiąwszy się na dach garażu?

LAURA: Tak.

KORONER: A z jakiego powodu musiałaś wejść do mieszkania tą drogą?

LAURA: Bo zamknął się od środka i nie mógł wstać z fotela, żeby mi otworzyć, mówił, że jest chory czy coś.

KORONER: Zaniepokoiło cię to?

LAURA: Właściwie nie. Jemu zawsze coś dolegało, stale kaszlał, rzygał, przewracał się i tak dalej. To nie było jakieś niezwykle, że akurat tego dnia nie mógł wstać z fotela. Bywało gorzej, rozumie pani, co mam na myśli?

KORONER: A tego dnia było was tam czworo, wtedy gdy po raz ostatni widziałaś ojca?

LAURA: Tak.

KORONER: A pozostałe trzy osoby?

LAURA: Teraz to już i tak bez znaczenia, no nie.

KORONER: Zdaję sobie sprawę z niefortunnych okoliczności tego przesłuchania, Lauro, ale byłabym ci bardzo wdzięczna za podanie szczegółów, o które pytam, do publicznej wiadomości.

LAURA: No dobra, wszystko mi jedno. *(Ze złością)* Byłam ja, Danny, Mike i Ben.

KORONER: Czy wymieniony przez ciebie Mike to obecny na tej sali pan Crossley?

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Stwierdzam dla potrzeb nagrania, że skinęłaś potwierdzająco głową. W tym punkcie przesłuchania pragnę formalnie stwierdzić obecność pana Mike'a Crossleya na dzisiejszej sesji sądu. Zgodnie z procedurą, wezwałam pana jako świadka, panie Crossley, ponieważ jednak uległ pan wypadkowi drogowemu w dniu dwudziestym siódmym grudnia, a przedłożone mi orzeczenie lekarskie stwierdza, iż nie pamięta pan niczego z okresu kilku tygodni poprzedzających tenże wypadek, jak też zresztą i z późniejszego okresu, gdyż pięć tygodni przeleżał pan w stanie śpiączki farmakologicznej, nie sądzę, aby wzywanie pana na świadka mogło się w jakimkolwiek sensie przysłużyć procesowi. Dziękuję panu jednak za dzisiejszą, spóźnioną co prawda, obecność na tej sali, a także za wyrażoną gotowość współpracy. Doceniam to szczególnie w świetle pańskiej kłopotliwej kondycji fizycznej. A zatem, Lauro, czy możemy kontynuować.

Widzimy Mike'a. Jak mówi: Hej, chłopaki, no to ja spadam. Mam coś do roboty. Muszę zdążyć na autobus. I odwracamy się i. Widzimy Mike'a wciąż gadającego przez komórkę. Zamaszystym krokiem wchodzi na środek jezdni. Długi płaszcz łopocze mu w okolicy. Nadaje: Miałem w szkole takiego kumpla, co. Jak chcieli trochę bliżej dojść do prawdy, to

podwójnie. Powiem ci sekret, stary, ja mam co kto chce w tym interesie. Więc jak tylko ty. Wypadek drogowy to jedna z możliwych nazw tego zdarzenia. Raczej masakra, bo zderzyć się czołowo z autobusem to, no wyobraź sobie, stary. Wylazł na środek jezdni i pach. Nawet nie zdążył skumać, co się dzieje. Jak go najechał. Wolno jechał, ukosem go potracił. Mina tego kierowcy. Całymi tygodniami się potem zrywał w nocy i krzyczał: Gdzie ja jestem, gdzie ja jestem. Pielęgniarki były w porządku, ale nie jakieś anioły, rozumiesz. Czyli ani bliżej nieba się nie znalazłem, ani bliżej tego drugiego miejsca. Czaisz, nie. Jakbym zawisł w tym, no. I wrócił, aby o tym opowiedzieć. No więc czego się teraz ode mnie oczekuje. A jaki masz plan, Mikey, no mów, stary. Musisz mieć plan. To wymaga pomysłowości i. To sporo wymaga. Tak sobie cały czas mamrocze pod nosem. Ogląda się za siebie. Mija Barford Street, mija targowisko. Przechodzi kładką na drugą stronę, schodzi w przejście podziemne, wspina się na wzgórze w stronę boisk i osiedla. Wraca do mieszkania, bo co innego może. Pomału idzie. Dwie kule, nogi w bandażach. Co stopę postawi na ziemi, to wyje z bólu. Ale idzie, nie daje się. Ciągnie nogi po ziemi, cały ciężar ciała przerzucając na te metalowe podpórki. Co chwila ogląda się za siebie, za nogi swoje, jakby się bał, że jakiś pies go zaraz dopadnie, albo sfera psów. A przecież nic nie ma. Co on właści-

wie próbował. Co sobie chciał załatwić. Może myślał, że tym sposobem się wymiga, czy co. A tymczasem nawet to mu się nie udało, i musi teraz wysłuchiwać tych wszystkich pytań. A co on wie. Ile on właściwie. Gadał przez komórkę. Długi płaszcz mu łopotał w okolicy. A Laura siedzi w sądzie i nie może się doczekać końca tych wszystkich pytań.

KORONER: ...wszyscy czworo weszliście do mieszkania przez kuchenne okno i przebywaliście tam potem, jak długo, przez cały dzień?

LAURA: Przez parę godzin raczej.

KORONER: I czym się w tym czasie zajmowaliście?

LAURA: Różnymi rzeczami. No wie pani.

KORONER: Zażywaliście narkotyki?

LAURA: *(śmiech)* No comment.

KORONER: Rozumiem, że nie chcesz stwarzać sobie problemów, Lauro, ale dla nas ważne jest uzyskanie jasnego obrazu tego, co się tam zdarzyło w dniu, o którym mowa. Wtedy, o ile nam wiadomo, po raz ostatni widziano twojego ojca żywego. Pozwól więc, że przeformułuję pytanie – czy tamtego popołudnia w mieszkaniu twojego ojca zażywano narkotyki?

LAURA: No. Przypuszczam, że tak.

KORONER: Jakie narkotyki?

LAURA: Herę. Crack.

KORONER: A czy twój ojciec zażywał któryś z tych narkotyków?

LAURA: Nie. On nigdy nie brał. Nie chciał.

KORONER: Istotnie, to zdaje się potwierdzać raport patologa. Ale nie miał nic przeciwko temu, żeby inni zażywali narkotyki w jego mieszkaniu?

LAURA: Nie.

KORONER: Następna sprawa. Stwierdziłaś w zeznaniu przed policją, że opuściłaś wówczas mieszkanie, gdyż ojciec poprosił cię o zakupienie dla niego żywności i alkoholu, czy tak? I karmy dla psa?

LAURA: Tak.

KORONER: I dał ci na to pieniądze?

LAURA: Tak.

KORONER: Następnie, jak zeznałaś, udałaś się na stację benzynową po miejskiej stronie obwodnicy, aby kupić żywność i alkohol dla ojca oraz karmę dla psa, czy tak?

LAURA: Tak.

KORONER: Czy poszliście tam wszyscy czworo?

LAURA: Nie, tylko ja i Mike.

KORONER: A pozostali dwaj?

LAURA: Poszli po towar. Znaczący, kupić drągi.

KORONER: A zatem. Ty i Mike poszliście kupić żywność i alkohol dla twojego ojca, ale zgodnie z tym, co zeznałaś wcześniej, nie dostarczyliście mu ich od razu.

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Stwierdzam dla potrzeb nagrania, że potwierdziłaś skinieniem głowy, a zatem nie. Zeznałaś, że, cytuję, trochę was zniosło.

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Czy możesz wyjaśnić, co rozumiesz przez wyrażenie „trochę nas zniosło”? Czy ktoś celowo przeszkodził wam w dostarczeniu twojemu ojcu zakupionej żywności i alkoholu?

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Lauro?

LAURA: *(poirytowane fuknięcie)*

KORONER: Lauro, czy wolałabyś, abyśmy w tym miejscu zrobili przerwę?

LAURA: *(niedostłyszalnie)* Nie. Nikt niczego celowo nie zrobił. Ja sama poszłam dać w żyłę i na jakiś czas o tym zapomniałam. Wystarczy?

KORONER: Rozumiem.

LAURA: Poszliśmy na tę stację, kupiliśmy co trzeba, a jak stamtąd wyszliśmy, to Mike nagle się ulotnił, zawinął się i już. Nic nie powiedział, a mnie też to specjalnie nie obchodziło. On tak nieraz ma. Trochę jest taki, jakby to określić, nieprzewidywalny. Nie obraż się, Mike. *(Niedostłyszalny wtęret z sali)* Zaczęłam wracać do mieszkania, ale natknęłam się na Danny'ego, który właśnie zdobył towar, i nagle strasznie mi się zachciało jeszcze trochę wziąć, więc powiedziałam Danny'emu, że możemy to zrobić razem u mnie w pokoju w schronisku, pod warunkiem,

że podzieli się ze mną działką. Miałam zamiar potem zanieść żarcie do mieszkania, ale zapomniałam.

KORONER: Czy w schronisku regularnie brałaś narkotyki? To chyba niedozwolone?

Nic tylko pytania w tym miejscu. W ośrodku rehabilitacji. Wypytywanie o drogę powrotu. O rodziny i tak dalej. Siedzi się kołem w sali pełnej książek i blok-tablic, lekki wietrzyk kołysze brzozy na długim stoku trawnika za oknem. Plakaty na ścianach głośzą: Dzisiaj jest pierwszy dzień całej reszty twojego, no wiadomo. Obcy facet nawija: Porozmawiamy teraz o waszych rodzinach, zgoda. Czy odczuwacie złość z powodu tego, co się stało. Kogo za to obwiniecie, a może samych siebie. A twoja matka. Jak się poczułaś, gdy jej nowy partner wprowadził się do was na stałe. Co sprawiło, że akurat wtedy wyniosłaś się z domu. Ile tych pytań. A ona siedzi, gapi się w podłogę, obgryza paznokcie i gapi się przez okno na drzewa i trawiasty stok. Za dużo naraz do myślenia. Za długo by gadać. Mówi: No a jak myślisz, jak się poczułam. A tamten cwaniak zaraz: Nie, Lauro, tu nie chodzi o mnie, tylko o ciebie. Wtedy za pierwszym razem nie powiedziała nic. Ale sobie przemyślała. Bo tam jest kupa czasu na myślenie. I innego dnia powiedziała: Chciałam się prze-

konać sama, jak jest, po tym co mi matka o nim opowiadała. I po chwili: Okłamała mnie już w innych sprawach, więc pomyślałam, że może o nim też kłamała, i o ich związku, i o powodach naszego odejścia. A jeszcze innego dnia powiedziała: Myślałam, że przy nim zacznę lepiej myśleć o sobie, jakoś tak. I wszyscy siedzący w kręgu zamruczeli na potwierdzenie jej słów. Tak jakby sami coś na ten temat wiedzieli. No ale na tym koniec. Podtrzymanie na duchu. Wzajemne poklepywanie się po plecach za szczere wyznanie: I wtedy mnie zgwałcił, czy coś w tym stylu. A kto wie. Poszukiwanie odpowiedzi i tak dalej, i prowadzący, który mówi: Mmm, mam wrażenie, że poczyniliśmy dzisiaj znaczny postęp. A Laura nadaje: Jak mi matka powiedziała, że oboje z Paulem postanowili emigrować, że mają już załatwioną pracę za granicą i chcą, żebym jechała z nimi, wściekłam się tak, że aż mnie to zdziwiło. Na to odzywa się ktoś inny: Najbardziej przez to brakuje mi brania, z tym się najwięcej męczę, że teraz muszę myśleć o pewnych rzeczach i je pamiętać. Wtedy przynajmniej wszystko było zablokowane. Drgawki mogą wytrzymać, tylko tego pamiętania i myślenia nie mogę. I wszyscy klaszczą, jakby usłyszeli wiadomość z pierwszej strony, czy co. Nie wiem jaką rewelacją. A ktoś inny się włącza: Bo jak się bierze, to wszystkie emocje i wspomnienia się blokują, to tak, jakby mieć permanentne zatwardzenie, po

jakimś czasie to się staje nawet w pewnym sensie wygodne i człowiek już nawet nie ma ochoty się wysrać. Wszyscy śmieją się i klaszczą. A jeszcze innego dnia Laura mówi: No bo nawet pomimo, że on był w takim stanie i że to, co mama mówiła, okazało się prawdą, to wolałam zostać z nim, ponieważ, teraz tak myślę, był przynajmniej szczery i w ogóle, czaicie, nie. A na to wszyscy w kręgu: Brawo, Laura. Patrząc przez okno na liście, kwitnące drzewa i ptaki nad zielonym trawnikiem. Wóz policyjny zajezdza pod ośrodek. Ktoś pyta o Laurę. Ktoś mówi o jej tacie. I co on sobie wtedy myślał. Leżąc na wznak z jedną ręką wyciągniętą do tyłu, paznokciami drugiej ryjąc podłogę. Ty nam to powiedz. No, powiesz nam, czy nie. Gapił się w sufit. A czy jego życie. Przemknęło mu całe przed oczami itepe, czy jak. A co on miał do przemykania. Siedzenie w tym fotelu i nic więcej. Co sobie myślał, umiesz powiedzieć, powiesz nam.

LAURA: ...na zmniejszanej dawce od sierpnia mniej więcej, to była część mojego programu, tak że właściwie byłam czysta, zredukowali mi już do piętnastu mililitrów. Na odwyk miałam przejść od Nowego Roku, nikt o tym nie wiedział oprócz mojego opiekuna i dyrekcyj. A z grupy nikt, wiedzieli tylko, że jestem na redukcji.

KORONER: A jednak przy tej okazji postanowiłaś coś zażyć, co to było, heroina?

LAURA: Tak. Spodobała mi się myśl, że to ostatni raz. A Danny miał dość, żeby się podzielić.

KORONER: Więc poszliście do twojego pokoju w schronisku, zażyliście narkotyk i zapomniałaś, że masz zanieść ojcu jedzenie, aż do, do kiedy, następnego dnia?

LAURA: Wcale nie wzięłam.

KORONER: Nie wzięłaś wtedy heroiny?

LAURA: Nie, tych zakupów nigdy nie wzięłam do niego.

KORONER: Jednak w zeznaniu stwierdziłaś, że przypomniłaś sobie o tym na drugi dzień i poprosiłaś kogoś o dostarczenie zakupów do mieszkania ojca, czy tak było?

LAURA: Tak.

KORONER: Kogo konkretnie poprosiłaś?

LAURA: Bena. Przestraszyłam się, że przez to wzięcie działki stracę miejsce na odwyku, więc zaczęłam biegać i szukać swojego opiekuna, żeby mi to jakoś załatwił, i natknęłam się na Bena, który akurat kręcił się w okolicy schroniska i na kogoś czekał, no to dałam mu tę torbę z jedzeniem i poprosiłam, żeby zaniósł do mieszkania. Powiedział, że i tak miał tam iść. Myślałam, że wszystko będzie w porządku. I nie martwiłam się, bo byłam pewna, że tak czy owak ktoś u niego jest, może Heather, mo-

że Jamesie czy Maggie, zawsze ktoś przecież był, więc ktoś by o niego zadbał. Tam się stale kręcą ludzie.

KORONER: Tym razem jednak nikogo nie było.

LAURA: Nie.

Mężczyźni odchodzą, a my stoimy wokół milczącej, szczelnie zamkniętej skrzyni. Noc mija i mija poranek. Teraz jest ich ośmiu. Czarne garnitury, czarne buty, czarne skórkowe rękawiczki. Wsuwają go na tył furgonetki. Trzech zajmuje miejsca z przodu, pięciu wsiada w drugi samochód, i wszyscy wyjeżdżają z podwórka, przez bramę, na główną drogę wzdłuż rzeki, wiodącą na obrzeża miasta. Jedziemy z nimi. Co innego mamy robić. A Heather, dlaczego ona nie przyszła. Dlaczego jej nie było w mieszkaniu do pomocy. A może przyszła. Może jednak przyszła. Może naprawdę pukała do drzwi. Waliła w drzwi, krzycząc: Robert, otwieraj. Wrzeszcząc przez szparę na listy, przyciskając twarz do zaświonionej szyby. Czy tam była. I czy poszła szukać innych, czy też. Na świąteczny obiad w centrum dziennym. Czy zapomniała wspomnieć o tym komukolwiek. Czy też myślała. A co tam. Coś w rodzaju, pierdolić go, a dobrze mu tak. Czy tak było. Czy to teraz ma znaczenie. Czy wtedy miało. Gdzie ona. Kogo. A kiedy zajeżdżamy pod krematorium, męż-

czyźni wysiadają z samochodów, stają z boku i czekają, aż się zakończy poprzednia ceremonia. Żałobnicy wychodzą gęsiego przez szerokie szklane drzwi do ogrodu po drugiej stronie budynku, a za ich plecami wysoki komin zaczyna dymić. Mężczyźni wysuwają trumnę Roberta z pudła furgonetki i biorą ją na ramiona. Nawet Laury nie ma. Nikogo nie ma. Wysoki komin zaczyna. A my mogliśmy go sami ponieść na ramionach, aleśmy się spóźnili. Mogliśmy rzucać kwiaty, dąć w trąbki i zawodzić żałobne pieśni, towarzysząc wnoszeniu go do kaplicy na szerokich, opiętych czarnymi garniturami barach mężczyzn, którzy ledwo wiedzą, jak się nazywał. Ale tego nie robimy, nikt tego nie robi i nikt już nie zrobi, za późno już na to. I nawet Laury nie ma. I nawet Yvonne nie ma. Bo ona jest teraz daleko stąd. Niosą go nawą na sam przód kaplicy. Na raz, dwa, trzy zdejmują trumnę z ramion, ustawiają na pasie transmisyjnym przed rozsuwaną środkiem czerwoną kurtynką, odwracają się i wychodzą. My stoimy, zbici w gromadkę z tyłu przy. Co innego możemy. Wchodzi pastor w ceremonialnej szacie. W ręku trzyma otwarty mszał, patrzy za wychodzącymi mężczyznami, a gdy już są w drzwiach, woła ich z powrotem. Mówi: Czy ja coś przeoczyłem. Patrzą na niego. Pastor pyta: Widzą tu panowie kogoś innego. Oni spoglądają na swoje. Pastor mówi: Nie zamierzam tu stać i odprawiać nabożeństwa sam jeden. Pyta: Czy

jest ktoś bliższy zmarłemu niż panowie. Na to oni odwracają się, idą kawałek nawą i zajmują miejsca w rzędzie. A pastor zaczyna. Zebraliśmy się dziś tutaj. Jacy oni są teraz wszyscy dla niego mili. Kiedy on już. A przedtem nikt mu nawet.

KORONER: ...najwyraźniej ani Ben, ani nikt inny nie dostarczył jedzenia.

LAURA: No nie. Ja nie wiem. Nie wiem, co się potem stało.

KORONER: Otóż to. Policji nie udało się znaleźć nikogo, kto widziałby twojego ojca po tym, jak opuścił jego mieszkanie, a sąsiadka, która wezwała policję, nie przypomina sobie, aby słyszała stamtąd odgłosy czyjejkolwiek obecności po dniu, w którym, jak twierdzi, widziała ciebie i twoich znajomych wychodzących kuchennym oknem. Po złożeniu przez ciebie zeznań przejrano ponownie zdjęcia z wizji lokalnej i nie stwierdzono na nich obecności wymienionych przez ciebie produktów, zakupionych na stacji benzynowej. Musimy zatem przyjąć – gdyż, niestety, nie mogę już spytać o to samego Bena – że z jakiegoś powodu nie dostarczył on zakupów na miejsce.

LAURA: *(niedostłyszalnie) (z irytacją)*

KORONER: Myślę, że na tym zakończymy ten wątek przesłuchania; wątpię, czy rozwijanie go rzuciłoby więcej światła na kwestię przyczyny śmierci

twojego ojca, a widzę, że ten temat sprawia ci przykrość, za co mogę tylko przeprosić.

Czy zgadzasz się, abyśmy kontynuowali rozprawę, czy może wolałabyś zrobić przerwę?

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Dziękuję. Nie mam dalszych pytań. Bądź uprzejma wrócić na miejsce. Ja natomiast spróbuję podsumować nasz stan wiedzy dotyczącej ostatniego z czterech pytań, które wymieniłam na wstępie.

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Czy chciałabyś coś dodać?

LAURA: *(niedostłyszalnie)*

KORONER: Nie. A więc w porządku. Dziękuję. Przystępuję do dalszej części rozprawy.

Mówiąc wprost, nie wiemy i nie jesteśmy w stanie dowiedzieć się dokładnie, dlaczego pan Radcliffe zmarł. Możemy stwierdzić, że brak dowodów ingerencji osób trzecich, innymi słowy, brak dowodów zbrodni jako przyczyny śmierci. Możemy stwierdzić, że stan zdrowia pana Radcliffe'a był bardzo zły, na skutek jego trybu życia, diety i alkoholizmu. Możemy stwierdzić, że stan jego wątroby, serca i płuc mógł przyczynić się do śmierci. Należy też uwzględnić uwagę patologa dotyczącą nagłego zaniechania picia przez wieloletnich alkoholików, które może wywołać atak epileptyczny – z tym że nie wiemy, czy miało to miejsce w przypadku pana Radcliffe'a.

Można by snuć przypuszczenia na temat powodów, dla których pan Radcliffe radykalnie zaprzestał picia, oraz ewentualnych skutków tej decyzji dla jego organizmu. Można by snuć domysły na temat tego, dlaczego, kiedy produkty żywnościowe i alkohol, na które czekał, nie zostały mu dostarczone, nie wyszedł sam z domu, aby się zaopatrzyć. Można by nawet spekulować, dlaczego właściwie pan Radcliffe żył w takim zaniedbaniu i nędzy oraz dlaczego osoby z jego otoczenia godziły się na ten stan rzeczy.

Aliści, wyniki tych spekulacji nie mogłyby zostać potraktowane jako relewantne i uprawnione, a zatem nie wpłynęłyby na nasz dzisiejszy werdykt i nie rozjaśniły w istocie obrazu ostatnich chwil życia pana Radcliffe'a. Musimy uznać, że ostateczny przebieg i okoliczności jego śmierci pozostaną dla nas tajemnicą. Ze smutkiem stwierdzam, że często się tak zdarza w...

No więc, czy całe życie przemknęło mu przed. Czy leżał, patrząc w górę na spękany, podziurawiony sufit, i rozmyślał nad. Albo nawet nie rozmyślał, tylko widział. Od samego początku. Jako dziecko na matczynych. Pierwsze wspomnienia jedzenia i miłości i bójek i krzyków i zabaw i trzaskania drzwiami. Pierwsze myśli o opuszczeniu domu i znalezie-

niu kogoś, z kim. Łażenie po mieście w środku nocy z głową pełną oparów gorzały i buzujących słów, mile umykające pod stopami, ślizgające się światła latarni. Znalezienie potem Yvonne, która czeka na niego przed pubem, i co ona. Później tej samej nocy i znowu następnej. Sterczenie w kolejce do urzędu pracy i wylądowanie w komisji poborowej. Musztra, marsze, manewry, spanie w jednej sali z kilkunastoma facetami. Czołganie się w błocie. Rozbieranie silników, karabinów, świeżych rekrutów. Tygodnie na morzu w drodze na południe. Pociski, bomby, eksplozja tuż za jego głową, godziny przeleżane płackiem w wysokiej, mokrej trawie, podczas gdy okręty ich jednostki płonęły jak pochodnie w szarej, nieoświetłej zatoce. Te rzeczy przelatywały przez niego nie jako wspomnienia, ale jako przeżyte przelotnie momenty, kiedy leżał tam, na tej podłodze. Czy tak było. I czy wspomniał, czy ujrzał, czy przeżył ponownie wszystkie razy w łóżku z Yvonne. Kiedy wrócił do siebie po głębokim kryzysie, i wprowadzili się do mieszkania, i znalazł pracę, i urządzali razem dom i brali go w posiadanie. Kiedy urodziła się Laura, a on stracił pracę, i pił, i pił, aż od niego odeszły. I ten kurewski ból we łbie. I ten odgłos zatraskiwanych drzwi. I to, jak wrzeszczała na niego, a jej głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka. Gest, jakim gasiła papierosa w popielniczce, zanim popchnęła go na plecy, żeby jeszcze raz, i to jej nie-

ustanne gadanie, żeby znalazł nową pracę, na które on odpowiadał: No co zrobię, nic dla mnie nie mają, no co zrobię, o kurwa, łeb mi pęka. I dni, w których dopadało go to uczucie. Jak zwierzę w potrzasku, co się miota i jeszcze tym pogarsza sytuację. Póki się ruszał, mógł to znieść, ale wydostać się nie mógł. I to, co go ostatecznie załatwiło. Kiedy mu powiedziała: Nie rozumiem cię, Robert, nigdy się na to nie zgodzę, nie tego chciałam, a tego, co mam, więcej nie chcę. Ten jeden raz mówiła cicho, a on siedział jak trusia, starając się nie. Ten jeden moment przelatywał mu przez głowę najczęściej, jak tak leżał, patrząc w łuszczący się i osypujący tynk sufitu. Czy tak było. Czy to się wydarzyło. Czy ujrzał, wspomniął, przeżył wszystkie te rzeczy na nowo. Jakby całe życie w jednym mgnieniu. Jak wielogodzinny sen przelany do. Czy tak to się dzieje. Czy tak się dzieje z nami wszystkimi. Wtedy gdy. Czy widział Penny czekającą, żeby się obudził. Czy widział Danny'ego włączającego przez okno. Czy widział policję wkraczającą ostrożnie do pokoju i rzucającą na niego snop światła. Robiącą zdjęcia, pomiary, wciągającą mu worki na głowę i ręce. Czy widział nas, stojących i obserwujących, czy widział wszystko, co nam się przydarzyło, zanim przybyliśmy do niego. Czy widzi nas siedzących teraz tutaj. Czy tak to jest. Czy tak to się dzieje. W tej ostatniej chwili. Czy tak się właśnie teraz dzieje nam. Czy do

tego się wszystko sprowadza. Do: Zebraliśmy się dziś tutaj.

Czy to jest to, co my wszyscy teraz widzimy. Co widzi Steve, leżący na materacu w pobielonym pokoju. I Mrówa, leżący obok niego, który już sztywnieje, flaczeje i cichnie, a H z boku czeka, żeby obaj się obudzili, a Danny stoi na podwórku i woła, i wrzuca kamiki przez okno, a ta kobieta, Marianne czy Marie, a nad wioską unosi się dym, a policjant mówi: Nawet psy. I jak wypadał z land-rovera, gazującego szosą na obrzeżach Stanley, myśląc: No i co to za rana wojenna, jak wojna się skończyła, jeszcze zanim on zdążył zejść z okrętu, bójka z Robertem, bójki toczone po ciemku za szkołą, podglądanie, jak policja skrada się korytarzem do pokoju, gdzie leży Robert, a Mrówa mówi: Chodźcie, pokażę wam, o co to całe zamieszanie. A oto, co widzi Ben, przycupnięty za śmietnikiem w podziemnym parkingu, z trzydniową trzęsionką w każdej komórce ciała, jak powalił Jamesiego na glebę w ośrodku dziennym, i jak Mike się ulotnił, zanim przyjechała policja, a jemu samemu oko zbiełało, usta posiniały i urwał mu się film. A Roberta wynoszą do furgonetki. A Roberta siostra klepie go po całej twarzy i jęczy: No i coś ty zrobił najlepszego, i ten gość, który zapłacił, żeby go odwieźli do domu i próbował, wszystko to razem, a Mike daje mu przestrożę, mówi: To dla twojego własnego dobra, *la*, musisz pilnować tej swo-

jej niewyparzonej gęby, bo jeszcze coś ci się, a co zrobiła Heather, no i co z tego, i czy to widzi Danny, skulony na podłodze budki telefonicznej, ten całodzienny marsz po mieście bez jednej żywej duszy, z podrygującą przy nodze Einstein, i zatrzaśnięcie drzwi pokoju Laury, i wyłączenie z nią przez okno z mieszkania, a jego brat rodzony raz mu trzymał głowę, jak się Danny porzygał na całą łazienkę, mocno go brat trzymał, a Robert na podłodze, a Robert w zapiętym worku, a Robert z rozplataną klatą na stole, a Laura siedzi w sądzie, plecy proste, dłonie wciśnięte między uda, i czy to właśnie widzi Heather, klęcząca przy swoim łóżku, kiedy w oknie powiewa biała firanka, a serce Heather zwalnia, zwalnia, aż się zatrzymuje, krew cała ścieka na podłogę, Danny dzwoni domofonem jak wariat, drze się przez okno, drzwi wywalili z framugi, jak przyszli odebrać jej dzieci, ten jeden jedyny raz na scenie, jak zespół pozwolił jej zagrać, tłum publiczności, jak ten tłum na nią patrzył, Jimmy mówiący: Lepiej nikomu nie mówić, że tu jestem, sędzia mówiący: Dopóki jednak zezwala pani swojemu partnerowi na pobyt w domu, i wszystkie te lata na ulicy, i przebudzenie z tatuażem na czole, i Robert wnoszony przez drzwi kaplicy, i tych czterech, których trzeba było, żeby ją utrzymać pod ścianą, i wszystko, co robiła, żeby się pozbyć tego piętna, i nadal widzi, jak to się wszystko przez nią przewala z hukiem, a czy to jest

to, co widzi Mike, to wszystko, co do ostatniego momentu, gdy wkracza zamasyście na jezdnię z telefonem przyciśniętym do ucha, nawijając: Nie, ty mnie posłuchaj, stary, ty mnie posłuchaj, co żeś zrobił, co żeś wziął i zrobił tym razem, wszędzie szukam i nie mogę znaleźć nikogo, wszystkich wymiotło, co się dzieje, co żeś ty narobił, no a co z Laurą, co z tą dziewczyną, co żeś ty jej zrobił, a weźcie się wszyscy i zamknijcie, dobra, już mi dużo lepiej, dziękuję, muszę zdążyć na autobus. I czy to wszystko widzi, leżąc w szpitalnym łóżku. Kable i rurki sterczą mu z ciała, pogruchotane kości ciągną w środku. Widocznie się zrastają. Oczy zamknięte tygodniami, tylko jakaś maszyna robi stale bip i ping, utrzymując go w śpiączce, aby ciało mogło. A tymczasem te wizje krążą w jego krwiobiegu. To wszystko. Czy tak. Czy to już jest wszystko.

A czerwona kurtynka rozsuwa się i trumna wyjeżdża na rolkach. Nie gra muzyka. Kto by miał wybrać odpowiednie. Pastor zamyka swoją książkę i dziękuje mężczyznom, którzy wstają i wychodzą. My zdążamy za trumną Roberta. Co innego możemy. Z drugiej strony kurtynki. Widzimy dwóch techników. Otwierają ciężką wiszącą klapę i wsuwają trumnę. Zamykają szczelnie klapę. Obracają pokrętła, wciskają guziki, stają z boku, żebyśmy mogli zobaczyć, jak za grubą szybą zaczynają się wznościć płomienie. Niebiesko-pomarańczowe wytryski

ognia w długich, równych szeregach. Jak w piecyku gazowym. Ogniste języki. A cienkie drewno trumny szybko się zwęglą, kopci i rozpada w proch wokół ciała Roberta, a ciało skwierczy i smaży się w buzującym piecu, aż topnieje i odstania kości, które trzaskają i pękają w oślepiającym blasku ognia. Na zewnątrz cienki, wysoki komin. Kroki i głosy, i muzyka organowa z kaplicy, już następna grupa. Upływają minuty. Niewiele dłużej. Co z niego zostało. Spalenizna. Zwęglone kawałki kości i. Technicy otwierają klapę, wygarniają czarne szczątki pogrzebaczem i rozpalają piec na nowo. Niebieskie płomyki palą się teraz czysto. Technicy wygarniają popiół przez kratkę do blaszanej rynienki, w której ma wystygnać. Odstawiają na bok. To, co z niego zostało. No i co teraz mamy robić.

Siedzimy w tyłu sali sądowej. I patrzymy na Mike'a. Z trudem staje na nogi. Kule stukają o krzesła poprzedniego rzędu, gdy dźwiga na nich korpus. Woźny sądowy mówi: Gdyby był pan uprzejmy tylko. Laura zasłania ręką. A Mike krzyczy: Dostyc mam tego, stary. Spotkamy się później. Wlecze stopy za sobą przez. A wszyscy. I za każdym stąpieniem wrzeszczy z bólu. Drzwi się za nim zamykają, a sala wciąż dźwięczy jego obecnością, a my patrzymy na Laurę. Jak przekrzywia głowę, obserwując sędzię zbierającą swoje. I dociera do niej, że już więcej nie. No ale co z. Tym wszystkim, czego koniecz-

nie chciała się dowiedzieć. Tym wszystkim, czego jeszcze chce. Ale się nie. To nie. To pozostaje poza kompetencją sądu. Czy nie tak jest zawsze. Czy nie zostajemy zawsze poza kompetencją. Patrzymy. Odsuwa do tyłu krzesło. Ociera ręce o ubranie. Dokąd teraz pójdzie. Co zrobi. Wyjedzie z miasta i. Będzie się trzymać swojego scenariusza i zaczeka na nowe miejsce w. Czy jej dadzą nowe. A ten opiekun, co on może. Czy ją przyjmą jeszcze raz. Bo co innego ona może. Czy jeszcze raz zacznie się podnosić. Budzić się rano i myśleć o zrobieniu sobie kubka herbaty. Nastawiać czajnik i czekać, aż się zagotuje. Znajdować kubek i saszetkę z herbatą i. Czy w jej głowie jest miejsce na. Patrząc, jak saszetka wypływa na powierzchnię, koziołkuje i tonie. Czy potrafi dać sobie czas. Czy jest już w połowie drogi i. Czekać, aż herbata naciągnie. Wyławiać saszetkę, wrzucać ją do kubła na śmieci, wlewać mleko, mieszać. Czy umie teraz robić plany. Czy w jej głowie jest miejsce na. Siedzieć przy stole nad parą, która unosi się z kubka, łowi snop światła i kołuje w powietrzu.

A Mike wciąż kuśtyka mozolnie ulicą. Jego kule skrobią o chodnik. Płacze głośno. Łe łe łe. Stado gołębi zrywa się na dźwięk jego płaczu i wzlatuje, zataczając krąg. Przysiadają na dachu, znów wzbijają się w powietrze, kołują, siadają, a Mike dalej. Łe łe łe.

Koroner coś podpisuje i energicznie podstemplowuje jakieś dokumenty odciskiem tuszu. Po czym wstaje i. Uśmiecha się do Laury jeszcze raz, spogląda na. A policjant już się podnosi, nie czekając, aż sędzia zejdzie po schodkach z plikiem papierów pod pachą i woźny ogłosi: Proszę wstać, sąd idzie.

Wstajemy. Co innego mamy robić, wstajemy kurwa.

PODZIĘKOWANIA

Dziękuję za szczodre podzielenie się ze mną wiedzą i doświadczeniem: dr. Nigelowi Chapmanowi, Rachel Harborne, dr Kate Jack, Davidowi Jonesowi, Kirstie Joynson, prof. Jamesowi Lowe, Cathy Mason, Ianowi Nesbittowi, Stevenowi Nichollsowi, Kevinowi O'Connorowi, Paylor, dr Ros Rosser, posterunkowemu Timowi Townsendowi, Ianowi Walkerowi, Johnowi Wrightowi.

Podziękowania za inne rzeczy zechcą przyjąć: Mark Day, Kim Langford, Elena Lappin, Lisa Newton. Rosemary Davidson. Wszyscy z Nottingham Writers' Studio. Tracy Bohan i wszyscy z Wylie Agency. Helen Garnons-Williams, Erica Jarnes, Alexandra Pringle i wszyscy z Bloomsbury. Sarah-Jane Forder. Alice, Eleanor, Lewis.